

ANTOLOGIA
POLSKA

ANTOLOGIA
POLSKA



ANTOLOGIA
POLSKA

WYBÓR NAJCELNIJ-
SZYCH UTWORÓW ZE
STU POETÓW POLSKICH

zestawił

WŁADYSŁAW BEŁZA

czwarte wydanie pomnożone

LWÓW
H. ALTENBERG
1 9 0 6



824-1 (082.2)
DRUK W. LANCZYCA I SP.
KRAKÓW

821,162,1-1 (082.2)

KSIĄŻKĘ ZDOBIŁ
J. BUKOWSKI



Bogarodzica
 Bogarodzica, Dziewica,
 ogniem sławiona Maryja
 Twego Syna, Gospodzina,
 Matko zwolena, Maryja
 Zyszczy nam, spuści nam!
 Kyrie eleison!

Twego dzieła Chrzcziciela, Bożyże,
 Usłysz głosy, napełń myśli człowierze,
 Kyrie eleison!

Słysz modlitwę, jaż nosimy,
 A dać raczy, jegoż prosimy:
 A na świecie zbożny pobyt,
 Po żywocie rajski przebył.
 Kyrie eleison!

Nas dla wstał z martwych Syn Boży,
 Wierzyż w to, człowierze zbożny,
 I przez trud Bóg swój lud
 Odjął dyablej strożej.

Przydał nam zdrowia wiecznego,
 Łarostę stował pielnego,
 Mierć podjął, wspominał
 Człowieka pierwszego.

Adamie, ty Boży Knierru,
 Ty siedzisz u Boga w wieru,
 Domiesciż Twe dzieci,
 Gdzież królują Anieli!

Cegoż nas domiesci
 Jezu Chryste miły,
 Bychom z Tobą byli,
 Gdzie się nam radują
 Wszę niebieskie sily

Była radości była miłosci
 Było widzenie Tworra anielskie
 Bez końca,
 Guc się nam zjawilo
 Dyable potępienie

Ni srebrem, ni złotem nas dyablu odkupił,
 Swa mocą zastąpił,
 Ciebie dla, człowierze,
 Dał Bóg przekłoić sobie
 Ręce, nóżce obie:
 Kry święta sła z Boga
 Na zbawienie tobie

Wierzyż w to, człowierze,
 Iż Jezu Chryst prawy
 Cierpiał za nas rany,
 Swa święta krew przelał
 Za nas chześcijany

O duszy, o grzesznie,
Sam Bóg pierza ima,
Dyabłu ja od ima
Go zie-to sam króluje,
K'sobie przyima.

Tuz nam czas, godzina,
Czzechów się kajaci,
Bogu chwałę daci,
Ze wszemi silami
Boga miłowaci.

Maryja Dziewice,
Prosi Synka Twego,
Króla Niebieskiego,
A za nas uchowa
Ode wszego złego.

Swięty Floryanie,
Nasz miły Patronie,
Pros za nami Gospodna,
Panny Maryeji Syna!

O Święty Wojciechu,
Boga-s w cieszę,
Pros za nas Gospodna,
Panny Maryeji Syna!

Swięty Stanisławie,
Tys u Boga w stawie,
Pros za nas Gospodna,
Panny Maryeji Syna!

Zalonniku Święty,
Franciszku pokorny,
Przez Twe święte rany
Wspomóż chrześciany!

Matko Klaro Święta,
ABoga jeś wzięta,
Pros za nami Gospodna,
Panny Maryeji Syna!

Wszystkie Święte Panny,
Proście Świętej Anny,
By za nami prosila
Panny Maryeji Syna!

Wszyscy Święci proście,
Nas grzeszny wspomozcie,
Bysmy z wami bydlili
Wiecznie Boga chwalili!

Amen, takó Bóg daj,
Bychom szli wszycy w raj!



Pieśń »Bogarodzicę« dajemy według rekonstrukcyi prof. dra Pilata, Brücknera i Bruchnalskiego. Jak wiadomo, podania dawne, niestety, przez umiejętność dzisiejszą obalone, autorem jej czyniły świętego Wojciecha, Apostoła Prus, — nauka natomiast, na dochodzeniach krytycznych oparta, przyznaje ją XIII lub, co prawdopodobniejsza, XIV wiekowi i pióru nieznanego zakonnika polskiego, reguły św. Franciszka. Mimo to jednak pieśń »Bogarodzica« nie przestaje być najstarszym i najszaconiejszym pomnikiem całej wogóle poetyckiej twórczości polskiej, przodując jej sędziwością, niezwykle podniosłym nastrojem treści i artyzmem formy. Z tego powodu kładziemy ją także na czele »Antologii« niniejszej, wierni ponadto tradycyi, która również wyznaczała jej naczelne miejsce czy to na początku »Księgi praw«, czy takiego pieśnioksięgu sławy narodowej, jak Niemcewicza »Śpiewy Historyczne«.



DOBRODZIEJSTWA BOGA.

Czego chcesz od nas Panie za Twe hojne dary?
Czego za dobrodziejstwa, którym niemasz miary?
Kościół Cię nieogarnie, wszędy pełno Ciebie,
I w otchłaniach, i w morzu, na ziemi, na niebie.

Złota też wiem, niepragniesz, bo to wszystko Twoje,
Cokolwiek na tym świecie człowiek mieni swoje.
Wdzięcznym Cię tedy sercem Panie wyznawamy,
Bo dla Cię — przystojniejszej ofiary nie mamy.

Tyś Pan wszystkiego świata: Tyś niebo zbudował,
I złotymi gwiazdami ślicznieś uhaftował.
Tyś fundament założył nieobeszłej ziemi,
I przykryłeś jej nagość zioły rozlicznymi.

Za Twojem rozkazaniem w brzegach morze stoi,
A zamierzonych granic przeskoczyć się boi.
Rzeki wód nieprzebranych wielką hojność mają,
Biały dzień a noc ciemna, swoje czasy znają.

Tobie kwoli rozliczne kwiatki wiosna rodzi;
Tobie kwoli w kłosianym wieńcu lato chodzi;
Wino jesień — i jabłka rozmaite dawa;
Potem, do gotowego gnuśna zima wstawa.

Z Twej łaski, nocna rosa na młde zioła padnie,
A zagorzałe zboże deszcz ożywia snadnie.
Z Twoich rąk wszelkie zwierzę patrzy swej żywności,
A ty każdego żywisz z Twej szczodroblivosti.

Bądź na wieki pochwalon nieśmiertelny Panie!
Twoja łaska, Twa dobroć nigdy nie ustanie.
Chowaj nas, póki raczysz, na tej niskiej ziemi:
Jedno niech zawsze będziem pod skrzydłami Twemi.

POCHWAŁA WINA.

Dzbanie mój pisany,
Dzbanie polewany:
Bądź płacz, bądź żarty, bądź gorące wojny,
Bądź miłość niesiesz — albo sen spokojny.

Jakokolwiek zwano,
Wino co w cię lano;
Przymkni się do nas, a daj się nachylić,
Chciałbym twym darem gości swych posilić.

I ten cię nie minie,
Choć kto mądrym słynie;
Pijali przed tym i filozofowie,
A przedsię mieli spełna rozum w głowie.

Ty zmiękniesz każdego,
Najstateczniejszego;
Ty mądrych sprawy i tajemną radę,
Na świat wydawasz przez swą cichą zdradę.

Ty cieszysz nadzieją
Serca, które mdleją;
Ty ubogiemu przygotowujesz rogi,
Że mu ani król, ani hetman srogi.

Trzymaj się na mocy,
Bo cię całej nocy
Z rąk niewypuścim, aż dzień jako trzeba,
Gwiazdy rozpędzi co do jednej z nieba.

DO ZDROWIA.

Szlachetne zdrowie,
Nikt się nie dowie
Jako smakujesz:
Aż się zepsujesz.
Tam człowiek prawie,
Widzi na jawie,
I sam to powie:
Że nic nad zdrowie!
Ani lepszego;
Ani droższego.
Bo dobre mienie,
Perły, kamienie,
Także wiek młody,
I dar urody,

Miejsce wysokie,
• Władze szerokie,
Dobre są: ale
Gdy zdrowie w cale.
Gdzie niemasz siły,
I świat niemiły!
Klejnocie drogi,
Mój dom ubogi,
Oddany tobie,
Ulubuj sobie.

PSALM DAWIDOWY.

Wszchemocny Panie! wiekuisty Boże!
Kto się Twym sprawom wydziwować może?
Kto rozumowi, którym niezmierny
Ten świat stworzony?

Gdziekolwiek słońce miece strzały swoje,
Wszędy jest zacne, święte imię Twoje,
A sławy, niebo ogarnąć nie może
Twej, wieczny Boże!

Niech źli jako chcą Ciebie mierzą sobie,
Z ust niemowląt rośnie chwała Tobie,
Ku większej hańbie i ku potępieniu,
Złemu plemieniu.

Twój czyn jest niebo; Twoich rąk robota
Gwiazdy, jaśniejsze wybranego złota:
Ty coraz nowem światłem zdobisz wdzięczne,
Koło miesięczne.

A człowiek co jest, że Ty niestworzony,
Wszystkiego Twórcą i Pan niezmierny,
Raczysz go pomnieć? czem jest syn człowieczy,
Godzien Twej pieczy.

Takeś go uczcił i przyochędożył,
Żeś go z anioły tylko nie położył;
Postawiłeś go panem nad zacnymi
Czyny swojemi.

Dałeś w moc jego wszystkie bydła polne,
Dałeś i leśne zwierzęta swywolne,
On na powietrzu ptactwem, — pod wodami
Władnie rybami.

Wszchemocny Panie, wiekuisty Boże!
Kto się Twym sprawom wydziwować może?
Kto rozumowi, którym niezmierny
Ten świat stworzony?





O CNOCIE.

Wszystko pospołu umiera z człowiekiem,
Lecz święta cnota, ta trwa wiecznym wiekiem.

Cnota jest klejnot nieoszacowany,
Bo ta ozdabia ubogie i pany.

Cnota się błyszczy nad wszystkie szmaragi,
Na żadnym targu jej nie znajdzie wagi.

Wszystko się musi zmienić przy człowieku,
Lecz cnota święta, ta z nim trwa do wieku.

Z ciałem przypadki odmienić się muszą,
Lecz cnota święta i ta w niebie z duszą.

Niech się jako chce mieszać wszystko będzie,
Cnota każdego ma ozdobić wszędzie.

Z zacnych postępów a z pocziwej sprawy,
Zawždy cnotliwi dostawali sławy.

Mocna to zbroja z pocziwością cnota:
Ta sławy strzeże a broni kłopotą.

Piękniej każdemu przy cnocie sławnym być,
Niż przy niecnocie smętnych czasów użyć.

Kiedy niecnota jaka ruszy ciebie,
Niemasz li kogo? zawstydyj się siebie.

Cnota na świecie jest wielka królowa,
A w dziwnej sławie swe dworzany chowa.

Gdy kogo widzisz wszetecznym na świecie,
Łajesz, a przeczże cię to samo gniecie?

Wszeteczny zawždy co swą cnotę depce,
Mniema by o nim, gdy kto z drugim szeptce.

Pocziwy wszędy, gdy swą sławę czuje,
By orzeł zawždy w górę przepatruje.

Wielki to klejnot mieć pocziwe oczy,
Kto przez niecnotę w ziemię ich nie tłoczy.

Nadobnie cnota swe kochanki stroi,
A żaden tych słów: »ty milcz« — się nieboi.

Nikczemny to sklep kędy skarbu nie masz,
Takoz bez cnoty dobrego mi ukaż.

Niech się jako chce zdobi kształty ciało,
Wszystko szpetny strój, kiedy cnoty mało.

Najpiękniejszy strój, nadewszystkie złota,
Kogo ozdobi z pocziwością cnota.

Najpiękniejsza to na sławę delia,
Kto z cnotą dźrzy a niecnotę mija.

Cnota z fortuną nigdy z sobą wiernie:
Ta w górę wzlata — a ta wszystko miernie.

Rozliczne burzki około człowieka,
Jako go cnota ma zdobić do wieka.

Koń twardym krygiem bywa załamiony,
A ciało cnotą, ten szczerbiec szalony.

W fortunnych czasach cnota się więc niszczy,
Ale w przeciwnych najjaśniej się błyszczy.

W szczęściu mało znać człeka cnotliwego,
Bo wszyscy chwalą i złe sprawy jego.

Kiedy nieszczęście przypadnie na kogo,
To już swe handle cnota ceni drogo.

Cnota z fortuną różno z sobą chodzą,
A nigdy w jednym gmachu się niegodzą.



Z »FLISA«.

Dwa bracia z siostrą w drogę się wybrali,
Z Litwy Niemen, Bug z Wołynia zuchwały,
I Narew bystra, jako siostra starsza,
Przyszła z Podlasza.

Wziąwszy przymierze bez gniewu i trwogi,
Zażyła sobie przyjacielskiej drogi
W małym orszaku, co więc nie nowina,
Zgodna rodzina.

Potem lepszego bytu chcieli użyć,
Zachciało im się u królowej służyć,
Co do niej płyną ze wszech stron poprzeki,
Sarmackie rzeki.

Przystali tedy do nowego dworu
Narew i z bracią, puściwszy się toru,
I tak służyli Wandzie Krakusowej,
Jako królowej.

Czując do siebie Narew śliczną gładkość,
Czując też w braci siłę i też wartkość,
Chciała być równa w rodzaju, w urodzie,
Wandalskiej wodzie.

Pani ślicznością i domem chwalebna,
Niechcąc być tańszą niż panna służebna,
Wyzwała Narew, chcąc ją wywieść z błędu,
Pozwem do sądu.

Na którym zasiadł strumień nieujęty,
Do tego wolnie z obu stron przyjęty,
Ów, co u Gniewa swemi wroty wpada,
Wisłę rozbada.

Sędzia roztropny puścił przed się strony,
I zagał sąd tuż u samej brony;
Szła para panien każda z nich z osobna,
Gwiaździe podobna.

I długo myślił, niż wszystkie przymioty
Wybaczył w obu i wrodzone cnoty;
Chwilę tak okiem poglądał na obie
Czujnem o sobie.

Upatrył sędzia, iż nad księżnę, owa
Osobliwszego coś miała królowa;
Jako nad leśne Nimfy ma Dyana,
W złoto ubrana.

A także zatem wnet uczynił wyrok,
Jako sumienie świadczyło i też wzrok;
Skazał, iż gładza królowa, rzecz ista,
Niżli służbista.

Narew i z bracią wnet się rozgniewała,
A inszą drogą płynąć się wezbrała.
Więc miejsce sądu na brzegu, na lewym,
Nazwano Gniewem.

A gdzie się Narew na prawo chynęła,
A od królowej na różno płynęła
Pod sławny Olbiąg: — Nogatem to zową,
Flisowską mową.





MIKOŁAJ SĘP
SZARZYŃSKI
1555 *1581*

O NIETRWAŁEJ MIŁOŚCI.

I niemiłować ciężko i miłować
Nędzna pociecha, gdy żądze zwiedzione
Myśli, cukrują nazbyt rzeczy one,
Które i mienić i muszą się psować.

Komu tak będzie dostatkiem smakować,
Złoto, szept, sława, rozkosz i stworzone
Piękne oblicze, by tem nasycone,
I mógł mieć serce i trwóg się warować?

Miłość jest własny bieg życia naszego,
Ale z żywiołów utworzone ciało,
To chwalać, co zna początku równego —

Zawodzi duszę, której wszystko mało;
Gdy ciebie wiecznej i prawej piękności
Samej nie widzi, celu swej miłości.



STANISŁAW
GROCHOWSKI
1554 *1612*

HYMN.

Wieczny Twórco, co swą mocą,
Dzień sprawujesz z ciemną nocą,
Ty chcesz nam ulżyć tęskności,
Prowadzisz czas w odmienności.

Już się stróż nocny odzywa,
Co piejąc dzień obwoływa;
Kaganiec podróźnych gości,
Rozdzielca nocnych ciemności.

Przezeń Lucyfer wzbudzony,
Oświeca niebieskie domy,
Zbójce z zasadzek pierzchają,
Skoro ten głos poczuwają.

Ten morskie skromi rozruchy,
Stąd żeglarz lepszej otuchy;
Na ten kościelna opoka,
Łzy swe wylewała z oka.

Wstańmyż zaren, tenżeć isty
Budzi nas stróż grzebienisty,
Ten i ospałych strofuje,
Ten w zaprzemiu grzech skazuje.

Głos w nocnych cieniach kurowy,
Źle nie tuszy, chorym zdrowy,
Miecz łotrowski w poszwy wraca,
Upadłym wiarę przywraca.

Jezu wejrzyj — a krewkości
Ratuj pogrążnionych w złości!
Jeśli wejrzysz, powstaniemy,
I łzami złości zmyjemy.

Tyś sam słońce, oświeć zmysły,
Przebudź i śpiące umysły,
Skąd Cię naprzód, Boże żywy,
Niech nasz wyzna głos chętny.

Bądź chwała Bogu Ojcowi,
Bądź chwała Jego Synowi,
I z Duchem świętym społecznie,
Teraz i bez końca wiecznie.



DAFNIS.

Kozy, ucieszne kozy! ma trzodo jedyna!
Tu kępy, tu zarosła poziomo leszczyna,
Tu gryźcie liść zielony, gryźcie chruścik młody;
Ja tymczasem przy strugu tej ciekącej wody,
Przylegnę i frasunku lubo snem swobodnym,
Lubo będę zabywał śpiewaniem łagodnym.
Ponieważ mię tak moja Filis wyprawiła,
Że mię na wieki wolnych myśli pozbawiła.
Cóż czynić, jakie szczęście o człeka się kusi,
Tak sercu bywa błogo i tem się paść musi.
Okrutna Filli! tobie ani zdrowie moje,
Ani starganych myśli ciężkie niepokoje,
Ani serce związane, ani zbytne chęci,
Ani słowo oddane zostawa w pamięci,
Chociaż tobie i sady moje zaradzały,
Chociaż koszary mleka i słodkie nabiału,
I co piękniejsze jagnię i kozłeta małe,
I za tobą szły barci i pasieki całe —
A nadewszystko ja sam, i pieśniami memi
Rozsławiłaś się między pasterzmi wszystkimi.

Przedtem albo nic, albo niewiele cię znano:
I krępą i cyganką czarną przezywano.
Dziś i pleć i postawa u ciebie nadobna,
I uroda do jedlin wysokich podobna,
Lica do mleka z różą — wargi koralowi,
Zęby perłom, miękkiemu włosy jedwabiowi,
Dziś cię co żywo, chwali — a co uczyniły
Pieśni moje, które cię wszędzie rozgłosiły.
Ty przecie mną pogardzasz, a ledwie nie tego
Pragniesz, abyś mię w rychle miała nieżywego.
Teraz, jako to słońce w południe dogrzewa,
I ptak i bydło w cichych chłodach odpoczywa,
I oracz wolno puścił woły wyprężone,
I pod krzami ucichęły jaszczurki zielone;
Ja tylko nędznik w sercu mam ustawną trwozę,
Ani strapionych myśli uspokoić mogę.
Lwica za wilkiem pędzi, za kozą wilczyca,
Kozą za wrzosem, a mnie do ciebie tęsknica:
Każdego swoja lubość, swoja żądza pędzi,
Każdego swój mól gryzie, swoja nędza śwędzi.
Ułapiłem sarneczek parę: jeszcze mają
Srokacinki na grzbiecie, co dzień wysysają
Dwie dojne kozie, a te chowam samej tobie;
Dawno Tystelis chciała uprosić je sobie,
I podobno otrzyma — ponieważ przez twoję
Zbytnią hardość, u ciebie w wzgardzie dary moje.
Tu lasy, tu po lesiach ptaszki śpiewają,
Tu łąki, a po łąkach piękne stada grają,
Tubyśmy z sobą wieku miłego zażyli,
Tubyśmy aż do śmierci lata przetrawili.
Byś się tylko pasterską budą niebrzydziła,
By tylko umysł ku mię cały przykłoniła.
Tu jamy mchem odziane, tu dobrze, tu cienie,
Tu strugi uciekają szemrząc przez kamienie;

Tu wyniosłe topole, lipy rozłożyste,
Tu jawory, tu dęby stoją wiekuiste:
Ale bez ciebie żadne rzeki, żadne gaje,
Bez ciebie żadne miejsce k' sercu nie przystaje.
Nie owszem też mię możesz potępić w urodzie,
Widziałem się niedawno z brzegu w jasnej wodzie;
Nie każdy z sąsiad moich, byś też i ty zgoła
Sądzić miała, podle mnie, w tej mierze wydoła.
Owiec u mnie na polach ruskich tysiąc chodzi,
Tyle drugie z nich co rok jagniąt się przypłodzi;
Tu koło mnie kóz tysiąc, mleka mam bogato,
Mam świeże całą zimę, świeże całe lato;
Potrafię też na gęślach i o dwojej kwincie,
Jako więc na aktejskiej grawał aracyncie
Amfion, muzyk derski, gdy chodził za stady,
A lasy i zwierz dziki szedł za jego ślady.
Cóż po tem, gdy ja próżno śpiewam, próżno proszę,
Gdy od ciebie żal jawny i wzgardę odnoszę.
Okrutna Filli! lecz i ja mało rozumny,
Co narzekaniem złamać chcę twój umysł dumny,
A ty się z tego kędyś pośmiewasz na stronie,
Abo kogo inszego piastujesz na łonie.
Śmieję się zdrowa, okrutnej lwice srogie plemię!
Potem, kiedy nasypią na me oczy ziemię,
Niechaj ten napis niesie wyniosła mogiła:
Fillis sroga, nędznego Dafnisa zabiła.





ROZMOWA PANIENKI Z ŚMIERCIA.

PANNA

Kędy tę bystrą gotujesz kosę?

ŚMIERĆ

Gdzie twój dopiero kwiat pije rosę.

PANNA

Młodo jej dotniesz i nie na dobie.

ŚMIERĆ

Taki nawdzięczniej wonieje w grobie.

PANNA

Sierp aż kłós biały za zagon kładzie.

ŚMIERĆ

Dość i zielonych leży po gradzie.

PANNA

Nie męztwo dobyć na dziecię broni!

ŚMIERĆ

Przestępstwo żywić kogo Bóg goni!

PANNA

Subtelne jeszcze do rany kości.

ŚMIERĆ

Ale z nich żartki duch w niewinności
Jako z cięciwy strzała, dobieży
Pałaców górnych i złotej wieży.

PANNA

Jeszczem rodzicom nie usłużyła,
Bom ledwie pięć lat z nimi przeżyła:
Niech wżdy im dalej wdzięczną się stawię,
Niżli je w gorzkim żalu zostawię.

ŚMIERĆ

Najmniej im potem; ale tam w niebie,
Pożytek wieczny odniosą z ciebie;
Kiedy w zielonej przyklękiesz skroni,
Ściągając na nie obiedwie dłoni,
Uprzejmie żebrząc przed jasnym tronem
Że ten wiek zawrą szczęśliwym zgonem.

PANNA

Jeśli tak, już się ciebie nie boję.

ŚMIERĆ

A ja też żądzę poślę tam twoję!
— Pociągnie kosą, ciało wnet mdleje,
A duch wykrzyka pełen nadzieje!



Z ROKSOLANEK.

I.

Cokolwiek w sobie ma ten świat odmienny,
Wszystko przemija, jako jednodzienny
Kwiat, który pięknie się rozwinie
Rano, a w południe zaginie.
Halino, dziewczę moje ukochane!
Skorom obaczył usta twe różane,
Wyznałem między wszystkim światem,
Najpiękniejszym być one kwiatem.
Albowiem twoja uroda nadobna
Do różanego krzaku jest podobna,
Który wydaje na przemiany
Kwiat czerwony, z białym zmieszany.
Dla czegoż tedy dziewczko okazała,
Zabraniasz zbierać kwiatów z swego ciąta?
Czemu od twych uciech, proszę,
Tak często odmioty ponoszę?
Samaś i sobie i mnie zawiniła,
Żeś różaniec na twarzy zasadziła,

Żeś na wargach i uściech kwiaty,
Rozpostarła jako szkarłatą.
Te mnie do siebie wabia, te zuchwała
Wenus, na wieniec zerwać mi kazała.
Jeśli w tem usłucham bogini,
Nie ja, ona tobie przewini.
Ale daremnie darów bożych bronisz,
Bo niezadługo przecie je uronisz,
Gdy ze starością szkaradną,
Piękne róże z twarzy opadną,
A tylko ciernie dotkliwe zostanie,
Że młódź się nawet ani pojrzy na nie.
Tam wspomniawszy na wdzięczności
Pierwsze, zapłaczesz od żałości.
A przetoż póki nie dozna odmiany,
Młodości twojej ogródek różany,
Dopuszcz mi, proszę cię, w nim bywać,
I róże przyrodzone zrywać.

II.

Czemu narzekają smutne moje strony,
Czemu żalobliwie kwili flet pieszczony?
Dla ciebie nadobna Halino,
Dla ciebie kochana dziewczyno!
Miasto lubych pieśni, miasto słodkiej lutnie,
Muszę ciężko wzdychać, lamentując smutnie,
Niemasz cię nadobna Halino,
Niemasz cię kochana dziewczyno!
Kędy teraz oczy są powabne twoje,
Z których miłość codzienną wypuszcziała roje?
Niemasz cię nadobna Halino,
Niemasz cię kochana dziewczyno!

Jużże to zagasty ust twych ognie żywe,
Któremis paliła serce natarczywe?
Niemasz cię nadobna Halino,
Niemasz cię kochana dziewczyno!
Daremnie się ten świat w ludziach coraz młodzi,
Bo takiej Haliny drugiej nieurodzi;

Niemasz cię nadobna Halino,
Niemasz cię kochana dziewczyno!
Próżno mój ogródek fijołki pachnące,
Próżno mój różaniec rozwija swe pącze,
Niemasz cię nadobna Halino,
Niemasz cię kochana dziewczyno!
Gdyby mię Kupido odział swemi pióry,
Żeby mógł polecieć przez lasy, przez góry,
Do ciebie nadobna Halino,
Do ciebie kochana dziewczyno!
Najmniej bym się nie bał skrzydłami pospieszyć
Abym mógł raz oczy tobą me pocieszyć!
Kędyś jest nadobna Halino,
Kędyś jest kochana dziewczyno?
Lecz próżno cię moje szukają powieki,
Której nie obaczę pod słońcem na wieki,
Dobranoc nadobna Halino,
Dobranoc kochana dziewczyno!



ANDRZEJ
MORSZTYN
1620 • 1701

DO PANNY.

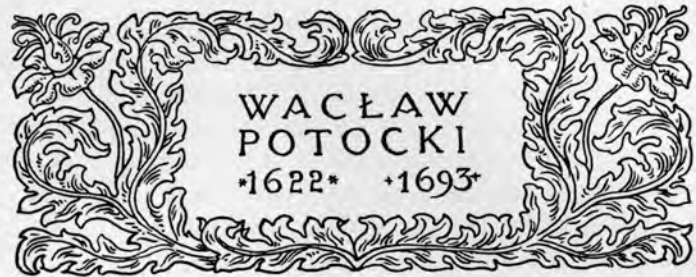
Obrazie bóstwa! nieśmiertelny wzorze
Urody, gładszej nad różane zorze!
Jasna godności gwiazdo, z którą ani
Porówna słońce, ni jej miesiąc zgani!
Przezysta duszo w kryształ zamknięta,
Z którą przebywa każda cnota święta.
Najdoskonalsza natury roboto;
Pociecho oczu, serc ciężkich ochoto;
Śniegu na pozór — ogniu w samej rzeczy:
Ty panno, chciej mię mieć na swojej pieczy!
Którejem tak swe niezwiędłej pamięci
Wiersze poświęcał, jako oddał chęci.
I jakoś we mnie wznieciła pochodnię,
Tak daj, żebym mógł śpiewać cześć twą godnie,
Żeby świat wszystkim usłyszał oboje:
Okowy moje — i zwycięstwo twoje!

NOWE SŁOŃCE.

Gdym blisko ciebie, o mój niepokoju!
Pałam — i ciało w zbytnim tleje znoju.
Jak się oddalisz — marznę — i z ochłody
Zmarzłej krwi w żyłach ścinają się lody.
Mogę cię tedy nazwać słońcem za to,
Że mi przynosisz i zimę i lato.

KWIATEK DAROWANY.

Kwiateczku suchy ale mnie kochany,
Dla ręki — którąś zerwany i dany,
A suchy od mych ogniów — i przed srogiem
Serca mojego zwiędniały pożogiem;
Ani cię mogę oczerstwić i łzami,
Bo i te płyną zmieszane z ogniami.
Pokaż mej pani twe zbledniałe liście,
I swem wędzieniem spraw to oczywiście,
Że widząc, jako gładkość — klejnot rzadki
Ginie, da owoc — a nie tylko kwiatki.



WACŁAW
POTOCKI

1622 *1693*

Z POEMATU

»WOJNA CHOCIMSKA«

(Z PIEŚNI CZWARTEJ).

Zabielały się góry i Dniestrowe brzegi,
Rzekłby kto, że na ziemię świeże spadły śniegi,
Skoro Turcy stanęli, skoro swoje w loty
Okiem nieprzemierzone rozbili namioty.
Nie toczyli obozu, nie ciągnęli sznurów,
Ale tak małą garstką wzgardziwszy gjaurów,
Kędy kto szedł, tam stanął; na mocy się czują,
Jeśli nas niewystraszą, to pewnie zaplują.
Nie ma ich tu co bawić, nie chcą się rozgościć,
Wiśla im głowę psuje, jako ja pomościć?
Gdzie sam cesarz pagórek opanował wyżni,
Widomie się odyma, żrejomo się pyszni,
Że monarchy Azji, Afryki, Europy,
Trzech części świata pana depcą po nim stopy.
Biedny Dniestr, acz przeciwko orłowi motylem,
Śmie gardzić Eufratem, śmie się równać z Nilem,
I ledwo w swem lichota trzyma się pobrzeżu,
Ale mu właśnie służy: nie kol miły Jezu!

Skoro Osman zobaczył nasze szańce z góry,
Jako lew krwie pragnący wyciąga pazury,
Jeży grzywę, po bokach maca się ogonem,
Jeżeli żubra w polu obaczy przestronem,
Chce się i on zaraz bić, zaraz chce na nasze
Wieść obozy; hetmany zwoławszy i basze,
Każe wojska szykować, choć już i niesprawą
Dla pola cieńszego iść na nas oblawa.
Kto mu wspomni nie w polskim wieczera obozie,
Choć najwierniejszy sługa, będzie na powrozie.
Tedy o tak haniebnej usłyszawszy karze,
Biednego ognia składać nie śmieli kucharze.
Nie zdać się to starszym, ale z tak porywczym
Trudno co radzić panem, bo ich nigdy ni w czym
Nie słucha, za swą dumą idąc i uporem.
Zawsze drwi, zawsze mści się, swych drow, z nich nad
I teraz, acz to wszyscy dobrze widzą, żeby [którem.
Ledwo tak uszło w łowy iść nie do potrzeby;
Ale kędy mus rządzi trudno być ostrożnym,
Niezrozumiawszy miejsca? w odzieniu podróżnym?
Nie miawszy słońca? wiatru? nie miawszy fortelu?
Nie znając serca, ani sił w nieprzyjacielu?
Bić się z nim, jakby o reszt ślepą kością rzucić?
Choćby tam wszyscy spali, mogą się ocucić;
Nie bać się, ale ani lekceważyć trzeba,
Kto ma serce, broń, rękę i zażywa chleba.
Nie mów, gdy idziesz na plac, że będę bił, ale
Będziem się bić; i Mars ma obojętne szale.
Teraz, gdy Osman każe, lub zysk lubo strata,
Walą się wojska, idzie i groźna armata,
Straszne się bisurmańskich z góry garną roje,
A białe jako gęsi migocą zawoje.
Janczarga we środku ustrzmiwszy w puch pawi,
Ogniste swoje pułki na czele postawi,

Sam dosiadłszy białego Arabina grzbieta,
Jako między gwiazdami iskrzy się kometa,
W barwistym złotogłowie pod zórawią wiecżą,
Buńczuk na nim z miesiącem, ottomańską cechą.
Dwanaście tylko było tysięcy janczarów,
Prócz piechot Gaborego i dwu gospodarów,
Na dwadzieścia-ć pieniądze pełna z skarbu dano,
Ale to, co miało być na ośm, ukraszano.
Wszędy pełna nierządu gdzie niemasz dozoru!

W prawo i w lewo janczar, na widoku stały
Nieżnane oczom naszym dotąd specyały:
Straszne słonie, co trąby okrom mają kielców,
Každy swą wieżę dźwiga, każda wieża strzelców
Po trzydziestu zawiera; tak gdzie tylko chodzą
Rozdrażnione bestyje, nieprzyjaciół szkodzą.

Konne wojska po skrzydłach, wyniósłszy swe dzidy,
Patrzą, rychło się do nich sunie giaur gidy,
Albo im każą skoczyć, gdzie z niezmiernej chuci,
Śmiały spahij na naszych dziiryty wyrzuci.
Wszyscy siedzą od złota, od rzędów, od pukli,
I nie jako na wojnę daleką wysmukli;
Nie widziałeś kirysów, nie widział pancerzy,
Každy się złotogłowi, jedwabi i pierzy;
Ogromne skrzydła sępie, forgi, kity, czuby,
Trzęsą się im nade łby, a ono, nie tu by
Te prezentować cienie i nikłe ozdoby,
Kędy wróble takimi z prosa straszą boby.
Wszystko znieśli, wszystko to dziś na się włożyli,
Z czego świat przez lat tyle zdarli i złupili.

Osman sam stał na górze pod zielonym znakiem,
Opasany po świetnym kaftanie sajdakiem,

Zkąd mógł wojska obaczyć, jako trzeba, obie,
Mając grono zwyczajnych pochlebców przy sobie.
Ztamtąd ludzi szykuje niecierpliwy zwłoki,
Posyła na przemiany, żeby jednooki
Husein, sylistryjski basza, po Skinderze,
Przy którym był wszytek rząd, następował szczerze,
Nim się słońce nachyli na gjauroskie baby.
Jak z woru wysypawszy Turki i Arabcy,
Razem bando na dwór swój wyda w onym czesie,
Kto pierwszej wiktoryej nowinę przyniesie,
Sto tysięcy we złocie da i konia z rzędem,
I znacnym go obieca opatrzyć urzędem.
Taka straszna zawziętość, takie aparaty,
Nie przyniosły Polakom żadnej serca straty,
Którzy Bogu oddawszy swej nadzieje skutki,
Skoro hetmańskie kotły ogłoszą pobudki,
Pod przestronne swych wodzów schodzą się namioty,
Gdzie kapłani jarzące zapaliwszy knoty,
Przed żałosną figurą śmierci jego smutnej,
Ofiarę mu, a oraz akt skruchy pokutny,
Upokorzonym duchem oddają, a przytem
Żebrzą, żeby raczył być swym ludziom zaszczytem.
Gdy poganie jako lwi i okrutni smocy
Na nich całego świata następują mocy,
Aby im ich odpuścił miłościwie winy,
Choć przynajmniej odłożył pomstę na czas inny;
A tu, kędy względ jego nieśmiertelnej chwały,
Gniewu sprawiedliwego przytrzymał zapaty.
Każdy potem z osobna, skoro serce skruszy,
Kładzie w kapłańskie swoje niedostatki uszy;
Toż czynią i hetmani, a świętym obrokiem
Wspartszy dusze, wszyscy dnia czekają z widokiem.



UCIECZKA DO NAJSWIĘTSZEJ PANNY.

Jak się owo dziecko bierze,
Rozkwilone do macierze,
Kiedy swawolne, bojąc się chabiny,
Gniewnemu ojcu czyni przeprosiny.
Więc do Matki ręce wznosi,
I ratunku od niej prosi,
Pod nią się tuli, jej zakrywa szatą,
Aż je pojedna z rozgniewanym tatą.
Polsko moja, w tak złej toni,
Któż cię dźwignie, kto obroni?
Zkąd ci tak wczesne suppeccyje przyda,
Któraż cię Pallas zastoni egidą.
Apollo swej bronił Troi,
Mars przy Rzymie mocno stoi,
Jupiter swemi opiekął się Greki,
Jako wierzyły dawno błędne wieki.
A my dokąd bliżsi zguby,
Udamy się z swemi śluby,

Kiedy niebieski Ojciec rozgniewany,
Przepuścił górsze Szwedy niż pogany?
Pójdźmy boskiej prosić Matki,
Aza Polski te ostatki
Pożarte, wydrze z łakomej paszczeki,
I nie da zginąć Sarmatom na wieki.
Pokaż się nam Matko Pani,
Prosim upadli poddani,
Broń nas zaszczytem o Królowo czułem:
Tym cię na wieki Polska czci tytułem.
Ukój Ojca w gniewie srogim,
Przeproś winy nam ubogim,
Aby pamiątka była w polskim państwie:
Nie ginie kto jest u Maryi w poddaństwie!



ELŻBIETA
DRUŻBACKA
1687* 1760*

POCHWAŁA LASÓW.

Zważywszy życia ludzkiego obroty,
Uchodzę w lasy i wesołe knieje,
Mając w nich więcej gustu i ochoty;
Niech kto chce z mojej dzikości się śmieje,
Niedbam nic na to, wolę z swej prostoty
Las, aniżeli świat pełen niecnoty.

Lasy kochane, zielone chłodniki,
Drzewa przyjemny szum dające z siebie;
Trawy, pagórki, biegące strumyki,
Przy was niech mieszkam choć o suchym chlebie;
Zdrowszy mi napój z waszych źródeł żywych,
Niż drogie trunki — gdy z rąk nieżyczliwych.

Jak ranna zorza swój rumieniec śliczny
Pokaże, rosa perłowe kropelki
Pozbiera, już ci pasterz okoliczny
Niezaśni, a ptak wyśpiewuje wszelki;
Ci trzody owiec żoną między wrzosa,
Te, mokre skrzydła otrzepują z rosy.

Wnet różnych głosów stroją instrumenta,
Po drzewach skacząc wysoko, to nisko,
Krzykną roślejsze i drobne ptaszęta,
Bezpieczne, chociaż słuchamy ich blizko;
Za nic koncerty i włoskich nut sztuki,
Ich miłsze głosy bez mistrza nauki.

Odpocznie ptactwo, aż zaczną pasterze,
Smutne wywodzić dumy na fujarze,
Inni zaś skoczne mazury na lerze
Tańcząc z nami każdy w swojej parze;
My wdzięczne pieśni śpiewamy koleją,
Lasy słuchają a gaje się śmieją.

Niewiem co tęsknić, pasąc owiec trzodę,
Z pilnością strzec ich potrzeba od wilka,
Przebrnąwszy potok, oczyma powiodę,
Aż pasteczek bieży ku mnie kilka,
Z temi się witam chwytając za szyję,
Wnet jedna drugą zczesze, splecie, zmyje.

Usiądziem sobie pod jaworem ciemnym,
Nad czystym źródłem pryskającej wody,
Ze skał fontanny, natura foremny
Kunsztem, zrobiła pasterzom ochłody;
Nic nam słoneczny upał niedokuczy,
Jawor zaszumi a strumyk zamruczy.

Zacniemy mówić o naszych zabawach,
Na czym dzień cały przemienie godziną;
O pięknym kwieciu w jakich rosną trawach;
Ta powie: jest tu miejsce nad doliną,
Na którym kwiaty w rozliczne kolory
Kwitną, posiane od bogini Flory.

Więc wszystkie w zawód bieżąc, jedna drugą
Popchnie w bok, by się wyprzedzić nie dała;
Ta w miękką trawę upadnie jak długa,
Ta już tymczasem kwiatków nazbierała;
Z tych wieńce wijąc, głowy sobie stroim,
O brylantowe korony nie stoim.

Szczera wesołość, śmiech, żarty niewinne,
Nikogo zgorszyć — owszem cieszyć mogą;
Prostoty naszej niech się ucza inne,
Przystojnych zabaw z nami idą drogą,
To co ma która, wybiera z koszyka,
Jemy ser z chlebem i masło z jaszczyka.

Po tym bankiecie, chcący trunku zażyć,
Spieszno biegniemy do naszej piwnicy,
Którą nad winne więcej trzeba ważyć,
Czystej jak kryształ pod skałą krynicy,
Z tej, codzień dzbanem pijąc nie ubywa,
W pełni zostaje, nikt jej nie dolęwa.

Gdy już z południa słońce niezbyt grzeje,
Wychodzim z gęstych lasów na krzewiny,
Tam gdzie chłód miły od pagórków wieje,
Igramy w babkę pomiędzy jedliny.
Patrząc przez niskie krzaczki i jałowce,
Czy dobrze nasze napasy się owce.

Samym wieczorem zbliżając ku domu,
Zganiamy trzody spodem do gromady;
Poznają owce co należy komu,
Bierzemy swoje bez swaru, bez zwady,
Żadna nie zbłądzi do cudzej owczarnie,
Każda do swego szałasus się garnie.



PACIERZ STARCA.

Gończe złotego słońca, różana jutrenko!
Jużes to w chatki mojej zajrzała okienko?
O jak ślicznie z twej twarzy promień bije czysty,
Przez te młode gałązki leszczyny krzewistej!
I ty, coś tu pod belką zlepiła gniazdeczko,
Nucąc sobie, świt biały witasz jaskóteczko!
Już i ranny skowronek wdzięczny głos wydaje,
Wzbiwszy się lekkim skrzydłem na powietrzne kraje.
Wszystko ze snu głuchego przyrodzenie wstawa:
Zwilżona chłodną rosą podniosła się trawa,
Każdy się kwiat rozwija i kształt bierze żywy,
I mnie się zdaje, że mój włos odmłodnia siwy.
Kiju mój! ty starości mej wierna podporo,
Prowadź mię, już bez ciebie w tym wieku niesporo.
Za tym sobie ogródkiem na wschód słońca sięde,
I łąkom się zielonym przypatrywać będę.
Lasy, pagórki, pola nieścignione okiem,
O jak cudnym myśl błędną karmicie widokiem.

Którekolwiek mych uszu dolatują pienia,
Wszystkie są głosem szczęścia, głosem dziękczynienia.
Pastuszek na ugorze, ptaszek na gałęzi,
Opiewa słodką radość, co mu serce więzi.
Skaczą wesołe trzody po wzgórkach zielonych;
Po dolinach czystymi strugi przeplecionych,
Harcują tłuste capy, byk się zbija z bykiem,
Każdy hucznym wesele okazując rykiem.
Długoż, ach! długoż jeszcze, Twórcu mój łaskawy,
Patrząc będę na dziwne Boskiej ręki sprawy,
I świadkiem twej dobroci? Już dziewiąty schodzi
Krzyżyk wieku, jako się w śliczną postać młodzi
Po białej zimie wiosna, a gdy myśl skrzydłata,
Patrząc na czas upłynny, ściga zbiegłe lata,
I plac ów dwoma kresy otoczony mierzy,
Co się między mym grobem i kolebką szerzy;
Cała ta niezmierna perspektywa okiem
Dni jasnych, dni fortunnych, upływa potokiem.
Ach, jak serce me pała wiekuisty Boże!
Ta radość niezwykajna, którą ledwo może
Zająkliwy wyrazić język; te też tonie,
Które hojnym strumieniem biegną po mem łonie,
Znam dobrze, jak są małe, jak słabe podzięk
Za wszystkie dobrodziejstwa, którem wziął z Twej ręki.
Płyńcie hojnym potokiem, płyńcie oczy moje,
Wytaczajcie obfite też rzęsiстых zdroje.
Przeżyłem tyle latek, miło wspomnieć na to,
Że mi wszystkie tak zeszły jak rozkoszne lato.
Ile dni — tyle pociech; a lubo je która
Nagłego smutku czasem zasępiła chmura.
Były to owe tylko krótkie drzewo-łomy,
Co z gęstym deszczem straszne wysypawszy gromy,
Po małej chwili nikną, a swemi przechody
W cudniejszy kształt obloką pola i ogrody.

Nigdy bystrego słońca bystre mi pożogi
Nie zmniejszyły się na mych gruntach plenne brogi;
Nigdy mróz tęgi rosnących szczepów mi nie skaził;
Nigdy przymrozek dojnych krówek nie zaraził;
Nigdy, srogami brzucha zmęczony przymory,
Nie wlał wilk krwawożerca do mojej obory,
Ani mi kiedy tłustych baranów podławił.
Nigdy w mej chatce długo zły wróg nie zabawił;
Wszystko szło mi szczęśliwie, wszystko jako z płatka,
Była bogata chatka, poczciwa czeladka.
A któż jeszcze wyrazić radość ową zdoła,
Gdy mię nadobne dziatki obsiadły dokoła?
Kiedym jedne prowadząc za drobniuchne ręce,
Uczył bezpiecznie stawiać stopki niemowlęce;
Drugie skacząc na łonie, z uciesznym pośpiechem
Bawiły płochą mową i wdzięcznym uśmiechem?
Teraz, gdy już pod twoją opieką urosły,
Twórco mój! i niepłonne owoce przyniosły;
Ciesząc się z trosk podjętych i złożonej pracy
Czekam, póki śmierć w domek mój nie zakolace.
Tak właśnie rosły moje najmilsze pociechy,
Jako oto te gruszki, te oto orzechy,
Com je przed laty, by mi skwar letni nie wadził,
Okolo chatki mojej we dwa rzędy sadił.
Teraz, gdy roztoczyły szerokie ramiona,
Mam z nich w jesieni owoc, mam w lecie zasłony.
Ty sama, ty trosk moich, tych żalów jedyną
Stałaś się, ukochana małżonko, przyczyną!
Tyś bieg radości trwałych, niestety przerwała,
Gdyś mi z oczu w podziemne kraje uleciała.
Pomnę, ach pomnę, kiedy przy ostatnim zgonie
Złożyłaś na pół martwą głowę na mem łonie;
Kiedym struchlałą ręką oczy twe zawierał,
I z tobą razem z srogich frasunków umierał.

Już to dwunasna wiosna mija od tej daty,
Jak twój grób łzami zlewam i sypię nań kwiaty;
Lecz wkrótce dzień wesóły, dzień przyjdzie fortunny,
Co me kości położy obok twojej trumny;
A te serca, co w ślicznej wiek spędziły dobie,
I po śmierci spoczywać będą w jednym grobie.





ŻONA MODNA.

— A ponieważ dostałeś coś tak drogo cenit,
Winszuję panie Pietrze, żeś się już ożenił.
— Bóg zapłać. — Cóż to znaczy? oziębłe dziękujesz,
Alboż to szczęścia twego jeszcze nie pojmujesz?
Czylić się już sprzykrzyły małżeńskie ogniwa?
— Nie ze wszystkim: luboć to zazwyczaj tak bywa,
Pierwsze czasy cukrowe. — Toś pewnie w goryczy?
— Jeszcze! — Bracie trzymaj więc, coś dostał w zdobyczy,
Trzymaj skromnie, cierpliwie: a milcz tak jak drudzy,
Co to swoich małżonek uniżeni słudzy,
Z tytułu ichmościowie, dla oka dobrani,
A jejmość tylko w domu rządczynia i pani.
Pewnie może i twoja? — Ma talenta śliczne,
Wziąłem po niej w posagu cztery wsi dziedziczne.
Piękna, grzeczna, rozumna. — Tem lepiej: — Tem gorzej,
Wszystko to na złe wyszło i zgubi mnie sporzej.
Piękność, talent, wielkie są zaszczyty niewieście;
Cóż potem, kiedy była wychowana w mieście.

— Alboż to miasto psuje? — A któż wątpić może?
Bodaj to żonka ze wsi! — A z miasta? — Broń Boże!

— Żłem tuszył, skorom moją pierwszy raz obaczył:
Ale, żem to com postrzegł, na dobre tłumaczył,
Wdawszy się już, a nie chcąc dla damy ohydy...
Wiejski Tyrsys wzdychałem do mojej Fillidy.
Dziwne były jej giesta i misterne wdzięki:
A nim przyszło do ślubu i dania mi ręki,
Szliśmy drogą romansów, a czym się uśmiechał,
Czym się skarżył, czy milczał, czy mówił, czy wzdychał,
Widziałem, żem nie dobrze udawał aktora:
Modna Fillis gardziła sercem domatora.
I ja byłbym nią wzgardził, ale punkt honoru,
A czego mi najbardziej żal, ponęta zbioru;
Owe wioski, co z memi graniczą, dziedziczne,
Te mnie zwiodły, wprawiły w te okowy śliczne.

— Przyszło do intercyzy. Punkt pierwszy: że w mieście
Jejmość przy doskonałej francuzkiej niewieście,
Co lepiej, bo Francuzka, potrafi ratować,
Będzie mieszkać, ilekroć trafi się chorować.
Punkt drugi: chociaż zdrowa czas na wsi przesiedzi,
Co zima jednak miasto stołeczne odwiedzi.
Punkt trzeci: będzie miała swój ekwipaż własny.
Punkt czwarty: dom się najmie wygodny, nie ciasny:
To jest, apartamenta paradne dla gości,
Jeden z tyłu dla męża, z przodu dla jejmości.
Punkt piąty: a broń Boże! zląkłem się. — A czego?
— Trafia się, rzekli krewni, że z zdania wspólnego,
Albo się węzeł przerwie, albo się rozłączy.
— Jaki węzeł? — Małżeński. — Rzekłem: ten śmierć kończy!
Rozśmieli się z wieśniackiej przytomi prostoty.
I tak płacąc wolnością niewczesne zaloty,

Po zwyczajnych obrządkach rzecz poprzedzających,
Jestem wpisany w bractwo braci żałujących.

— Wyjeżdżamy do domu. Jejmość w złych humorach:
— Czem pojedziem? — Karetą. — A nie na resorach?
Daliż ja po resory. Szczęściem kasztelanic,
Co karetę angielską sprowadził z zagranic,
Zgrał się co do szeląga. Kupiłem. Czas siadać,
Jejmość słaba. Więc podróż musimy odkładać.
Zdrowsza jejmość, zajeżdża angielska karyta,
Siada jejmość, a przy niej suczka faworyta;
Kładą skrzynki, skrzyneczki, woreczki i paczki,
Te od wódek pachnących, tamte od tabaczkki,
Niosą pudło kornetów, jakiś kosz na fanty;
W jednej klatce kanarek co śpiewa kuranty,
W drugiej sroka; dla ptaków jedzenie w garnuszku,
Dalej kotka z kocięty i mysz na łańcuszku.
Chcę siadać, nie ma miejsca; żeby nie zwlec drogi,
Wziąłem klatkę pod pachę, a suczkę na nogi.
Wyjeżdżamy szczęśliwie, jejmość siedzi smutna,
Ja milczę, sroka tylko wrzeszczy rezolutna.
Przerwała jejmość myśli: — Masz waćpan kucharza?
— Mam, moje serce. — A pfe! koncept z kalendarza;
Moje serce! proszę się tych prostactw oduczyć.
Zamilkłem, trudno mówić, a dopieroż mruczyć.
Więc milczę. Jejmość znowu o kucharza pyta.
— Mam, mościa dobrodziko. — Masz waćpan stangryta?
— Wszak nas wiezie. — To furman, trzeba od parady
Mieć inszego. Kucharza dla jakiej sąsiady
Możesz waćpan ustąpić. — Dobry. — Skąd? — Poddany.
— To musi być zapewne nieoszacowany,
Musi dobrze przypiekać recuszki, łazanki,
Do gustu pani wojskiej, panny podstolanki,
Ustąp go waćpan, przyjmą pana Matyasza,

Może go i ksiądz pleban użyć od kiermasza.
A pasztetnik? — Umiąłci i pasztety robić.
— Wierz mi waćpan, jeżeli mamy się sposobić
Do uczciwego życia, weźże ludzi zgodnych,
Kucharzy cudzoziemców, pasztetników modnych;
Trzeba i cukiernika. Serwis zwierciadlany,
Masz waćpan i figurki piękne z porcelany?
— Nie mam. — Jak to być może? Ale już rozumiem,
I lubo jeszcze trybu wiejskiego nie umiem,
Domyślam się. Na wety zastawiają pułki:
Tam w pięknych piramidach krajanki, gomułki,
Tatarskie ziele w cukrze, imbir chiński w miodzie,
Zaś ku większej pociesze razem i wygodzie,
W ładunkach bibułowych kmin kandyzowany,
A na wierzchu toruński piernik poślacany.
Szkoda mówić, to pięknie, wybornie i grzecznie,
Ale wybac mi waćpan że się stawię sprzecznie:
Jam niegodna tych parad, takiej wspaniałości. —
Zmilkiałem, wolno było żartować jejmości.
Wjeżdżamy już we wrota, spojrziała z karety:
— A pfe mospanie! parkan, czemu nie sztachety?
Wysiadła: a z nią suczka i kotka i myszka.
Odepchnęła starego szafarza Franciszka,
Łzy mu w oczach stanęły, jam westchnął. W drzwi wchodzi:
— To nasz ksiądz pleban. — Kłaniam. — Zmarszczy
[się dobrodziej].
— Gdzie sala? — Tu jadamy. — Kto widział tak jadać!
Mała izba, czterdziestu nie może tu siadać.
Aż się wzdrzygnął Franciszek skoro to wyrzekła,
A klucznica natychmiast ze strachu uciekła.
Jam został: idziem dalej; tu pokój sypialny.
— A pokój do bawienia? — Tam gdzie i jadalny.
— To być nigdy nie może. — A gabinet? — Dalej,
Ten będzie dla waćpani, a tu będziem spali.

— Spali? proszę mospanie do swoich pokojów.
Ja muszę mieć osobne od spania, od strojów,
Od książek, od muzyki, od zabaw prywatnych,
Dla panien pokojowych, dla służebnic płatnych,
A ogród? — Są kwatery z bukszpanu, ligustru.
— Wyrzucić; nie potrzeba przydatnego lustru,
To niemczyzna. Niech będą z cyprysów gaiki,
Mruczące po kamykach gdzieniegdzie strumyki,
Tu kiosk, a tu meczecik, holenderskie wanny,
Tu domek pustelnika, tam kościół Dyanny;
Wszystko jak od niechcenia, jakby od igraszki:
Belwederek maleńki, klateczki na ptaszki.
A tu słowik miłośnie szczebioce do ucha,
Synogarlica jęczy, a gołąbek grucha:
A ja sobie rozmyślam pomiędzy cyprysy,
Nad nieszczęściem Pameli albo Heloisy...
Uciekłem, jak się jejmość rozpoczęła zżymać,
Już też więcej nie mogłem tych bajek wytrzymać,
Uciekłem. Jejmość w rządy: pełno w domu wrzawy,
Trzy sztafety w tygodniu poszło do Warszawy;
W dwa tygodnie już domu i poznać nie można,
Jejmość w planty obfita a w dziełach przemożna,
Z stołowej izby belki wyrzuciwszy stare,
Dała sufit, a na nim Wenery ofiarę.
Już alkowa złocona w sypialnym pokoju,
Gipsem wymarmurzony gabinet od stroju.
Szły słoiki z apteczki, poszły konfitury,
A nowem dziełem kunsztu i architektury,
Z półek szafy z mahoni, w nich książek bez liku,
A wszystkie po francuzku; globus na stoliku.
Buduar szkli się złotem, pełno porcelany,
Stoliki marmurowe, zwierciadlane ściany.
Zgoła przeszedł mój domek warszawskie pałace,
A ja w kącie nieborak, jak płacę, tak płacę.

To mniejsza, lecz gdy hurmem zjechali się goście,
Wykwintne kawalery i modne jejmoście,
Bał, maski, trąby, kotły, gromadna muzyka:
Pan szambelan za zdrowie jejmości wykrzyka,
Pan adjutant wypija moje stare wino,
A jejmość w kącie siedząc z panią starościna,
Kiedy się ja uwijam jako jaki sługa,
Coraz na mnie pogląda, śmieje się i mruga.

Po wieczery fajerwerk, goście patrzą z sali:
Wpadł szmermel między gumna, stodoła się pali!
Ja wybiegam, ja gaszę, ratuję i płacę...
A tu grzmią coraz głośniejsze wiwat trębaczce!
Powracam zmordowany od pogorzelska;
Nowe żarty, przymówki, nowe pośmiewiska.
Siedzą goście, a coraz więcej ich przybywa,
Przekładam zbyt ni ekspens: jejmość zapalczywa,
Z swojemi czterma wsiami odzywa się dwornie:
— I osiem nie wystarczy, przekładam pokornie.
— To się wróćmy do miasta. — Zezwoliłem, jedziem;
Już tu od kilku niedziel zbyt kujem i siedzim.
Już... — Ale dobrze mi tak, choć frasunek bodzie:
Cóż mam czynić? próżny żal, jak mówią, po szkodzie.





KUPIDO POKORNY.

Wara chłopcze bo cię zranie,
Strzałki bo jednej połamę,
I na większe ukaranie,
Ugodzę cię w piersi same.

Piórka z skrzydełek wyskubię,
Sajdaczek na popiół spale,
Wreszcie samego oczubię,
I ani się nie uzalę.

Takem łajał, takem fukał
Na chłopczyka, co mnie zblizka
Stojąc, czegoś w rzeczy szukał,
Ażeby ujść pośmiewiska.

Rączki mu na dół opadły,
Nosek zwiesił, oczka spoił,
Jagódki mu obie zbladły,
I minkę smutną nastroił.

Potem wzroczek wzniośszy miły:
»Jeżelim ci jest na zdradzie,
I jeżeli masz dość siły,
Bij mnie!« — To rzekłszy się kładzie.

Waham się, nie wiem co robić,
Tak mię zmięczył, tak mię strwożył.
Jakże tu go było obić,
Kiedy mi się sam położył.

ANAKREONTYK

PRZY ODEBRANIU CZASZY WINA Z PIĘKNYCH RĄK.

O! wdzięków zbiory,
Piękności wzory,
Panie, królowe, boginie!
Niech wasze oko,
Sięga głęboko,
Nie sądząc gracza po minie.

Włos mi ubielił,
I twarz podzielił,
Srogi czas w różne zagony;
Lecz na tę szkodę,
Dał mi w nagrodę,
Serdeczny zapach zwiększony.

Tak Hekla siwa,
Śniegiem pokrywa
Swoje ogniste pieczary;

Wierzch ma pod lodem,
Zielona spodem,
I wieczne karmi pożary.

Płyń mi w potoku,
Bachowy soku,
Ręką przelany życzliwą.
Gdy na cześć waszę,
Pełniąc tę czaszę,
Przygaszam ogień oliwą!



KAJETAN
WĘGIERSKI

1755 *1787*

MÓJ ŚWIAT.

Niech kto chce wielbi dawne swobody,
I złote wieki Astrei,
I Adamowe rajske ogrody
Z wiekiem Saturna i Rhei:
Ja jeden kontent przecie,
Że teraz żyję na świecie.

Wiek ten złośliwy, wiek oplakany,
Czci ani wiary niegodny,
Niech sobie będzie jak chce nazwany,
Dla mnie on bardzo wygodny.
I to mi jest bardzo miło,
Że dziś mi się żyć zdarzyło.

Kocham się w zbytkach, pieszczoty lubię,
Kunszta i życie wygodne;
Porządek chwale, gustem się chlubię,
I to mi ładne — co modne;
Niech to gust będzie złośliwy,
Tak myśli każdy uczciwy.

Bawi to duszę moją zwodniczą,
Gdy mi dostatek obficie
Nowe potrzeby, z nową słodyczą,
Na moje znosi użycie.
A ja, mych przodków wyrodek,
Wszelkich używam wygodek.

Ziemia swą żywność, niebo widoki,
Ogień mi daje wygodę;
Ptactwo i ryby swojemi zwłoki,
Mnożą mi moją swobodę.
Wszystko mi w życiu przyjazne:
Szczęśliwe wieki żelazne!

Jeśli to u mnie w małym jest względzie,
Że nie tak żyli przodkowie;
Że wolę biszkokt niżli żołądzie;
Niech mi kto na to odpowie?
On żołądz smaczną rozumiał,
Bo chleba upiec nie umiał.

Mało dbam o to, że tem nie będę,
Czem próżność może mię łudzić;
Spokojny zawsze z cnotą usiędę,
Ni się dam pysze przebudzić.
Nikomiu nic nie zazdroszczę,
Sam się o przyszłość nie troszczę.

A jeśli sobie kto wyżej ceni,
Żyć pół w nadziei, pół w strachu,
Mnie lepszy własny wróbel w kieszeni,
Niż cudzy gołąb na dachu.
Myślcie sobie jako chcecie,
Dla mnie dość w dzisiejszym świecie!

FILOZOF.

Czy mam złoto, czy bez złota,
Zawszem żwawy i wesoły;
Pocziwego zdobi cnota,
Ani mu wstyd — kiedy goły.

Żony nie mam — mieć jej nie chcę,
Bo znam co to być żonatym;
Próżna duma mię nie łechce:
I na cóż mam być bogatym?

Gdy mi dobrze idą rzeczy,
Fortunie bardzo dziękuję;
Gdy mi swoich względów przeczy,
Wcale się tem nie turbuję..

Żeby mię nie wiem jak srogim
Ciosem, fortuna ścisłała:
Nie zrobi mię tak ubogim,
By mi cnota nie została.

Niewielkich skarbów potrzeba,
Na moje drobne ekspensa:
Żyję bez białego chleba,
I bez kosztownego mięsa.

Ni mnie trzeba kosztu na to,
Żeby coś na świecie znaczył;
Ani się stroję bogato,
By mnie ktoś przywitać raczył.

Nie zabieram spółki z temi,
Których przyjaźń ma kosztować:

Bo nie chcę pieniędzmi memi,
Przyjaciół sobie kupować.

Przyjaźń, co odbiega w nędzy,
Co nie jedna się z przymioty,
Co jest tylko dla pieniędzy:
Traci u mnie imię cnoty.

Tak więc żyjąc w własnym domu,
Mam się za dość bogatego:
Kiedym niedłużny nikomu,
Kontent jestem z losu mego!



DO WĄSÓW.

Ozdobo twarzy, wąsy pokrętne,
Powstaje na was ród zniewieściały;
Dworują sobie dziewczęta wstrętne,
Od dawnej Polek dalekie chwały.

Gdy pałasz mierzył cudze granice,
A wzrok marsowy sercami władał,
Ujmując wtenczas oczy kobiące,
Bożek miłości na wąsach siadał.

Gdy szli na popis rycerze nasi,
A męstwem tchnęła twarz okazała;
Maryna patrząc szepnęła Basi:
»Za ten wąs czarny — życie bym dała«!

Gdy nasz Czarniecki słynął żelazem,
I dla Ojczyzny krew swą poświęcał;
Wszystkie go Polki wielbiły razem,
A on tymczasem wąsa pokręcał.

Jana trzeciego gdy Wiedeń słaWił,
Głós był powszechny między Niemkami:
»Oto król polski co nas wybawił,
Jakże mu pięknie z temi wásami!«

Smutne w narodzie dzisiaj odmiany...
Rycerską twarzą Nice się brzydzi;
A dla niej Dorant wódkami zlany,
I z wása razem i z męztwa szydzi.

Kogo wstyd matki, ojców i braci,
Niech się z swojego kraju natrzása,
Ja zaś z ojczystej chlubny postaci,
Żem jeszcze Polak, pokręcę wása.

DO MIRTU.

Drzewo miłości! gdy piękny Adoni,
Goniąc za zwierzem siły swoje znużył,
Pod tobą, wsparłszy skroń ną białej dłoni,
Oczy przymrużył.

Włós mu po barkach igrał rozpuszczony,
Rumieniec mleczne roztwarzał oblicze;
A uśmiech puszczał z pod sennej zasłony,
Wdzięków słodycze.

W tej go postawie, przechodząc tamtędy,
Królowa Cypru pierwszy raz ujrzała;
I wnet nań tkliwe obracając względy,
Krok zatrzymała.

Ta czułość, którą serca ludzkie darzy,
Nad samej sercem wzięła panowanie:
Wstyd na jej boskiej różując się twarzy,
Wydał kochanie.

Gracye, skoro na jej twarz spojrzwały,
Z swoją się razem zapłoniły panią:
Spuściwszy oczy, więcej ich nie śmiały
Podnosić na nią.

Tymczasem orszak pacholąt życzliwy,
Rzeźkim na drzewo wskakując polotem,
Prosto mu w serce, niechybnym cięciwy
Wymierza grotem.

Złękła się Wenus i zagrozi wzrokiem,
By snu słodkiego jemu nieprzerwały.
Ufna swym wdziękom, że twarzą i okiem,
Stanie za strzały.

Posłuszne dzieci, co matka im każe,
Do swych sajdaków groty poskładają.
Więc po gałazkach odprawując strażę,
Broń zawieszają.

Ona westchnąwszy: — »Niechże te kołczany
Na znak pamiętnej zostaną wdzięczności;
O! *mircie!* — rzekła — bądź odtąd nazwany
Drzewem miłości!«



POWRÓT NA WIEŚ.

Otóż mój dom ubogi, też lepione ściany,
Też okna różnoszybne, piec nie polewany,
I niska strzecha moja! Wszystko tak jak było,
Tylko się ku starości więcej pochyliło!
Szczęśliwy! kto na małym udziale przebywa,
Spokojny siadł przy stole wiejskiego warzywa,
Z swej obory ma mięso, z ogrodu jarzynę,
Z domu napój i wierną przy boku drużynę.
Obym ja był tak dawniej myślił oszukany!
I w ukrytym gdzieś kącie żył raczej nieznanym:
Gdyby o mnie w powiecie nawet nie wspomniano,
I tylko mię sąsiadem dobrym nazywano!
Bym się żywił z krwawego rąk moich wyrobku,
Żył na świecie bez wieści, umarł bez nagrobku.
Com zyskał, że rzuciwszy ubogie zagrody,
Chciałem nieopatrzony płynąć przeciw wody?
I widząc na me oczy jak drudzy tonęli,
Jam sobie myślił: »oni płynąć nie umieli«.
Com zyskał, na wysokie pnąc się pańskie progi,
Gdzie po śliskich ich stopniach obrażając nogi,

Nic się z moim lepszego nie zrobiło stanem,
Prócz marnego wspomnienia że gadałem z panem.

Kiedy mię ojciec stary żegnał przy swym zgonie:
— Idź, mówił, synu na świat: w jakiej będziesz stronie
Pamiętaj, że na prawdzie nikt nigdy nie traci;
Zostawiam cię ubogim, prawda cię wzbogaci. —
Słuchałem cię mój ojczu! goszcząc między pany,
Takem pisał lub mówił, jak był przekonany.
Nie brałem sobie za cel ludzkie głosić winy,
A jeśli kogo chwalił — nigdy bez przyczyny.
Cóżem zyskał, pochlebstwem nie służąc nikomu?
Otom wrócił uboższym niż wyjechał z domu.
Nie przeto święta cnota porzucić cię trzeba,
Że wieku dzisiejszego nic nie dajesz chleba;
Choćby mi jeszcze wolniej miało szczęście pociec,
Bo i z prawdą pięknie jest i tak kazał ociec.

Trzeba wyznać jak było — że mi coś dawano:
Ale wszystkie godziny życia kupić chciano,
Żebym wieczny niewolnik nosił jarzmo czyje,
Żył cały komuś a sam zapomniał że żyję;
A wreszcie mi nadzieją szafowano szczodrze:
Nikomum źle nie zrobił, ani mnie nikt dobrze.
Nadziejo! czyż ja ciebie w złotej chciał mieć szacie,
Żeby oczy pospółstwo obracało na cię?
Żebym sływał majątkiem, drugimi pomiatał?
Nie otom ja pod drzwiami Fortuny kołatał:
Jedna wioska do śmierci, jeden dom wygodny,
Gdziebym jadł nie z wymysłem, ale wstał nie głodny;
Gdziebym się nie usuwał nikomu do zgonu,
Swym pługiem zoranego pilnował zagonu;
Spokojny będąc na tem co stan mierny niesie,
Stałbym sobie na dole, niech kto inny pnie się.

W tym zamiarze praca mię całe życie tłoczy;
Nad książkami straciłem i zdrowie i oczy:
Nad książkami, które ja, co gębie odjąłem,
Może zbytelnym na mnie nakładem ściągnąłem.
Co mi książki oddały? Jak niewierna niwa,
Co zgubiła nadzieję rolnikowi żniwa;
Po wieku mego wiosny niewróconej szkodzie,
Nachylony ku zimie, zostałem o głodzie.
Za lat Simonidesów albo Kochanowskich,
Może znalazłabym sobie Zamojskich, Myszkowskich,
Przy których bym wygodnie wieku mego użył,
I pismem pożytecznym narodowi służył.
Dziś, zabierz mi kto księgi, ten sprzęt nieszczęśliwy,
Do których mię przywiązał nałóg uporczywy;
I co mi będzie lepiej w ubóstwie usłużne,
Zamieniaj na motyki i żelaza płużne.
Porzucę nad pismami myśli kłopotliwe;
A serce niech mi tylko zostanie dotkliwe,
Żebym się mógł nad losem biedniejszych litować,
I przy pracy miał sposób bliźniego ratować.
Maryo! siostró moja! jakżeś się kwapiła!
Prawieś z moim powrotem i ty tu przybyła!
Czego stojąc w tym kącie z twarzą wyniszczoną,
Otoczona dziatkami nieszczęśliwa żono,
Poglądasz mi na ręce, rychło jakim datkiem
Wesprę cię, już goniącą majątku ostatkiem.
Nędza was, jak popadła tak statecznie gniecie!
I tyś także jak widzę prawdą szła na świecie.
Opłakana rodzinó! Wy myślicie ślepi:
»On był między panami i nam będzie lepiej«.
Byłem — i byłbym pewnie panom na coś zdalny,
To wiem, a tego nie wiem za com niepopłatny.
Stało się! nie mam swojej — kopmy cudzą grzędę,
Podeprzeć tę lepiankę — jeszcze w niej przebędę!

DUMA LUDGARDY.

Powiejcie wiatry od wschodu,
Z wami do mojego rodu,
Poszlę skargę obciążoną,
Miłością moją skrzywdzoną.
Smutna matka w dłoń uderzy,
Nieszczęściu zaraz uwierzy,
Przyszle mi braty obrońce,
I łuków serbskich tysiące.
Powiejcie wiatry od wschodu i t. d.

Ale stójcie Serby mężne!
Hamujcie razy potężne.
Choć mię Przemysław chce zgubić,
Ja go jeszcze wolę lubić.
Ja się tylko żalę na to,
Że moje upływa lato,
Że mię mej młodości zbawił;
Onby się może poprawił.
Powiejcie wiatry od wschodu i t. d.

Szczęśliwa wiejska dziewico!
Której miłość tajemnicą,
Nie znasz jeszcze serca pana:
I ty, co kochasz, kochana.
Ja króla mężnego żona,
Kochając go, pogardzona:
Gdy mię dojmie rozpacz sroga,
Błuzniąc, klnę siebie i Boga.
Powiejcie wiatry od wschodu i t. d.

Czego błyszczysz złoto marne?
Wszystko w oczach moich czarne;

Ten lud przedemną schylony,
I te Przemysława trony.
Obejrzyj się mężu twardy!
Jeden uśmiech — a mniej wzgardy,
Wróci szczęściu postać własną,
Da wszystkiemu barwę jasną.
Powieście wiatry od wschodu i t. d.

Ale on nieubłagany:
Pójdę do matki kochanej,
Pójdę choć w jednej koszuli:
Ona mię w smutku utuli.
Przechodząc lasów tajniki,
Może litościwy, dziki
Zwierz, mi życia nie uszkodzi;
Na które srogi mąż godzi.
Powieście wiatry od wschodu i t. d.

Gdzież mię ślepa miłość niesie?
Ona mię zbłąka po lesie,
Fałszywe ścieżki poradzi,
I tu mię nazad sprowadzi;
Żebym zgon mój nieszczęśliwy
Widziała, jak popędliwy
Uderzy hartowną strzałą,
W serce — które go kochało!
Powieście wiatry od wschodu,
Z wami do mojego rodu,
Poszlę skargę obciążoną,
Miłością moją skrzywdzoną!



MODLITWA ZA SWEGO PASTERZA.

Władco narodów! nieśmiertelny Panie!
Ty, niegdy na znak z Twym ludem ugody,
Kazałeś sobie zbudować mieszkanie;
Był on szczęśliwy pomiędzy narody,
Pókiś z nim mieszkał; zginął strasznym gromem,
Gdyś wzgardził jego ofiarą i domem.

Owa budowa, wieków tylu dzieło,
Co świat dziwiło ozdoby wytworem,
Rumem obalin okropnych gruchnęło,
Lud został wzgardą i tułaczów zbiorem.
Raz tylko tamte wieki to widziały,
A nasze tego po stokroć doznały.

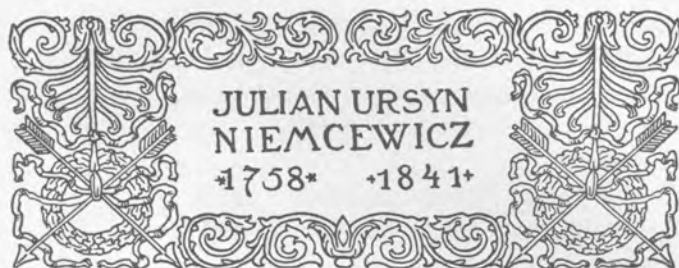
Jeszcze Cię nasze nie gniewają winy,
Gdy nas nie karzesz gromów takich gradem,
Gdy liche bierzesz z rąk naszych daniny,
I chcesz być naszym w tym domu sąsiadem.
Potwierdź tak święte tych związków obchody,
Dzień ten, niech będzie dniem z Tobą ugody.

Tyś naszych ojców pracy błogosławił,
Gdy Ci ołtarze i domy stawili;
Tyś ich pomiędzy sąsiady rozślawił,
Że się ich bali, kochali i czcili.
Nie karz potomków: Twój to zwyczaj stary,
Ochroniać syny — dla ich ojców wiary.

Błogosław naszym ogrodom i roli;
Tego — coś władzy namiestniczej cechą
Wybrał na zbawcę ich klęsk i niedoli:
Uczyń i naszą i wnuków pociechą;
Wspomnij i o tych, co Cię ofiarami
I modły swemi — błagają za nami!

Wszak to o wiarę idzie twego ludu...
Tyś im powierzył pasterstwo nad nami,
Widzisz szacowne owoce ich trudu:
Że Twe świątnice nie stoją pustkami;
Ni świętych winnic głuszą dzikie krzaki;
Mamy w nich mistrzów, ojców, — nie próżniaki.

Spraw Panie, by ten stróżów orszak drogi
Owczarni Twojej, żadnej smutnej chwili
Nie widział nigdy przed swojemi progami.
On na to żyje — byśmy Tobie żyli;
Więc Ty ich życie chciej dla nas zachować:
Broń, byśmy kiedy ich mieli żałować!



POGRZEB

KSIĘCIA JÓZEFA PONIATOWSKIEGO.

Z pomiędzy bojów i gradów ognistych,
Wierna swej sprawie, nieodstępna znaków,
Szła wolnym krokiem do siedlisk ojczystych,
Garstka Polaków.

Skoro lud postrzegł jak wzdęte wiatrami,
Białe z czerwonym proporce migają,
Wstrzęsło się miasto radości głosami:
»Nasi wracają!«

Niedługa radość; każdy pyta chciwie:
Kędyż jest wódz nasz dzielny, okazały,
Co nam tak długo przewodził szczęśliwie,
Na polu chwały?

Już go nie widać na czele tych szyków,
Których był niegdyś duszą i ozdobą;
Okryte Orły, zbroje wojowników,
Czarną żałobą.

Już go nie widać w pośród hufców dzielnych,
Gdzież jest? — Czy słyszysz żal wszystkich głęboki:
Patrzaj, złożone na marach śmiertelnych,
Rycerza zwłoki.

Te mary, wóz ten, spoczynek po znoju,
Lud wdzięczny łzami oblewa rzewnemi,
Ciagną go wierni towarzysze boju,
Piersi własnemi.

Idzie za trumną koń jego waleczny,
Z schyloną głową, czarną niosąc zbroję;
Idź koniu smutnie, już pan twój bezpieczny,
Zamknął dni swoje.

Żałosne trąby, wy flety płaczliwe,
Wy, chwiejących się Orłów srebrne dźwięki,
Umilczcie — ranią piersi moje tkliwe,
Te smutne jęki.

Patrz! przed świątynią, przy światłach gasnących,
Porywa młodzież z wozu ciężar drogi,
I wnosi w pośród grzmotu dział bijących,
W wieczności progi.

Modły kapłanów, braci twoich łkania,
Wznoszą się tam gdzie mieszka Bóg przedwieczny;
Ach! przyjm ostatnie te ich pożegnania,
Wodzu waleczny!

Dzieliłeś z nami ciężkie utrapienia,
Wielkie ofiary, prace bez nagrody,
I zamiast słodkich nadziei ziszczenia,
Gorzkie zawody!

Tulmy łzy nasze! już jesteś szczęśliwy:
Kto za Ojczyznę walczył, poległ śmiały,
Już temu wieniec dał Bóg sprawiedliwy,
Wieczystej chwały.

Wdzięczni ziomkowie ceniąc zgon i życie,
Nie dadzą wiekom zatrzeć twoich czynów;
Wzniosą grób pyszny, zawieszą na szczycie,
Wieniec wawrzynów.

Wyryją na nim, jak w ostatniej toni,
Śmierć, nad nadzieje przenosząc zgubione:
Runąłeś z koniem i orężem w dłoni,
W nurty spienione.

Posąg twój będzie lud otaczał mnogi;
Ten napis twarde zachowają głązy:
»Tu leży rycerz, co walczył bez trwogi,
I żył bez skazy«.

Tam żołnierz, pełen rycerskiej ochoty,
Zaostrzy oręż o krawędź twej tarczy,
Pewien, że przez to nabywszy twej cnoty,
Tysiącom starczy.



WYJĄTEK Z WIERSZA »DO LEGIONÓW«.

Co za widok wspaniały uderza me oczy!
Tam, gdzie Erydan nurty lazuruwe toczy,
Gdzie Gallów z Germanami Ren dzieli szeroki,
I gdzie Tyber skrapiając Scypionów zwłoki,
Zazdrośny sławy Rzymu, w swem łonie głębokiem
Ukrywa twórcze dzieła przed najezdcy okiem,
I skąd niesyty niegdyś i sławy i danin,
Jednym berła — a drugim słał pęta Rzymianin,
Który dla swych widoków i wojennych trudów,
Nie znał innej granicy na pokorę ludów;
Gdzie potem, na Trajanów i Tytusów tronie,
Siadłszy święty rybołów w troistej koronie,
Ze schodów marmurowych, nakształt majestatu,
Dwa palce, zamiast berła pokazywał światu *);
Gdzie bystry Dunaj, świadek tylu krwawych bojów,
Niesie morzu daninę krajoróżnych zdrojów,
I gdzie Wulkan z swej paszczy czarną lawę ziewa:
Wszędzie sztandar zwycięski Sarmatów powiewa;

*) Urbi et orbi.

A wśród ojczyściej mowy, stroju, obyczaju,
Zda mi się, że na łonie mego jestem kraju;
I nie pędź tej słodkie omamienie ginie,
Aż gdy wzrok mój po obcej zapuszczę krainie.

Liczbą zbrojnych przychodniów mieszkancie zdziwiony,
Trwożnem okiem przebiega obce legijony;
Jakie ich przedsięwzięcie, jaki zamysł, bada,
Sam siebie zapytuje i sam odpowiada:

— Może umysł napadów albo zwycięstw chciwy,
Nowych wieździe Attyłów na Auzońskie niwy? —
Nie! To naród szlachetny, łagodny, spokojny,
Zawsze był męźny w boju, lecz nie szukał wojny.
— Może klima niewdzięczne, chciwość lub potrzeba,
Zagnały tych wędrowców pod te szczęsne nieba,
Gdzie ziemia, co rok płodna, nie znając odłogów,
Lubym niegdyś pobytem była ojca bogów? —
Nie! Zamoźny i w niwy i stada i trzody,
Ten lud inne odziewał i żywił narody!
Gościnnie, dzielił z obcym dostatek krajowcem,
Lubił wspierać przychodniów, sam nie był wędrowcem.
— Może smutne Pergamu rzuciwszy zwaliska,
Nowi jacy Trojanie szukają siedliska,
Chąc na wzór Eneasza nowem państwem słynać? —
Nie! Przyszli za kraj walczyć lub za niego zginąć!

.....
Brzeg Auzoński za mały na wasze był czyny,
Sława was w odleglejsze wzywała krainy;
Kędy ojce szukały winy odpuszczenia,
Ich dzieci szły na hasło Ojczyzny zbawienia.
Tam, okryty laurami na werońskim polu,
Dzienne rozkazy Polak dawał z Kapitolu;
I gdzie bagna pontyńskie dech zabójczy zioną,
Wszędzie widziano ziemię krwią jego zbroconą;

Walcząc mężnie na polach nowej Partenopy,
Utkwił sztandar Sarmacki na krańcach Europy.
Tam obiegłszy zwyciężkim krokiem okolice,
Zdobit w pamiątki mężstwa niewdzięczną stolicę*).

Może kiedyś życzliwsze od swych ojców plemię,
Patrząc na shołdowane i ludy i ziemie,
Na zwycięskich w swym grodzie znaków skład bogaty:
Wspomni imię z wdzięcznością mężnego Sarmaty.

*) Generał Kniaziewicz złożył na uroczystym posiedzeniu Dyrektoryatu w Paryżu chorągwie neapolitańskie.



SMUTNO MI PANIE.

Smutno mi Panie na tej nędznej ziemi!
Odarty z siły, pociech i swobody,
Przebijam nieba oczyma łzawemi,
Czy tam weselszej nie znajdę gospody?
Bo tu, gdzie zwrócę oko me lub ucho,
Wszędy pustynię napotykam głuchą;
Bo przez ubiegłe od młodości lata,
O klucz do szczęścia pytałem u świata,
Lecz świat na moje nie odrzekł pytanie.
Aż potargawszy w ciężkim trudzie siły,
Gdy drżącą stopą dotykam mogiły:
Smutno mi, smutno o Panie!

Minęła wiosna wśród rajskich uniesień,
Lato swym skwarem znękało pielgrzyma,
Przeszła bez żniwa życia mego jesień,
I dziś mordercza przyciska mię zima.
Czyż sny młodości i złote nadzieje,
Zanim z nich burza wonny kwiat obwieje,

Po długim życiu, choćby raz przed zgonem,
I najskromniejszym nie pocieszą plonem?
Czy w Twojem słowie święte zaufanie,
Z którym wychodzim w drogę życia śliską,
Wyjdzie wierzącym na urągowisko?

Smutno mi, smutno o Panie!

Dałeś mi serce i trochę zdolności,
Rychłom ku cnocie ramiona wyteżył,
Zwiodłem walk mnóstwo z hydrą przeciwności,
Opierałem się — ale nie zwyciężył.
Próżno, młodzieńczym uniesion zapałem,
Echa mym czuciom wśród ludzi szukałem;
Próżno przez życia wzburzone bałwany,
Brnąłem sam jeden i niezrozumiany.
Są, którym zdolność, przyjaźń lub kochanie,
Snują nić złotą i w dojrzałych latach...
Lecz pocóż marzyć o powiędłych kwiatach?
Smutno mi, smutno o Panie!

Dar pieśni brzmiących jest potężnym darem:
To balsam z niebios na ludzkości rany;
Lecz ołowianym dar ten jest ciężarem,
Gdy śpiew o głuche rozbija się ściany.
Inny czas — innych śpiewaków powołał...
Ci, do serc których śpiew ten trafić zdołał,
Stargani w krwawych a płonnych wysiłach,
Już od lat wielu drzemią po mogiłach.
Tak, z lutni wziętej pod dni mej zaranie,
Z lutni, w bolesnych rozstrojonej jękach,
Co się dziś w moich potrzaskała rękach,
Zwracam ci drzazgę, o Panie!

— Cóż to? cud stał się! Rozprysnę kawały
Lutni, moc jakaś w dziwne kształty klei.
Nieznane dźwięki z jej głębi zabrzmiały:
Słyszę hymn wiary, miłości, nadziei!
Jakaż potęga życiem ją natchnęła?
Dźwięcz lutni! wyższe opiewając dzieła,
I ogłoś światu boskie panowanie!
Pod wpływem blasku cudotwórczej tęczy,
Niech głos twój gromi, pociesza lub jęczy,
A ty skończ pieśń tę, o Panie!





PRZECHADZKA WIECZORNA.

Dzień rumiany spuścił oczy,
Cień kwitnące krzewy mroczy,
Po wsi ścigają się dziatki,
Niosąc jagódki i kwiatki.

Tam pasterka w głębi siola,
Błędne krówki na noc woła,
Słońce za lasy uchodzi,
Bramy złoczone odwodzi.

Koń opuszcza żółte łany,
Wraca miedzą popętany,
Grusze, co w polu się bielą,
Długi ku drodze cień ścielą.

Już zaporą skrzyła chatka,
Gdzie przy dziatwie sama matka,
Skowronek zniża się w łany,
Żegnając dzień prześpiewany.

Na głos dzwonka wstał ubogi,
Który siedział koło drogi,
Nucąc nabożnie przez gaje,
Na spoczynek się udaje.

Na kościółku krzyż blaszany,
Błyszczą blaskiem zórz obłany,
Ptaszki ruszyły się z wieży,
Skąd wołanie dzwonek szerzy.

Z pola idąc z wiązką siana,
Pada matka na kolana,
Z dzwonkiem pod nieba sklepienie,
Maryi szle pozdrowienie.

Wzniosła lipa przy kościele,
Długi cień na pola ściele;
Jakoby łzami żaloby,
Rosa upada na groby.

Krzyż spruchniały, pochylony,
Nad mogiłą wyniesiony,
Wiatr chorągiewką kołysze,
Smutne przerywa zacisze.

Za parkanem między krzewy,
Zaczął słowik dźwięczne śpiewy,
Kwiatkom drzemiącym na łące,
Świecą robaczki błyszczące.

Na pagórku po nad łany,
Stoi prosty krzyż drewniany,
Na nim w cierniowej koronie,
Zbawca świata schylił skronie.

Tam pobożnych ojców dziatki,
Nastawiły w dzbankach kwiatki,
Pod nim okropna mogiła,
Ciało nieszczęsne pokryła.

Od przechodniów w noc stroniona,
Choinami przywalona,
Człowiek z nadzieją zwaśniony,
Szukał u śmierci ochrony.

Nie chciał w smutku ufać Bogu,
Nie śpi przy kościółka progu,
W nocy bez pieśni kapłana,
Jego mogiła sypana.

Wiatry tylko między skały,
Między bory zaszumiały,
Kiedy na trawę rzucona,
Biedna płakała go żona.

DO KONIKA POLNEGO.

Skądże to wiejski śpiewaku,
Pod mem oknem twoje głosy?
Jakież cię miły żebraku,
Aż tu zapędziły losy?

Wysieczono twoje łąny,
Gdzieś swobodnie pieśni nucił;
Aż do miasta zabłąkany,
Jakżeś mię bardzo zasmucił!

Nie tobie śpiewaku polny,
Miejskie przystało schronienie;
Ciche gaje, umysł wolny,
Natchnie tylko lube pienie.

I mnie teraz miasto więzi,
Com lubił wiejskie zacisze;
Zawieszoną na gałęzi,
Wiatr moją lutnią kołysze.

Więc gościnę w równym stanie,
Przyjm śpiewaku w domku moim,
Z kwiatów ci zrobię posłanie,
Czystym uroszę je źródłem.

Siądiesz czasem na mej lutni;
Tu samotni w wolnej chwili —
Oba tęskni, oba smutni,
Po wiejsku będziemy nucili.





GIERMEK.

Smutnie w polskiej było ziemi,
Smutne wojsko i lud smutny:
Wszystko siły przygniótł swemi,
Pobił, zajął Szwed okrutny.

W długim cieniu drzew lipowych,
Koczowały zbite szyki,
Przy ogniskach obozowych,
Stały nieme wojownicy.

Gdy w tem, siwym strojny włosem,
Którym lekki wiatr powiewał,
Wieszcz się znanym ozwał głosem,
Trącił w lutnię i tak śpiewał:

»Mile gadka dawnej treści,
Brzmi dla ucha, w serce wpływa;
W starych czasach to powieści,
Stara dzielność się ukrywa.

»Był czas, gdyśmy za przedmurze,
Za tarcz ludom, światu stali;
Był czas, gdyśmy wschodnie burze,
Piersią naszą odpierali.

»Lasem polskich dzid, narody
Zasłaniane od podboju:
Wynucały pieśń swobody,
Pieśń miłości, pieśń pokoju.

»Naszym hymnem był szcęk broni,
Trąb wojennych dzikie dźwięki,
Wrzawa bitew, grzmot pogoni,
I rozległe rannych jęki.

»Złoci wieczór łąn Podola,
Ciągną wojska, tabor, wozy,
Tętnią całe lasy, pola,
Stoją groźne dwa obozy.

»Z jednej strony sztandar wiary,
Siwy hetman, młodzież dziarska;
Z drugiej wściekłość, krew, pożary,
I straszliwa czerń tatarska.

»Jutro, jutro, z rannym brzaskiem,
Dzień gonitwy, dzień rozprawy;
Słońce krwawym zaszło blaskiem,
Bój to będzie straszny, krwawy!

»Ledwie pierwszy zmrok zapada,
Siwy hetman kord przypasze,
Z młodym giermkim na koń siada,
I objeżdża czaty nasze.

»Jedzie, patrzy w obóz dziczy,
Słucha gwaru, rżenia koni,
Pyta, zważa, ognie liczy,
I już w myśli łamie... goni...

»O! nie ciesz się wodzu stary,
Zmienne wojny są koleje,
Nie tak łatwo to z Tatary;
Słuchaj, patrzaj co się dzieje.

»Hurra! hurra! pędzi horda,
Nocny napad w obóz leci;
Giermek za broń, wódz do korda:
Na koń! woła, na koń! dzieci!

»Spieszą, biegną do swych szyków,
W pośród nocnych pędzą cieni;
Gdy w tem z grzmotem nowych krzyków,
Zewsząd czernią otoczeni.

»Tną i walczą na przebicie,
Rąbie hetman, giermek łamie,
Całą młodość, ogień, życie,
W wojujące przelał ramię.

»I już słyszą, słyszą w dali,
Jak nadbiega polska wiara;
Ale już ich nie ocali,
Już nie wyrwie z rąk Tatara.

»Wzięty giermek, hetman wzięty,
Krzyczy, huczy motłoch dziki;
Bucha gniewem han zacięty,
Patrząc na swe niewolniki.

»Wre — i zemstą ryczy srogą:
Każe jednym skuć żelazem
Nogę giermka z wodza nogą,
I tak obu więzić razem.

»Smutnie wzrok ich wzniósł się, zwrócił,
Na niebieskie gwiazd sklepienia...
Ale na cóż bym wam nucił,
Ich boleści, ich marzenia?

»O! kto nigdy pęt nie nosił,
Kto nie jęczał w wrogów mocy,
Strawy swojej łąz nie rosił,
Nie przetęsknił długich nocy;

»Kto w pół dzikim, podłym tłumie,
Nie włókł ciężkich lat niedoli:
Ten nie pojmie, nie zrozumie,
Jak jest gorzkim chleb niewoli!«

I na chwilę, marząc smutnie,
Wieszcz ucicha — łzę wylewa;
I znów nagle trąca w lutnię,
I tak dalej gra i śpiewa:

»Zasnął hetman siwobrody,
Zasnął, jakby między swemi;
Nie śpi, czuwa giermek młody,
Długo o swej duma ziemi.

»I łąz tryska mu w źrenicy,
Żal i rozpacz serce tłoczy;
Gdy w tem nagle w swej ciemnicy,
Zapomniany topór zoczy.

»Patrzy, duma, drży i marzy,
Serce szczytnym ogniem płonie;
Wielki w duszy zamiar waży,
Topór w obie chwyta dłonie —

»I podnosi rękę śmiałą,
Mężnie ku swym pętom zwróci,
Tnie, odcina nogę całą,
I hetmana swego cuci.

»— Wolnyś, rzeczce, straż zaspana...
Uchodź, ocal twą krainę!
Spiesz i pobij wojsko hana,
Ja z radością tutaj zginę!

»Powstał hetman i wzniosł dłonie,
Rzewnemi się łzami zalał...
Żegnał, boskiej zdał obronie,
Ścisnął — uszedł — i ocalał!

»A w tem straż się ze snu zrywa,
Wieść ucieczki wodza szerzy,
I sam wreszcie han przybywa,
I zaledwie oczom wierzy.

»Długo, długo wzrok swój wryty,
W śmiałych topi mu źrenicach;
Stoi jakby gromem zbity,
Po dostojnych czyta licach.

»I odpycha wszystkie strażę,
Cnota dzikość zwyciężyła...
Każe leczyć, darzyć każe,
I do Lachów go odsyła.

»W świetnym dworzan, wodzów gronie,
Szarłatnemi szaty odzian,
Siadł król polski na swym tronie,
Wdzięczny przed nim stanął młodzian.

»W miejscu nogi — prosta kula
Ujmującą postać wspiera;
I dwór cały się rozczula,
Z szmerem dziwu nań spoziera.

»I dwaj wiodą go rycerze:
Kornie przed tron przystępuje.
Król z wezłowia Szcherbiec bierze,
I rycerzem go pasuje.

»Gdy w tem, z pośród wodzów koła,
Hetman nogę niesie złotą:
— Oto herb twój, król zawoła,
Wysłuszony twoją cnotą!

»I porywa dłoń rycerza,
Wśród okrzyków ludu wiedzie,
I przed ołtarz Pański zmierza,
I sam klęka z nim na przedzie.

»O blask, chwałę swych orężów,
Korne w niebo dłonie wznosił,
I o więcej takich mężów,
Dla ojczyzny swojej prosił«.

Tu dźwięk lutni mdał, opadał,
Coraz głuchszem cichła pieniem:
A wieszcz w duszach śledził, badał,
Co w nich swoim wzbudził pieniem?



Z POWIEŚCI UKRAIŃSKIEJ

»MARYA«.

Pod starymi lipami Miecznik dumał stary,
I dźwigał w zwiędłej głowie utrapień ciężary.
Chociaż ten czarny żupan smutny przy siwiźnie,
Nosił i jasne barwy, gdy służył ojczyźnie —
Ojczyźnie! której imię wśród boju i rady,
I spornego wyboru i hucznej biesiady,
Czystym gorzało ogniem — a serce, jak w wiosnie
Ptak do słońca, do niego skakało radośnie!
Ale czas świetnych uczuć już ściemniał — ej! minął!
I boli tylko życie, a kwiat jego zginął.
Dumał — i przez złe żale, obecne zgryzoty,
Pokrył kir nieprzebitą grożącą sromoty.
O! póki tchu przynajmniej, tak łatwo i marnie,
Płomień zawziętej pychy gniazda nie ogarnie!
O! póki czarny żupan żywe członki ciśnie,
Wyschła ręka w potrzebie starą szablą błysnie!
Lecz potem? — dumał Miecznik i wzrok wodził hardy,
Pełen niechęci — gniewu — a może i wgardy.

Przy nim młoda niewiasta — czemuż kiedy młoda,
Tak zamglonym promieniem świeci jej uroda?
Ni ją ubiór udatny, ni ją stroją kwiaty,
Czarne oczy spuszczone i żalobne szaty,
A w twarzy smutek; czoło co schyla w cichości,
Którego całym blaskiem — uśmiech cierpliwości!
Lub jeśli kiedy nagle, w pośród gęstych cieni,
Jaka myśl, czy pamiątka jej lica zrumieni,
To tak mdłym, bladym światłem, jak gdy księżyc w pełni,
Niezwykłym życiem rysy posągu napelni.
Piękna, szlachetna postać — do Aniołów grona
Dążyła, ich czystości czarem otoczona;
Ale trawiący oddech światowych uniesień,
Owiał pęk młodych uczuć i zwarzył jak jesień.
To jeszcze jest na drodze, gdzie nią wichur miota,
W ciężkich kajdanach ziemi dla nieba istota;
Serce nosi uschnięte, a świeci jak zorza,
Podobna do owoców umarłego morza,
Pod których śliczną farbą, wśród trudu, mozoły,
Podróżny widzi nektar, znajduje — popioły.
Jakaś posepna słodycz w jej każdym ruszeniu,
Ani łzy, ani żalu w jej mglistym spojrzeniu.
O! nie, — przeszłych już zgryzot nie widać tam wojny,
Tylko znikłej nadziei grobowiec spokojny,
Tylko się lampa szczęścia w jej oczach paliła,
I zgasła, — i swym dymem całą twarz zaćmiła.

Przy nim młoda niewiasta nad księgą Żywota,
Jak trwożna gołębicą, pod jasności wrota
Wzbijała ducha wiary, i skrzydły drżącemi
Szukała swego gniazda daleko od ziemi.
A że nad przepych świata i blasków pozory
Widniejsze pióra białe niżonej pokory,
I drży nić, którą serce do nieba związane:

To kropla słodkiej rosy upadła w jej ranę,
I wznosząc w górę oczy z tym tkliwym wyrazem,
W którego jednym rzucie wszystkie czucia razem,
Gdzie przyszłość do przeszłości po jasnym promieniu
Biegnie jak czuła siostra łączyć się w spojrzeniu —
I wznosząc w górę oczy — doznała — jak lubo
Rozbłąkanej w swym żalu swego szczęścia zgubą,
Gdy już z ziemskich i chęci i strachu ochłódła,
Tęsknić szlachetnej duszy do swojego źródła!
Jak miło by nie wadzić w światowym zamęcie,
Zniknąć — na zawsze zniknąć pod śmierci objęcie!
A koby widział wtedy jej twarz promienistą,
I smutnego Miecznika duszę przejrzał czystą,
Te lipy rosochate — starodawne stroje,
Których dla wyobraźni tak przystoją kroje;
A koby widział jeszcze jak jasność i wonie,
Męczeńskim wieńcem nagle oblekły im skronie:
Oh! może się przenosząc w odleglejsze wieki,
Świetniejsze okolice, kraj sławny, daleki,
Nad brzegami Jordanu, pod palmy drzewiną,
Usiadłszy zamyślony z hebrajską rodziną,
I w spółnictwie niedoli czując trwogę świętą,
Poznał — też samą rękę wieczną, niepojętą,
Co swe łaski i kary zsyła lub odwleka,
Też same zawsze troski wygnańca, człowieka,
Któremu nawet w szczęściu jeszcze czegoś trzeba,
I tylko wtenczas błogo — gdy westchnie do nieba!

»Ojcie! ja nazbyt długo, w miłych myśli kole,
Obląkałam się dzisiaj — a na twojem czole
Ciemne następstwo zgryzot zawsze się przebija;
A kiedy radość mignie, to zaraz i mija,
Jak promyk, co z obłoków na wyniosłe góry,
Błyśnie — i znów go skryją wiatrem gnane chmury.

Och! czemuż już nie spocznie twoja głowa siwa —
Tu — na łonie? Nie bój się — teraz żal nie spływa
Jak wtedy, coś w mych rękach usnął zmordowany!
I wstał, schylonej córki łzami zapłakany!
Sroga nieszczęść igraszka: — i tak zżółkły parość
Popsutym karmił sokiem swego dębu starość;
I tak zaparte czucia długim uciśnieniem,
Rwąc tamę mej rozwagi, lały się strumieniem.
Ach! jakże to boleśnie nazad się obrócić,
Widzieć rozpacz grożąca, i nie móż się wrócić.
Ach! jakże to okropnie w przymusie zostawać,
Ręką, co chce lekarstwo, truciznę podawać.
Ojcie! drogi mój ojcie! czyż już żadnej chwili
Nigdy ci twoja córka, nigdy nie umili?
Gorzka jej była dola — ale to już przeszło:
Patrz jakie słodkie światło we mnie się rozeszło;
I uśmiech biega w twarzy niż kiedy zabawniej;
I twój pragnie obudzić — jak w szczęściu — jak dawniej.
Nieraz ja sobie wspomnę te dziecinne lata,
Tak lube, tak ulotne, i mojego tata,
Jak czasem zasepiony po trudach spoczywa;
Aż raptem u dziewczynki wesołość się zrywa,
I wciska mu się w serce — powoli — nieznacznie —
Póki się nie rozjaśni i śmiać się nie zacznie.
I gdzież to się podziła tej dziewczynki władza?
Pierwej zganiała chmury, a teraz sprowadza:
I gdzież to żywy, czysty strumyczek upłynął?
Mruczał na swą nikczemność, a w jeziorze zginął,
A nasz śliczny kanarek gdzież to się obraca?
Chciał w ogniu piórka złocić i więcej nie wraca.
O! póki ten co w mojem na zawsze był sercu,
Nim go moim nazwałam na ślubnym kobiercu —
O! póki ten, co jemu w uczucia się wplatać,
Brzmić w szlachetnych pomysłach, w westchnieniach ulatać,

W spojrzeniach czuć się światłem i życia potrzebą,
Było więcej niż szczęście, było dla mnie niebo —
Ten, co pączek tkliwego, lubego marzenia,
Rozwinął swoim wdziękiem, ocucił z uśpienia,
Pił jego świeżą rosę, a na jego kwiecie
Zostawił łzę wdzięczności której czas nie zmiecie:
O! póki ten mój miły, ten świat mojej duszy,
Łańcucha naszych węzłów swą wzdargą nie skruszy,
Wierny zostanie cnotcie, miłości, pamiątkom,
A gdy znikł pałac szczęścia, wierny jego szczątkom:
Jeszcze się dla mnie życia nie zamknęło wieko,
Jeszcze myśl jego o mnie, chociaż on daleko,
Płynąć będzie tajemnie w umarłe uczucia,
I jak cudowny balsam bronić od zepsucia.
I tę straszną ofiarę — i to rozdzielanie —
Zniosę — cierpliwie zniosę — póki nasze cienie
W słodkich, czystych krainach złączone na zawsze,
Ludzi już nie zobaczą, lecz niebo łaskawsze!
Rzekła — i jak w stojącej a popsutej wodzie,
Wzruszone nagle męty osiadły na spodzie,
Z serca jej wyszły czucia co w łzach długo mokły,
I zielonym odcieniem jej bladość powlokły.
— »Wolałbym dźwigać więzy u brodacza Turka,
Niż żeby mi tak marnie więdnąć miała córka.
Wolałbym w ciemnej turmie pewnej czekać zguby,
Niżli patrzeć spokojnie na te smutne śluby!
Alboż to w naszej Polsce braknie na młodzieńcach,
Co to pannom umieją wyskoczyć w rumieńcach,
I tak jak dawniej było — rycerskie kolano
Raz w życiu tylko ugiąć — po wianek — za wiano!
Nie, Maryo, nie trza wzdychać — twego nie obrażam!
Mężny jest i cnotliwy — wiesz, że go poważam;
Lecz mnie jego rodzica pycha niecierpliwi —
A kiedy łzami Maryi swoje serce żywi,

Ha, toć i u mnie szabla nie czczy tylko blaskiem,
I mignie mu pod oczy święconym obrazkiem.
Toż to u naszej szlachty dawne przywileje,
Skrzesać ognia w pałasze, gdy przyjaźń ściemnieje.
Przyjaźń? a nasze hufy nie z sobą na sejmie,
A nasze *вето* krzyczy jeszcze i w rozejmie!
I gdyby kraju napaść, z Hetmanem umowy,
Nie rzuciły mnie wówczas Szwedowi na głowy!
I gdyby twoja Matka (daj jej niebo Panie!)
W swe rańtuchy nie skryła młodych serc kochanie,
A niewieścim w błyskotkach, tajemnicach, smakiem,
Nie zawarła tych związków z swych matron orszakiem:
Nigdyby w moje kopce wróg się nie mógł schować,
Anibym jego złości pozwolił grasować.
Bo cóż to ja zastałem? żonę zmiotła kosa —
A córę — szczep jedyny — z łez polewa rosa.
Dla starej karabeli zbyt to wielkie dziwy,
Znosić tak ciężkie razy, los tak obelżywy.
Alboż choć raz do serca me dziecię przytulił?
Alboż młodością — wdziękiem — choć raz się rozczulił?
Nie — od domu, imienia, ze wzdargą odgania,
I teraz w Rzymie szuka ślubów rozwiązania.
O! co tak, to najlepiej! i mnie to rozwiąże —
Wysunie rażna młodzież i ja za nią zdążę:
Choć może mniejsi w liczbie, Boga w pomoc wezwą,
To w końcu tej tam waśni — dzwony się odezwą!
Otarł znużone czoło, czapkę głębiej wmiesił,
Kiwnął ręką i głowę czarnym myślom zwiesił.



F A R Y S.

(KASYDA).

Jak łódź wesółą, gdy uciekłszy z ziemi,
Znowu po modrym zwija się kryształe,
I pierś morza objąwszy wiosły lubieżnemi,
Szyją łabędzią buja po nad fale:
Tak Arab, kiedy rumaka z opoki
Na obszar pustyni strąca,
Gdy kopyta utoną w piaszczyste potoki,
Z głuchym szumem, jak w nurtach wody stal gorąca.

Już płynie w suchem morzu koń mój, i rozcina
Szybkie bałwany piersiami delfina.
Coraz chyżej, coraz chyżej,
Już po wierzchu żwir zamiata;
Coraz wyżej, coraz wyżej,
Już nad kłęb kurzu wylata.

Czarny mój rumak jak burzliwa chmura,
Gwiazda na czole jego jak jutrzienka błyska,
Na wolę wiatrów puścił strusiej grzywy pióra,
A nóg białych polotem błyskawice ciska.

Pędź latawce białonogi,
Góry z drogi, lasy z drogi!
Daremnie palma zielona,
Z cieniem i owocem czeka:
Ja się wydieram z jej łona;
Palma ze wstydem ucieka,
Kryje się w głębi oazy,
I szmerem liści z mojej dumy się uśmiecha.

Owdzie, granic pustyni pilnujące głązy,
Dziką na Beduina poglądają twarzą,
Kopyt końskich ostatnie podrzeźniając echa,
Taką za mną groźbą gwarzą:

»O! szalony, gdzie on goni!
Tam od ostrych słońca grotów,
Głowy jego nie ochroni
Ni palma zielono-włosa,
Ni białe łono namiotów.
Tam jeden namiot — niebiosa.
Tylko skały tam nocują,
Tylko gwiazdy tam koczują«.

Daremnie grożą, daremnie!
Pędzę, i podwajam razy.
Spojrzałem — aż dumne głązy
Zostały zdala odemnie;
Uciekają rzędem długim,
Kryją się jeden za drugim.
Sęp usłyszał ich groźbę i ślepo uwierzył,
Że Beduina weźmie na pustyni jeńcem;
I w pogoń za mną skrzydłami uderzył,
Trzykroć czarnym obwinął głowę moją wieńcem.

»Czuję — krakał — zapach trupi,
Jeździec głupi, rumak głupi;
Jeździec w piaskach szuka drogi,
Szuka paszy białonogi...
Jeźdźcze, koniu, pusta praca,
Kto tu zaszedł — nie powraca!
Po tych drogach wiatr się błąka,
Unosząc z sobą swe ślady;
Nie dla koni jest ta łąka,
Ona tylko pasie gady...
Tylko trupy tu nocują,
Tylko sępy tu koczują«.

Kracząc, lśniącemi szpony w oczy mi urągał,
I spojrzeliśmy sobie trzykroć oko w oko:
Któż się uląkł? sęp uląkł i uciekł wysoko!
Kiedym go chciał ukarać i majdan naciągał,
I gdym sępa oczyma po za sobą tropił:
Już on wisiał w powietrzu jako plamka szara,
Wielkości wróbla, motyla, komara,
Potem się całkiem w błękicie roztopił.
Pędź latawcze białonogi,
Skały z drogi, sępy z drogi!

Wtenczas obłok zachodni wyrwał się z pod słońca,
Gonił mię białem skrzydłem po błękitnym sklepie;
On w niebie za takiego chciał uchodzić gońca,
Jakim ja byłem na stepie!
Nad głową moją zawisnął,
Taką groźbą za mną świsnął:

»O! szalony, gdzie on goni!
Tam pragnienie piersi stopi;
Obłok deszczem nie odkropi

Osypanej kurzem skroni;
Strumień na błoniu jałowem
Nie ozwie się srebrnym słowem;
Rosa nim na ziemię spadnie,
Wiatr ją głodny w lot rozkradnie!«

Daremnie grozi! Pędzę i podwajam razy!...
Obłok strudzony zaczął po niebie się słać,
Coraz niżej głowę skłaniać,
Potem oparł się na głazy.
A gdym oczy raz jeszcze ze wzgardą obrócił,
Jużem o całe niebo w tyle go porzucił.
Widziałem z twarzy, co on w sercu knował:
Zaczerwienił się od złości,
Oblał się żółcią zazdrości,
Nakoniec jak trup czerniał i w górach się schował!...

Pędź latawcze białonogi,
Stepy z drogi, chmury z drogi!

Teraz oczy, kręgiem słońca,
Okręciłem koło siebie:
I na ziemi i na niebie
Już nie było za mną gońca...
Tu natura snem ujęta,
Nigdy ludzkich stóp nie słyszy:
Tu żywioty drzemią w ciszy,
Jak niespłoszone zwierzęta,
Których stado nie ucieka,
Widząc pierwszą twarz człowieka.

Przebóg! jam tu nie pierwszy... Śród piaszczystej kępy
Oszańcowane świecą się zastępy...
Czy błędą, czy z zasadzki czatują na łupy?

Jeźdźce w bieli i konie straszliwej białości!
Przybiegam — stoją; wołam — milczą... To są trupy!
Starożytna karawana,
Wiatrem z piasku wygrzebana!
Na szkieletach wielbłądów siedzą jeźdźców kości.
Przez jamy, gdzie były oczy,
Przez odarte z ciała szczęki,
Piasek strumieniem się toczy,
I złowrogie szemrze jęki:
»Beduinie opętany!
Gdzie lecisz? tam huragany!«

Ja pędzę, ja nie znam trwogi.
Pędź latawce białonogi,
Trupy, huragany — z drogi!

Huragan, z afrykańskich pierwszy wichrzycieli,
Przechadzał się samotny po żwiru topieli.
Obaczył mię zdaleka, wstrzymał się i zdumiał,
I kręcąc się na miejscu, tak do siebie szumiał:
»Co tam za jeden z wichrów, moich młodszych braci,
Tak poziomego lotu, nikczemnej postaci,
Śmie deptać lądy, którem w dziedzictwie osiągnął?«
Ryknął — i ku mnie w kształcie piramidy ciągnął.
Widząc, że był śmiertelny i nieustraszony,
Ze złością ład nogą trącił,
Całą Arabię zamącił,
I jak gryf ptaka, porwał mię w swe szpony.
Oddechem ognistym palił,
Skrzydłami kurzawy walił,
Ciskał w górę, bił o ziemię,
Nasypywał piasku brzemień...
Ja zrywam się, walczę śmiało;
Targam jego członków kłęby;

Ćwiertuję piaszczyste ciało;
Gryzę go wściekłymi zębami.
Huragan chciał z mych ramion w niebo uciec słupem:
Nie wydarł się! W pół ciała zerwał się i runął,
Deszczem piasku z góry lunął,
I leżał u nóg mych długim, jak wał miejski, trupem!

Odetchnąłem! Ku gwiazdom spoglądałem dumnie;
I wszystkie gwiazdy oczyma złotemi,
Wszystkie poglądały ku mnie:
Bo oprócz mnie — nie było nikogo na ziemi.
Jak tu mile oddychać piersiami całami!
Oddycham pełno, szeroko!
Całe powietrze w Arabistanie
Ledwie mi na oddech stanie.
Jak tu mile poglądać oczyma całami!
Wyteżyło się me oko,
Tak daleko, tak szeroko,
Że więcej świata zasięga,
Niż jest w kole widnokręga.
Jak miło się wyciągnąć ramiony całami!
Wyciągnąłem ku światu ramiona uprzejme,
Zda się, że go od wschodu na zachód obejmę.
Myśl moja ostrzem leci w otchłanie błękitu,
Wyżej, wyżej i wyżej — aż do niebios szczytu.
Jak pszczoła topiąc żądło i serce w niem grzebie,
Tak ja, za myślą — duszę utopiłem w niebie.

STEPY AKERMAŃSKIE.

Wpłynąłem na suchego przestwór oceanu;
Wóz nurza się w zieloność i jak łódka brodzi;

Śród fali łąk szumiących, śród kwiatów powodzi,
Omijam koralowe ostrowy burzanu.

Już mrok zapada, nigdzie drogi ni kurhanu;
Patrzę w niebo, gwiazd szukam, przewodniczek łodzi:
Tam zdala błyszczą obłoki, tam jutrzienka wschodzi...
To błyszczą Dniestr, to weszła lampa Akermanu!

Stójmy!... Jak cicho... Słyszę ciągnące żórawie,
Którychby niedościgły żrenice sokoła;
Słyszę, kędy się motyl kołysa na trawie —

Kędy wąż śliską piersią dotyka się zioła.
W takiej ciszy, tak ucho natężam ciekawie,
Że słyszałbym głos z Litwy... Jedźmy, nikt nie woła!

Z »PANA TADEUSZA«.

Rówienniki litewskich wielkich kniaziów, drzewa
Białowieży, Świtezi, Ponar, Kuszelewa!
Których cień spadał niegdyś na koronne głowy
Groźnego Witenesa, wielkiego Mindowy,
I Gedymina, kiedy na Ponarskiej górze,
Przy ognisku myśliwskim, na niedźwiedziej skórze
Leżał, słuchając pieśni mądrego Lizdejki,
A Wilii widokiem i szumem Wilejki
Ukołysany, marzył o wilku żelaznym,
I zbudzony, za bogów rozkazem wyraźnym,
Zbudował miasto Wilno, które w lasach siedzi,
Jak wilk pośrodku żubrów, dzików i niedźwiedzi!
Z tego to miasta Wilna, jak z rzymskiej wilczycy,
Wyszedł Kiejstut i Olgierd i Olgierdowicy,

Równie myśliwi wielcy, jak sławni rycerze,
Czyli wroga ścigali, czyli dzikie zwierzę.
Sen myśliwski nam odkrył tajnie przyszłych czasów,
Że Litwie trzeba zawsze żelaza i lasów.

Knieje! do was ostatni przyjeżdżał na łowy,
Ostatni król, co nosił kołpak Witoldowy,
Ostatni z Jagiellonów wojownik szczęśliwy,
I ostatni na Litwie monarcha myśliwy.
Drzewa moje ojczyste! Jeśli Niebo zdarzy,
Bym wrócił was oglądać przyjaciele starzy:
Czyli was znajdę jeszcze? czy dotąd życie?
Wy, koło których niegdyś pełzałem jak dziecię:
Czy żyje wielki Baublis, w którego ogromie
Wiekami wydrążonym, jakby w dobrym domie,
Dwunastu ludzi mogło wieczerzać za stołem?
Czy kwitnie gaj Mendoga pod farnym kościołem?
I tam na Ukrainie, czy się dotąd wznosi
Przed Hołowińskich domem, nad brzegami Rosi,
Lipa tak rozrośniona, że pod jej cieniami
Sto młodzieńców, sto panien, szło w taniec parami?

Pomniki nasze! Ileż co rok was pożera
Kupiecka, albo inna niszcząca siekiera!
Nie zostawia przytułku ni leśnym śpiewakom,
Ni wieszczom, którym cień wasz tak miły jak ptakom.
Wszak lipa czarnoleska na głos Jana czuła,
Tyle rymów natchnęła! Wszak ów dąb gaduła,
Kozackiemu wieszczowi tyle cudów śpiewał *)

Ja, ileż wam winienem, o domowe drzewa!
Błahy strzelec, uchodząc szyderstw towarzyszy

*) Obacz: »Zamek Kaniowski« — Goszczyńskiego.

Za chybioną zwierzynę, — ileż w waszej ciszy —
Upolowałem dumań, gdy w dzikim ostępie,
Zapomniawszy o łowach, usiadłem na kępie,
A koło mnie srebrzył się: tu mech siwobrody,
Zlany granatem czarnej, zgniecionej jagody,
A tam się czerwieniły wrzosiste pagórki,
Strojne w brusznice, jakby w koralów paciórki.
W około była ciemność; gałęzie u góry
Wisiały, jak zielone, gęste, niskie chmury;
Wicher kędyś nad sklepem szalał nieruchomym,
Jękiem, szumami, wyciem, łoskotami, gromem:
Dziwny, odurzający hałas! Mnie się zdało,
Że tam nad głową morze wiszące szalało.

Na dole, jak ruiny miast: tu wywrót dębu
Wysterka z ziemi, nakształt ogromnego zrębu;
Na nim oparte, jak ścian i kolumn obłamy,
Tam gałęziste kłody, tu wpół zgniłe tramy,
Ogrodzone parkanem traw. W środek tarasu
Zajrzeć straszno: tam siedzą gospodarze lasu,
Dziki, niedźwiedzie, wilki; u wrót leżą kości
Na pół zgryzione jakichś nieostrożnych gości.
Czasem wymkną się w górę przez trawy zielenie,
Jakby dwa wodotryski dwa rogi jelenie,
I mignie między drzewa zwierz żółtawym pasem,
Jak promień, kiedy wpadłszy, gaśnie między lasem.

I znowu cichość w dole. Dzieńcioł na jedlinie
Stuka zlekka i dalej odlatuje, ginie,
Schował się: ale dziobem nie przestaje pukać,
Jak dziecko, gdy schowane, woła, by go szukać.
Bliżej siedzi wiewiórka, orzech w łapkach trzyma,
Gryzie go; zawiesiła kitę nad oczyma,
Jak piórko nad szyszakiem u kirasyera:

Chociaż tak ostoniona, dokoła spoziera,
Dostrzegłszy gościa, skacze gajów tańiecznica
Z drzew na drzewa, miga się jako błyskawica;
Nakoniec w niewidzialny otwór pnia przepada,
Jak wracająca w drzewo rodzime Dryada.
Znowu cicho.

Wtem, gałąź wstrzęsła się trącona,
I pomiędzy jarzębin rozsunione grona,
Krańsze od jarzębin zajaśniały lica:
To jagód, lub orzechów zbieraczka, dziewica.
W króbeczce z prostej kory, podaje zebrane
Brusznice świeże, jako jej usta rumiane.
Obok młodzieniec idzie, leszczynę nagina:
Chwyta w lot migające orzechy dziewczyna.

Wtem, usłyszeli odgłos rogów i psów granie:
Zgadują, że się ku nim zbliża polowanie,
I pomiędzy gałęzi gęstwę, pełni trwogi,
Zniknęli nagle z oczu — jako leśne bogi.

TRZECH BUDRYSÓW.

Stary Budrys trzech synów, tęgich jak sam Litwinów,
Na dziedziniec przyzywa i rzece:
»Wyprowadźcie rumaki i narządźcie kulbaki,
A wyostrzcie i groty i miecze.
»Bo mówiono mi w Wilnie, że otrąbią niemylnie,
Trzy wyprawy na świata trzy strony:
Olgierd Ruskie posady, Skirgieł Lachy sąsiady,
A książdz Kiejstut napadnie Teutony.

»Wyście krzepcy i zdrowi, jedźcie służyć krajowi,
Niech Litewskie prowadzą was bogi!
Tego roku nie jadę, lecz jadącym dam radę:
Trzej jesteście i macie trzy drogi.

»Jeden z was pobiedz musi, za Olgierdem ku Rusi,
Po nad Ilmen, pod mur Nowogrodu;
Tam sobole ogony i srebrzyste zasłony,
I u kupców tam dziengi jak lodu.

»Niech zaciągnie się drugi, w księdza Kiejstuta cugi,
Niechaj tępi Krzyżaki psubraty;
Tam bursztynu jak piasku, sukna cudnego blasku,
I kapłańskie w brylantach ornaty.

»Za Skirgiełtem niech trzeci, po za Niemen poleci,
Nędzne znajdzie tam sprzęty domowe:
Ale za to wybierze — dobre szable, puklerze,
I mnie stamtąd przywiezie synowę.

»Bo nad wszystkie ziem branki, milsze Laszki kochanki,
Wesolutkie jak młode koteczki,
Lice bielsze od mleka, z czarną rzęsą powieka,
Oczy błyszczą się jak dwie gwiazdeczki.

»Stamtąd ja przed pół wiekiem, gdym był młodym czło-
Laszkę sobie przywiozłem za żonę, [wiekiem,
A choć ona już w grobie, jeszcze dotąd ją sobie
Przypominam, gdy spojrzę w tę stronę«.

Taką dawszy przestrozę, błogosławił na drogę;
Oni wsiedli, broń wzięli, pobiegli.
Idzie jesień i zima, synów niema i niema;
Budrys myślał, że w boju poległi.

Po śnieżystej zamieci, do wsi zbrojny mąż leci,
A pod burką wielkiego coś chowa.
»Ej! to kubeł, w tym kuble, nowogrodzkie są ruble?«
— »Nie, mój ojczu, — to Laszka, synowa!«

Po śnieżystej zamieci, do wsi zbrojny mąż leci,
A pod burką wielkiego coś chowa.
»Pewnie z Niemiec, mój synu, wiesz kubeł bursztynu?«
— »Nie, mój ojczu, — to Laszka, synowa!«

Po śnieżystej zamieci, do wsi jedzie mąż trzeci,
Burka pełna, zdobyczy tam wiele:
Lecz nim zdobycz pokazał, stary Budrys już kazał,
Prosić gości na trzecie wesele.

ROZMOWA WIECZORNA.

I.

Z Tobą ja mówię, co królujesz w niebie,
A razem gościsz w domku mego ducha;
Gdy północ wszystko w ciemnościach zagrzebie,
I czuwa tylko zgryzota i skrucza:
Z Tobą ja mówię! słów nie mam dla Ciebie;
Myśl Twoja, każdej myśli mej wysłucha,
Najdalej władasz i służysz w pobliżu,
Król na niebiosach — w sercu mem, na krzyżu.

I każda dobra myśl, jak promień wraca
Znowu do Ciebie, do źródła, do słońca.
I nazad płynąc, znowu mię ozłaca,
Szłę blask, blask biorę i blask mam za gońca.

I każda dobra chęć Ciebie wzbogaca,
I znowu za nią płacisz mi bez końca:
Jak Ty na niebie, Twój sługa, Twe dziecię,
Niech się tak cieszy i błyszczy na świecie!

Tyś król, o cuda! i Tyś mój poddany!
Każda myśl płocha jako włócznia nowa,
Otwiera Twoje niezgojone rany;
I każda chęć zła jest gąbka octowa,
Którą do ust Twych zbliżam zagniewany —
Póki Cię moja złość w grobie nie schowa,
Cierpisz, jak sługa panu zaprzędany:
Jak Ty na krzyżu, Twój pan, Twoje dziecię,
Niechaj tak cierpi i kocha na świecie.

II.

Kiedym bliźniemu odstąpił myśl chorą
I wątpliwości raka, co ją toczy:
Zły wnet ucieczką ratował się skórą,
Dobry zapłakał — lecz odwracał oczy.
Lekarzu wielki! Ty najlepiej widzisz
Chorobę moją, a mną się nie brzydzisz!

Gdym wobec bliźnich dobył z głębi duszy
Głos przeraźliwszy niżli jęk cierpienia,
Głos wiecznie grzmiący w piekielnej katuszy,
Cichy na ziemi, głos złego sumienia:
Sędzio straszliwy! Tyś ogień rozdmuchał
Sumieniu złemu — i Tyś mnie wysłuchał!

III.

Gdy mnie spokojnym zowią dzieci świata,
Burzliwą duszę kryję przed ich okiem,

I obojętna duma jak mgły szata,
Wewnętrzne pioruny pozłaca obłokiem;
I tylko w nocy, cicho, na Twe łono,
Wylewam burzę we łzy roztopioną!





HYMN

O ZACHODZIE SŁOŃCA NA MORZU.

Smutno mi Boże! Dla mnie na zachodzie,
Rozlałeś tęczę blasków promienistą;
Przedemną gasisz w lazurowej wodzie
Gwiazdę ognistą.
Choć mi tak niebo Ty złocisz i morze:
Smutno mi Boże!

Jak puste kłosa z podniesioną głową,
Stoję rozkoszy próżen i dosytu;
Dla obcych ludzi mam twarz jednakową,
Ciszę błękitu.
Ale przed Tobą głąb serca otworzę:
Smutno mi Boże!

Jako za matki odejściem się żali
Mała dziecina, tak ja płaczu bliski,
Patrząc na słońce, co mi rzuca z fali
Ostatnie błyski!
Choć wiem, że jutro błysnie nowe zorze:
Smutno mi Boże!

Dzisiaj na wielkiem morzu obłąkany,
Sto mil od brzegu i sto mil przed brzegiem,
Spotkałem lotne w powietrzu bociany,
Długim szeregiem.
Żem je znał kiedyś na polskim ugorze:
Smutno mi Boże!

Żem często dumał nad mogiłą ludzi;
Żem nie znał prawie rodzinnego domu;
Żem był jak pielgrzym, co się w drodze trudzi
Przy blaskach gromu:
Że nie wiem, gdzie się w mogile położę:
Smutno mi Boże!

Ty będziesz widział moje białe kości,
W straż nie oddane kolumnowym czołom;
Alem jest jako człowiek, co zazdrości
Mogił — popiołom.
Więc że nieznane gotujesz mi łożę:
Smutno mi Boże!

Kazano w kraju, niewinnej dziecinie
Modlić się za mnie codzień, a ja przecie
Wiem, że mój okręt nie do kraju płynie
Płynąc po świecie.
Więc że modlitwa dziecka nic nie może:
Smutno mi Boże!

Na tęczę blasków, którą tak ogromnie
Anieli Twoi w niebie rozpostarli,
Nowi gdzieś ludzie w sto lat będą po mnie
Patrzący — marli...
Nim się przed moją nicością ukorzę:
Smutno mi Boże!

W PAMIĘTNIKU.

Niechaj mię Zośka o wiersze nie prosi,
Bo kiedy Zośka do Ojczyzny wróci,
To każdy kwiatek powie wiersze Zosi,
Każda jej gwiazdka piosenkę zanuci.
Nim kwiat przekwitnie, nim gwiazdeczka zleci,
Słuchaj — bo to są najlepsi poeci.

Gwiazdy błękitne, kwiateczki czerwone,
Będą ci całe poemata składać.
Jabym to samo powiedział co one,
Bo ja się od nich nauczyłem gadać;
Bo tam, gdzie lkwę srebrne fale płyną,
Byłem ja niegdyś — jak Zośka — dzieciną.

Dzisiaj daleko pojechałem w gości,
I dalej los mię nieszczęśliwy goni.
Przywieź mi Zośko od tych gwiazd światłości;
Przywieź mi Zośko z tamtych kwiatów woni;
Bo mi zaprawdę odmłodnieć potrzeba.
Wróć mi więc z kraju taką — jakby z nieba.

ROZŁĄCZENIE.

Rozłączeni, lecz jedno o drugim pamięta:
Pomiędzy nami lata biały gołąb smutku
I nosi ciągle wieści. Wiem, kiedy w ogródku,
Wiem, kiedy płaczesz w cichej komnacie zamknięta.

Wiem, o jakiej godzinie wraca bolu fala,
Wiem, jaka ci rozmowa ludzi łzę wyciska,
Tyś mi widna, jak gwiazda, co się tam zapala,
I łzę różową leje i skrą siną błyska.

A choć mi teraz ciebie oczyma nie dostać,
Znając twój dom i drzewa ogrodu i kwiaty,
Wiem, gdzie malować myślą twe oczy i postać,
Między jakimi drzewy szukać białej szaty.

Ale ty próżno będziesz krajobrazy tworzyć,
Osrebrzać je księżycem i promień światem;
Nie wiesz, że trzeba niebo zwalić i położyć
Pod oknami — i nazwać jeziora błękitem.

Potem jezioro z niebem dzielić na połowę,
W dzień zasłoną gór jasnych, w nocy skał szafirem;
Nie wiesz, jak włosem deszczu skałom wieńczyć głowę,
Jak^o je widzieć w księżycu odkreślone kirem.

Nie wiesz, nad jaką górą wschodzi ta perelka,
Którąm wybrał dla ciebie za gwiazdeczkę stróża;
Nie wiesz, że^o gdzieś daleko aż u gór podnóża,
Nad jeziorem, dojrzałem dwa z okien światelka.

Przywykłem do nich, kocham te gwiazdy jeziora,
Ciemną mgłą oddalenia od gwiazd nieba krwawsze;
Dziś je widzę, widziałem zapalone wczora;
Zawsze mi świecą smutno i blade, lecz zawsze.

A ty wiecznie zagasłaś nad biednym tułaczem;
Lecz choć się nigdy nigdzie połączyć nie mamy,
Zamilkniemy na chwilę i znów się wołamy,
Jak dwa smutne słowiki co się wabią płaczem.

NA SPROWADZENIE ZWŁOK NAPOLEONA.

I wydarto go z ziemi, popiołem,
I wydarto go wierzbie płaczącej,
Gdzie sam leżał, ze sławy aniołem,
Gdzie był sam, nie w purpurze błyszczącej,
Ale płaszczem żołnierskim spowity,
A na mieczu, jak na krzyżu, rozbity.

Powiedz, jakim znalazłeś go w grobie,
Królewiczu, dowódco korabli?
Czy rąk dwoje miał krzyżem na sobie,
Czy z rąk jedną miał przez sen na szabli?
A gdyś kamień z mogiły podźwignął,
Czy trup zadrżał? powiedz, czy się wzdrygnął?

Bo on wiedział, że przyjdzie godzina,
Co mu kamień grobowy rozkruszy;
Ale myślał, że ręka go syna
W tym grobowcu podźwignie i ruszy.
I łańcuchy zeń zrzuci zabójcze,
I na ojca trup, zawoła: »Ojczce«!

Ale przyszli go z grobu wyciągać,
Obce twarze zajrzały do lochu,
I poczęli prochowi urągać,
I zaczęli nań wołać: — »Wstań prochu!«
Potem wzięli tę resztkę zgnilizny,
I spytali: — »Czy chcesz do ojczyzny?«

Szumcie, szumcie więc morza lazury,
Gdy wam dadzą nieść trumnę olbrzyma!

Piramidy! wstępujcie na góry
I patrzajcie nań wieków oczyma!
Ta na morzu drzew girlanda szara,
Jest to flota z popioły Cezara.

.....
Orły niegdyś skrzydlate i dumne,
Już nie patrzą na słońce, lecz w trumnę.

Prochu! prochu! o leż ty spokojny,
Gdy zagrają trąby śród odmetu,
Bo nie będzie to hasło do wojny,
Ale hasło pogrzebne lamentu:
Raz ostatni hetmanisz ty roty!
Duch zwycięży — zwycięstwem Golgoty!

Ale nigdy, o nigdy, choć w rękę
Miałeś berło, świat i szablę naga,
Nigdy, nigdy nie szedłeś wśród jęku,
Z taką straszną, królewską powagą,
Z takim straszmem na przyszłość obliczem,
Jak dziś prochu, gdy wracasz tu — niczem.





Z »PRZEDŚWITU«.

Czy pamiętasz nad Alp śniegiem
Rozwieszone Włoch błękity?
Nad jeziora włoskim brzegiem
Czy pamiętasz Alp granity?
Tam, z daleka — w niebo, przodem,
Pną się ostrza kryte lodem,
A tu bliżej, a tu niżej,
Po za wzgórzem spływa wzgórze;
Z winnic kapią bluszcz i róże,
Jednym rajem gór podnóże!
W wieczór, z rana — zwierciadłana
Fala bije niebios smug!
Na wód dole, na skał czole,
Jedna piękność — jeden Bóg!

Widzę jeszcze, widzę ciebie!
Z harfą stoisz na mej łodzi,
Gwiazd już kilka drży na niebie,
Z nad Alp szczytu księżyc wschodzi!
Widzę jeszcze, widzę ciebie;

Na twych strunach twoje dłonie,
Iskra natchnień skrzy ci z lica,
Światłokręgiem twoje skronie
Rozanielił blask księżycyca!
W fal przezrocza, w sieć z promieni,
Zewsząd postać twa ujęta,
Na błękitnem tle przestrzeni,
Całaś srebrna, wniebowzięta!

Nabijaną światłem drogą
Łódka moja zwolna płynie;
Jakże lubo, jakże błogo,
Na szafirów tej głębinie.
Za jeziora przezrociami,
Majaczeją wzgórze, skały,
I ty ze mną i my sami,
I tak piękny świat ten cały!

Nabijaną światłem drogą
Coraz dalej łódź ma płynie;
O! Anieli czuć nie mogą,
Co ja czuję w tej godzinie.

.

Coraz dalej twarz miesiąca
Nas prowadzi smugiem fal...
Płynimy, płynimy tak bez końca,
W ciszę, w jasność, w błękit, w dal!
Wód zwierciadła — gór widziadła,
Ziemia — niebo — jeden kraj!
Rzeczywistość się pomału,
W świat przemienia ideału,
W sen ze srebra i kryształu!
— Daj mi teraz marzyć, daj!

ZAWSZE I WSZĘDZIE.

O! nie mów o mnie, gdy mnie już nie będzie,
Że ciebie tylko goryczą zraniłem,
Bo ja goryczy kielich także piłem:
Zawsze i wszędzie.

O! nie mów o mnie, gdy mnie już nie będzie,
Że tobie tylko los życia popsułem,
Bo własną dolę ja także zatrąłem:
Zawsze i wszędzie.

Ale mów o mnie, gdy mnie już nie będzie:
Że Bóg jest dobry, że mnie schował w grobie,
Bo byłem sobie nieszczęsny i tobie:
Zawsze i wszędzie.

Ale mów o mnie, gdy mnie już nie będzie:
Żem żył na ziemi dzikim serca szałem,
Bo z serca ciebie — choć smutno kochałem,
Zawsze i wszędzie.

NAD MORZEM NA SKALE.

O! Boże, Boże! Rozemknę ramiona,
Jak gdyby skrzydła i skrzydłami temi
Polecę na dół, w głąb błękitów łona,
Polecę w morze, w to niebo na ziemi,
Bo wznieść się w górę nie wolno, nie dano,
W dół tylko cięży me ludzkie kolano.

A chcę odepchnąć ten ład taki szary,
Chcę się przerzucić w jakiebądź bezmiary.
Duch mój rad ujrzeć niewidzialnych gości,
Dobro i piękno — w blaskach wszechmiłości,
Dobro i piękno ze złem nie złączone,
Coś wszechstronnego, w czemu się nie kryła
Przy mocy Bożej i piekielna siła,
Coś, coby płaczem nie było zroszone.
Bo za dni naszych i najświętsze cele
Brzydoty bólu, nędzy mają wiele.
Mrok zawsze bliski czystego błękitu,
I łza, krwi pełna, bliska łzy zachwytu.

O! tak, marzyłem na wzgórzu nad morzem.
I chciałem, chciałem rozemknąć ramiona,
Jak gdyby skrzydła i skrzydłami temi
Na dół się zepchnąć w głąb błękitów łona,
Polecieć w morze — to niebo na ziemi.
Tak dobrze lecieć, tak ciągnie planeta,
Radby do serca przytulić człowieka,
Tak otchłań wabi i ludzi z daleka;
W nerwach tak dziwna budzi się podnieta!
Zdaje się: w dole przepływnie kryształ,
Tak miękko będzie, tak lubo, tak miło,
Człowiek na falach rozciągnie się cały,
I coś boskiego będzie mi się śniło,
Aż w nieskończoność poniosą te wały.
I księżyc wejdzie i w srebrnych promieniach
Kochane wejda powitać mię duchy,
Zewsząd owieją niebiańskie podmuchy;
Wesprę się, płynąc, na wysmukłych cieniach,
I coraz dalej, ach! dalej od ziemi,
Już w wieczność będę po morzach wraz z niemi,
Jako szedł Chrystus przez niegrzązkie fale

Do źródła ziemi, nie ciężki już wcale,
W wewnętrznej duchów lekkości i chwale.

A jednak, jednak ja tu się zostanę,
Choć wszystko smutne, choć wszystko stroskane!
Dopóki żyją moi ukochani,
Duch mój ich nagłem odejściem nie zrani!
Wiem, że ty lepsza błękitna otchłani,
Niż zgotowana przyszłość co mnie czeka...
W tych falach spokój — a tam są tortury,
Lecz precz odemnie kuszące lazury!
Przez ból hartują się piersi człowieka!
Ja ból obieram... W każdej chwili ranę
Do serca przyjmę. Ach, ja tu zostanę!

LISTKU DZIŚ SUCHY...

Listku dziś suchy, przypomnij mi strony,
Gdzie nad błękitnem Albana jeziorem
Tłum drzew jesiennych nawieszał się, wzorem
Szczęścia zwiędłego, uwiędłej korony!
A w głębi cisza. W dole śliczne wody,
Wiecznie te same, niebiańskiej pogody.

Choć na ich brzegach zwiędły kwiaty Boga,
I płaszcz się rozdarł zielonej natury,
I ludzkich zamków zapadły się mury,
I liściem żółkłym pokryła się droga:
One powietrza światło odbijały,
I w nich był znajom obraz nieba cały.

Tak w głębi serca, tak w przepaściach duszy,
Drga jakieś Boga przezczyste odbicie;
Choć wewnątrz pełno mąk, trosk, łez, katuszy
Choć serce żółkło, tam, w sercu trwa życie,
I niewidzialnym, ukrytym błękitem,
Głęb wód i serca związanych z niebios szczytem.

DO KOBIETY.

Choć serce znęcisz krwawych ocz kryształem,
Lub je podeptasz czczej myśli suchością,
Nie będziesz jeszcze żywym ideałem,
Nie będziesz jeszcze niewieścią pięknością.

Skromność bez wiedzy, lub rumiane lice,
Również się dzisiaj na mało przydały;
Nie być — lecz wyrósć musisz na dziewicę,
Przechodząc z wolna świat ten bolu cały.

A gdy z twych natchnień i mąk i łez mnóstwa,
Wybłyśnie w końcu święty promień Bóstwa,
I twarz ci zleje światłem wiecznotrwałem;

Gdy na twem bladym, marmurowym czole,
W wieniec się mocy splotą życia bole:
Wtedyś Pięknością, wtedyś Ideałem!



LEGIA TEBAŃSKA.

Zwycięstwo! zwycięstwo! Gall pierzcha w nieładzie,
Przed legią rzymską na polu;
I Cezar Maxymin już w myśli swej kładzie,
Na czoło swe laur w Kapitolu.

I niżli sam wrędcę, jak tuszy i marzy,
Cześć boską wśród Romy odbierze:
U stopni dla Marsa wzniesionych ołtarzy,
Bić sto głów rozkazał w ofierze.

Lecz cóż to? Falanga co tryumf odniosła,
Nie łączy się sama do innych;
I stoi jak głazem do ziemi przyrosła,
Zdała od obrzędów dziękczynnych.

Obaczył Maxymin starszyznę przewodnią;
Obwieszcza: starszyzna jak głucha.
Szyk stoi bez ruchu... O! zgrozo, o! zbrodnio,
Legia Cezara nie słucha!

Gniew zawrzał w mocarzu: wtem wódz się jej zbliża
I rzecze: »Chcesz prawdy — o panie!
Tyś Wódz nasz i Cezar... lecz Bóg nasz, Bóg krzyża:
My Grecy syny — Tebanie.

Bóg dał nas w moc twoją i wolę w tem Jego
Szanujem i znosim na ziemi;
Lecz On nam zakazał czcić Boga cudzego...
W nim żyjem — i umrzem wolnemi!»

— »Ha! śmierć więc wam wszystkim!« I na głos tyrana
Gromadzi się tłuszcza siepacza;
Zawiścią bodzona, wściekłością pijana,
Skazanych na zgubę otacza.

Lecz ostrzem ich włóczy pól pola się jeży,
Jak mury szeregi ich tarczy:
Przed ciosem zbójcekim co zewsząd w nich mierzy,
Czyż sił im na odpór nie starczy?

I tysiąc serc męжных w szeregach pogańskich
Na hasło ich tylko drżąc czeka,
By stanąć w obronie — nie praw chrześcijańskich,
Lecz swobód i prawa człowieka.

I Wiktor, Rzymianin, na świetnym rydwanie
Przybieżał i woła: — »O! Grecy!
Kto prawy syn Romy, ten za was dziś stanie,
Więc naprzód! wy piersi — my plecy!«

A na to wódz Greków: — »Nie nasza to droga,
Nie siłą ludzkiego oręża,
Lecz czystą ofiarą za prawdę, dla Boga,
Duch boży przez ludzi zwycięża.«

Wtem zabrzmiał znak straszny i zbójców okrzyki...
I wpadli... Tebanie w tej chwili
Zrobiwszy znak krzyża, rozwarli swe szyki,
I oręż na ziemię rzucili.

I wszyscy: czy który pierś swoją odstania,
Czy słabszy, co w żalu i skrusze
W modlitwie sił szuka na chwilę skonania:
Wszyscy radzi oddali swe dusze.

I widział Rzymianin i poczuł sam w sobie
Moc prawdy i krzyża zwycięstwo;
Uwierzył i wyznał i dotrwał w tej próbie,
I z Greki podzielił męczeństwo.

Poganie szydzili z słabości swych wrogów,
Maxymin się cieszył z ich zgonu;
Ci, widząc w nim pomstę i tryumf swych bogów,
On — pewność swej władzy i tronu.

Lecz w niebie Wszechmocny osądził inaczej:
Ta święta pokora ofiary,
Ta krew tylu wiernych pod mieczem siepaczy,
Mąk i prób dopełnia snąć miary.

I w mało lat potem, krzyż z nieba widomy,
Oświecił pogromcę cesarów:
Konstantyn go zatknął na szczycie śród Romy,
I nad świat wznosił na ostrzu sztandarów.

BRANKI LITWINÓW

DO LUCI, TERENI I MANI.

Lucia, Terenia, Mania, — łzami ubolewania
Płaczą losu tych żon »Trzech Budrysów«,
Co to Laszki, baranki, niewiniątka a branki,
U Litwinów, niedźwiedzi! tygrysów!

Skądże takie współczucie? O! dość spojrzeć na Lucię,
Na Terenię — wesołe koteczki;
Dość się wpatrzeć w te czarne, Mani oczki figlarne,
Co się błyszczą jak z chmur dwie gwiazdeczki;

By dojść, że się w tym razie, same czując w obrazie,
Tak drżą przed nim ze wstrętem i trwogą...
Ach! a gorsza przyczyna, że snąć ze mnie, Litwina,
O Litwinach zdań znienić nie mogą.

Lecz nie płaczcie! albowiem ja wiem i wam opowiem,
Dalszy koniec tej całej przygody:
Wieszcz ją przerwał na chwili, gdy synowie wrócili,
A dziad posłał zapraszać na gody.

A tymczasem trzy one, rozżalone, strwożone,
Nuż w płacz głośny, pokląkszy na ziemi!
Stary w głowę zachodził, cieszył, koił, łagodził,
Aż nakoniec, nuż płakać wraz z niemi!

Bo w myśl weszła mu ona, ukochana, stracona:
Taką była, gdy wioził ją do domu;
Taką nieraz bywała, gdy go płacząc błagała,
Aby krzywdy nie czynił nikomu!

Zrozumiały filutki, łez i modłów swych skutki —
Więc do dziada z błagalnym wejrzeniem!
Nuż go chwytać za dłonie, nuż się tulić na łonie,
Dziad roztopniał jak wosk przed płomieniem.

— »Dzieci! krzyknął nareście — gośćmi memi jesteście,
Stary Budrys nie Krzyżak, nie zbójca!
Przez Znicz i przez Perkuna! ja wam za opiekuna,
Ja wam stanę za stróża i ojca!

Hola! słuchać mię chłopcy! To me córki, — wy obcy;
Chcę was z niemi poswatać — lecz próba!
Nie dam żadnej żadnemu, aż się skłoni ku niemu,
Aż go sama bez musu podoba!«

Luci, Mani, Tereni, z ócz się radość promieni:
»O! z tych Laszek nie będzie Litwinek!«
Poczekajcie, bo przecie z *Lamé-Fleury* to wiecie,
Jak to było z porwaniem Sabinek.

Rzecz nie moja powody ich miłości i zgody;
Lecz jak prawdę największą rzekł Adam:
»Że nad wszystkie ziemianki, miłsze Laszki kochanki!« —
Tak ja prawdę niemiejszą powiadam:

Że na całym tym świecie nie ma i nie znajdziecie
Mężów lepszych, jak męże Litwini!
Każdy z nich na głos żony, jest jak niedźwiedź uczony,
A cierpliwy — jak wielbłąd pustyni.

A pytam pannę Lucię: nie miłeż to uczucie
Czuć się w domu królową i panią?
Pytam pannę Terenię: źle to na swe skinienie
Mieć to wszystko co zechce? — A Manio?

Nieraz ci, jestem pewny: śnią się wschodnie królewny,
Słoń za konia i tron w palankinie!
Otóż, wszystko to prawie, znaleźć możesz na jawie,
W wsi litewskiej — i w mężu Litwinie.

A cóż mówić o lidze: o Jadwidze?... Lecz widzę
Że dość tego, co rzekłem już wprzódy.
Mani, Tereni, Luci: nie dziwi już, nie smuci,
Że bez musu odbyły się gody.





ROJENIA WIOŚNIANE.

O! widać i słyhać — w ogródku skowronek
Z piosenką podleci, upadnie:
I moje kwiateczki z rozpukłych nasionek,
Już wschodzą zielono i ładnie.
O! milsze krosienka,
I milej z okienka,
Zadzwoni piosenka:
La — la — la — piosenka!

Po kwietnej, po świętnej — z przewodnią niedzielą
Rozrosną się w słońcu kwiateczki,
I w pączki się zwiną, — rozwiną, wystrzelą
W czerwone, niebieskie listeczki.
O! milsze krosienka — i t. d.

Po cichu coś szepczą i młodzi i starzy,
O! łatwo odgadnąć z ich oczu:
Coś o mnie, o kwiatkach, — co? jakie do twarzy,
Co? jakie w mym upleść warkoczu?
O! milsze krosienka — i t. d.

O! wiem ja, wiem kogoś, co wszystko mi powie,
Zwierciadło mi prawdę odsoni;
Liliję uplotę u wstążek na głowie,
Różyczkę we włosach u skroni.
O! milsze krosienka — i t. d.

Wieczorem, za dworem, gościniec w kurzawie,
Gość jedzie na wronym koniku;
O! prędzej, co prędzej u włosów poprawię,
Przepaskę zacisnę w staniku.
O! milsze krosienka — i t. d.

Gość jedzie: już w bramie; rzy konik z podwórka,
Mój Boże! ach, co go przywiódło?
I woła i pyta: »a państwo, a córka?«
I cugle zarzuca na siodło.
O! milsze krosienka — i t. d.

Od brzęku, od dźwięku ostrogi, szabelki,
Aż brzęczą, aż dźwięczą pokoje;
Aż skacze serduszko, bo wojak to wielki,
Wszelako, nie bardzo się boję.
O! milsze krosienka — i t. d.

Groziła mi ciocia... o! gdzietam — co cioci!
Groziła z uśmiechem, nie szczerze:
»Bałamut!!« — o gdzietam! — to anioł dobroci!
Bałamut? — nie wierzę, nie wierzę.
O! milsze krosienka — i t. d.

On idzie i kłania i zbliża się do mnie,
I mówi tak pięknie i z cicha;
Wstyd oczu mi podnieść — tak chwali nieskromnie;
Pochlebnik! O biedny! on wzdycha...
O! milsze krosienka — i t. d.

O! dobry i grzeczny i miły chłopczyna!
Lecz będę, o będę ostrożna!
Całować chce różę... dalibóg zaczyna...
O! proszę! nie można! nie można!
O! miłsze krosienka,
I milej z okienka,
Zadzwoń piosenka:
La — la — la — piosenka!

PANNA MŁODA.

Owoż insza dzisiaj wcale!
W licach grają niby żale,
Słowo księdza u ołtarza
Ciągłe w uszach się powtarza,
»Mnóżcie się ku Bożej chwale,
Wierność — miłość — i na wieki!«
Mokre łzami jej powieki;
Widzi nowe obowiązki,
Świat nieznany i rozległy;
Śni o łatkach co ubiegły,
Jeszcze pachnie kwiat z gałązki:
Ale oto wnet obleci;
Pełna czarów jego krasa
Sama w sobie już przygasa:
Śnią się — dom i mąż i dzieci!
Dziwy, dziwy! i dziewczyna,
Co się dzieje — przypomina.

Lube družki naokoło,
Gwarzą, mizdrzą się wesoło,

Tulą się na siostry łonie;
Rówiennice — co na kwieciech
Z nią w porannych, miłszych leciech,
Przepląsały w dłoniach dłonie.
Czemuż ku nim dziś nieczuła?
W bładem czole już powaga:
Myśl — jak w całun się osuła,
Rzeczywistość oto naga
Niepokoje, smutek wzmaga.
Raj miłości wnet się prześni;
Bądź jej zdrowa luba maro!
Dźwięk ostatni oto pieśni,
Co czarował wiosnę jarą!
Dziwy, dziwy! i dziewczyna,
Co się dzieje — przypomina.

Pierzcha od niej w lot družyna,
Oto krewni i rodzice
Zapłakane głaszczą lice,
Błogosławią jej do drogi:
Już po cierniach gdzieś żywota!
Skarb to święty — wiecznie błogi,
Dziatkom jej puścizna złota.
Serce się jak na gwałt miota;
Dziwna nowość w każdym słowie:
Co lat wiele, słodko, miło
Śnić się miało — już prześniło!
Przyszłość, straszna jak pustkowie,
Spłasza lube sny omamień,
Na miniony wiek zawala
Nagrobkowy niby kamień.
Rzeczywistość jeno zdala!...
Dziwy, dziwy! i dziewczyna
Co się dzieje — przypomina.

Po modlitwie — coś weselsza,
Wstaje oto sromem drżąca;
Promienisty słup miesiąca
Oknem wpada. — Żywsza, bielsza
Jak w kąpeli myśl się zmaca:
Przeźroczyste wskrós z pod rąbka
Muska ciałko, szyję, włosy;
Niby z piórek swych gołąbka
Strząsa krople srebrnej rosy;
I świecąca, śliczna, hoża,
W lot podnosi się do łoża.
Błask miesięczny, zwierciadlany,
Opromienia jaśniej ściany;
Ptaszek w gniazdku oto marzy!
Coś po szerszej dziś pościeli,
Czemuś wzrokiem żywiej strzeli!
Płomyk jakiś mignie w twarzy!
Buchaż mocniej woń od wieńca?
Słyszysz kroki oblubieńca.
Dziwy, dziwy! i dziewczyna
Co się dzieje — przypomina.

ŚPIEWAK TĘSKNIĄCY.

Nigdyż serce stęsknione,
Mar minionych nie prześni!
Wiecznież w jedną gdzieś stronę,
Zaczaruje me pieśni?

Jak świat długi, szeroki,
Z lutnią moją podróżną:

Zmieniam miejsca, widoki,
Ale zmieniam napróżno.

Przez miejsc tyle, chwil tyle,
Każdy dla mnie zakątek,
Wszystkie, wszystkie tu chwile,
Są bez wrażeń, pamiątek.

I to serce, o dziwo!
Tak czujące dziś mało:
Indziej biło tak żywo,
Tak promiennie kochało.

Ach! przed moką powieką,
Darmo dzień mi tu płonie!
Wzrok, jak pieśni — daleko,
Wiecznie w jednej tkwi stronie.

Ku niej tęsknię z wieczora,
Z jutrznią tęsknię i płacę:
Bom pożegnał nie wczora,
I nie jutro obaczę!



RÓŻE.

Sadźmy przyjacielu róże!
Długo jeszcze, długo światu,
Szumieć będą śnieżne burze,
Sadźmy je przyszłemu latu.

My, odbici z niw rodzinnych,
Może ich nie ujrzym kwiatu;
A więc sadźmy je dla innych,
Szczęśliwyszemu sadźmy światu.

Jakże los nasz piękny, wzniosły!
Gdzie idziemy — same głogi;
Gdzieśmy przeszli — róże wzrosły;
Więc nie schodźmy z naszej drogi!

Idźmy, szczepmy, — gdy to znuży,
Świat wiecznego wypocznienia,
Da nam miłszy kwiat od róży:
Łzy wdzięczności i wspomnienia.

PIOTR PSZONKA JASIEŃCZYK.

Piotr herbu Jasieńczyk, Pszonką zwan,
Pan na Krzyżanowie,
I Toporczyk, Szczekarzewic Pan,
Hardzi to panowie,
Nie mają boskiej bojaźni,
Śmieją się z ludzkiej przyjaźni.

Wypadli oni jednego dnia
Na bliskiej wsi pole,
Z nimi ludzi, koni, chartów ćma
I stado sokole —
I polują jak po borze,
I tłuką zboże nie zboże.

Zaszedł im drogę lud całej wsi:
Błagali biedacy:
— Co robicie? toż pot naszej krwi!
Szczędźcie krwawej pracy! —
I czapkami się kłaniali:
— Niech się Ich Miłość oddali. —

Śmiechem, fukiem, zbyto prośby ich.
Dla biednych niedola,
A dla panów niepobożnych śmiech.
Pognali przez pola,
Wieśniacy odeszli z niczem,
Jeszcze niejeden wziął biczem.

W tym czasie, zjechał na sądy w gród
Król Wielki — Kazimierz,

Przed nim więc upadł i wołał lud:
— Wymierz prawo, wymierz
Panom, co gorsi od Litwy.
Jak Bóg, weź nasze modlitwy. —

Bacznie wysłuchał żaloby król,
Wyjechał na rolę,
Przeszedł się w poprzek i podłuż pól,
Obejrzał swywołę,
Szkodę na palcach zrachował
I tem słowem wyrokował:

— Za szkodę, to a to, każdy z was
W chłopskie ręce złoży,
Byście umieli na drugi raz
Szanować dar Boży:
Zboże główny niebios datek
I cały kmiotka dostatek.

A za biczowanie ludzi cnych,
Abyście wiek wiekiem
Pomnieli na to, że ból nie śmiech,
A człowiek człowiekiem,
Po raz każdy z tych kmieciów,
Smagnie biczem grzbiet Waszeciów! —

I stało się, że Piotr Pszonką zwan,
Pan na Krzyżanowie,
I Toporczyk Szczekarzewic pan,
Choć butni panowie,
Zapłacić szkodę musieli
I jeszcze biczami wzięli.

Pan Pszonka wielce do serca wziął
Tę swoją przygodę,

Zmienił się jak jędor, króla kłął,
Targał się za brodę.
— Poczekaj — wołał — stary psie!
Długo ty popamiętasz mnie!

— Poznasz ty, co to za chłopski gnój
Biczować rycerza.
Ja ci w ten Łobzowski stolec twój
Tak podsadzę jeża,
Że niech wszyscy chłopci babią,
To go stamtąd nie wywabią! —

I pokryjomu szedł z Polski precz
Pomiędzy Litwiny,
I wołał do nich: — Ogień i miecz
Na lackie krainy!
Król stary i przy Esterce
Spalił w popiół męskie serce.

— Cała wam Polska leży jak trup,
Tylko ją oprawić.
Tam lud, grosze, bydło, wszelki łup;
Tylko się nie bawić;
Ja wam wskażę takie szlaki,
Że się zjawim jak cud jaki.

Przystała Litwa... Litwie w to graj.
Hurra! do zachodu!
Wyją, jak gdyby wilków sto zgraj
Zawyło od głodu.
I dalej wzuwać chodaki,
Przepasywać się w sajdaki;
Przysmalać w płomieniach końce dzid,
A kielznać żmudziny;

Za chwilę ciągną jak chmura biéd
Do lackiej krainy;
A Piotr po przodu, o wstydzie!
Na kraj własny z wrogiem idzie.

Jak Litwin w lasy raz nurka da,
Tak płynie puszciami,
Aż się wychyli na światło dnia
Nad Wisły brzegami,
Tam się otrząśnie, wypocznie
I radzi co dalej pocznie.

— Stójcie! — rzekł Pszonka — ja pójdę wprzód,
Z Wisłą żartu niéma,
Ja pójdę wprzód i wytknę wam bród. —
Co rzekł to dotrzyma.
Poszedł, wynalazł bród rzeki
I na znak postawiał tyki.

Sprawiwszy wszystko już wracać miał,
Gdy ujrział, że blisko
Święty Stanisław kamienny stał;
Więc na urągowisko
Rzekł mu w szyderskim uśmiechu,
Grożąc palcem: — no! sza mnichu!

Na to z kamiennych świętego warg
Wyszły ciche słowa:
— Wielki Boże! złam ten hardy kark;
Niechaj zdrajcy głowa
Sobą tę czystą krew spleci,
Którą w myślach toczy z braci. —

I w tejże chwili ślizga się łódź
Wodą, jak po lodzie:

Dwóch w niej siedziało — anielska młódź,
W anielskiej urodzie,
W anielskiem opromienieniu,
Ale w rybackiem odzieniu.

Jak ślad od gwiazdy, taki płomień tłał,
Za lekkim czółenkiem;
Z brzegu do brzegu podniósł się wał
I toczył się z dźwiękiem,
Żerdzie wierzchów uchyliły,
Szeregiem z miejsca ruszyły.

I szły jak ptactwa wodnego rzęd.
A gdy przypłynęli
Kędy największa głębia i pęd,
Rybacy zniknęli,
Żerdzie znów się wprost podniosły
I stanęły jakby wrosły.

Zaledwie ziemię osionił mrok,
Horda Litwy rada,
Rzuca gęstwinę pustyni — i wskok
Nad Wisłę przypada.
I jak szła, tak w wodę wbiegła,
Gdzie znaki brodu postrzegła.

Ale jak tylko rzucili ład,
Straszny krzyk się budzi;
Nieshamowany, bezdenny prąd,
Rwie konie i ludzi,
Przewala wiru falami
I rzuca dalej trupami.

Zginęli wszyscy co pierwsi szli;
Ci co pozostali,

Iść już nie chcieli, a wściekle źli,
— To zdrada! — wołali.
— Gdzie jest Lach, co nas prowadził?
Pod miecz go, on Litwę zdradził! —

Próżno się Pszonka wymówić chce;
Czerń Litwy rozjadła
Na nic nie baczy, miecz tłumy tnie,
Już głowa odpadła,
Już na żerdzi, głowa ścięta,
Jak pamięć zdrady zatknięta.

Litwa dalszy zaniechawszy łup,
Wróciła w swe knieje;
A pana Pszonki pół nagi trup,
Nad Wisłą bieleje —
I głowa kiwa się ścięta,
Od ptaków nawet nie tknięta.

Tylko skrzydłami, ptak czarnych piór,
Wiał z niej jak poroczyk
I wciąż krakał; miał to być zły twór,
Pan Otto Toporczyk,
Który z żalu, jak wieść niesie,
Obwiesił się w bliskim lesie.



SAMSON.

Ów mąż wsławiony zaraz od poczęcia,
Którego naród zbawcą swym nazywał;
Co jeszcze w rannych latach pacholecia
Lwy — jakby owce ręką pokonywał;
Przed którym wojska Filistyńskie drżały:
Samson, doczekał końca swojej chwały.

Zdradą fałszywej niewiasty ujęty,
W nieprzyjaciółach mściwe znalazł pany.
Pozbawion wzroku, obciążony pęty,
Jęczał w ciemnicy, wstydem pożerany,
Sam sobą gardził... kłął pamięć Dalili,
A pomnąc przeszłość — czekał zemsty chwili.

Pyszni tryumfem pogańscy książęta,
Niewolę męża głosili ludowi.
W dzień jego klęski, jakoby w dzień święta,
Nieśli ofiary bogu Dagonowi.
I lud radością wielce się przenika,
Że ma sławnego w więzach wojownika.

W książęcym gmachu stawili biesiadę.
A gdy w weselu była ukończona,
Wśród pjaney myśli podniesiono radę,
Iżby ślepego przywołać Samsona:
By grał książętom i by w tej postawie,
Mogli zlorzeczyć jego zaszczej sławie.

Przybył mąż wielki. — Gdy wkroczył w ich koło,
I wstrząsnął strasznych rąk swoich kajdany;
Gdy podniósł dumnie krzywdą ciężkie czoło:
Zuchwałę szczęściem struchlały tyrany.
I w całym gmachu wraz się przestrach wzbudzi,
Chociaż w nim było trzy tysiące ludzi.

»Książęta! powie, na rozkaz wasz stoję!
Lecz nie czekajcie biesiadnej powieści;
Jak zemsta wasza i jak dzieła moje,
Tak strasznej musi pieśń moja być treści,
Przeto słuchajcie!« — Każdy słuch natęża,
Ciekawy, jaka pieśń takiego męża.

On wprzódy rzecz do sługi strażnego
Co go prowadził: — »Niechaj miejsce zmienię,
Daj, bym się dotknął słupów gmachu tego,
Bowiemię wielkie ujęło znużenie«.
Zaczem nie pierwej mowę swą rozpoczął,
Aż był przy słupach, a w milczeniu spoczął.

»Był mąż przemożny, nie prostego rodu,
W żywocie matki sławę już dziedziczył;
Bóg go przeznaczył do swojego grodu,
By w nim ludowi jego przewodniczył.
Więc był narodu obroną i siłą;
Bo Pan był przy nim i zwycięstwo było.

Słyszał obłudę, — słów jej nie rozglądał.
Ufności — zdrada miała być zapłata,
Zbłądził, że wiary od niewiasty żądał;
Uwierzył w szczęście i skarany za to.
Był mąż przemożny, zdradzony, sprzedany;
Sławą swych zwycięstw — zasłużył kajdany.

I przekwitł wielkiej chwały jego wieniec.
Przed kim warowne upadały brony,
Sędzia narodu — jakby podły jeniec
Został w katuszach pod ziemię wtrącony.
Wzrok mu wydarto! Jeszcze w pośmiewisko,
Ślepego — wiedli na ludu igrzysko!

Wtedy wspomniawszy lata dawne, młode,
Wołał do Pana: — Oto mąż Twej chwały,
Któremuś w puszczy stwarzał żywą wodę,
Przed którym wojska jak ptaki pierzchały:
Imię Twe z głębi duszy wypowiada,
A w więzach, w bolach, pod hańbą upada!

O! Panie! jeśli czuwasz nad swym ludem,
Jeśli Ci syny wybranych Twych miłe:
Daj uczcić siebie nowej łaski cudem,
Tchnij we mnie dzielność! wskrześ mą dawną siłę!
Niech jak lew straszny pomszczę się nad wrogiem:
O! Boże! pokaż, żeś gnębionych Bogiem!«

Rzekł. — I natchniony, przed strwożoną zgrają,
Jak sieć pajęczą wnet zrywa swe pęta!
Już chwycił słupy które gmach wspierają...
Próżno ucieczką bronią się książęta:
Runął gmach mocą Samsonowej ręki...
I pod gruzami stłumiły się jęki.

PROSTAK WIEJSKI.

Nie wiem, gdzie tam lepiej komu,
Każdy panem własnej woli;
Mnie najlepiej w ojców domu,
Więc rad siedzę na swej roli.
Nie ciekawym co tam poda,
Zagraniczna miastom moda!
Sieję sobie swe zagony:
Niech Bóg będzie pochwalony!

Ktoś tam szuka obyczaju,
Pędzi w świat... otwarte wrota!
Dzięki Bogu, wiem i w kraju
Co jest rozum, grzeczność, cnota.
Wolę ja w staroświecczyźnie
Własnej wiernym być Ojczyźnie,
Bom z pradziadów Polak chrzczony:
Niech Bóg będzie pochwalony!

Ktoś przez mądre tam mozoły
Myśli, że świat przeinaczy!
Toć i jam odbywał szkoły,
Wiem co ta ich mądrość znaczy,
Hurt za hurt — wolę ja stare,
Ojców serce, ojców wiarę,
Życ dla dzieci i dla żony:
Niech Bóg będzie pochwalony!

Ktoś tam ludzi durzy, mami,
I gdy jaki zysk w tem zoczy:
Górnościami, czułościami,
Jako może mydli oczy.

U mnie — znam się na oszustach,
Prawda w sercu, prawda w ustach;
Do prostotym wzwyczajony:
Niech Bóg będzie pochwalony!

Niech tam sobie łakną drudzy,
Chwały, sławy i tam dalej...
Mnie, gdy w domu lubią słudzy,
Gdy mnie w wiosce kміeć pochwali;
Gdy pochwałą mnie sąsiedzi,
A zwłaszcza ksiądz przy spowiedzi,
Tom już całkiem nasycony:
Niech Bóg będzie pochwalony!





SELANKA MŁODOŚCI.

I.

Panna była prześliczna; — z błękitnych jej oczek,
Zaledwie że piętnasty uśmiechał się roczek.
Panicz równy jej wiekiem, bywał nieustannie
W jej domu — i z rozkoszą siadywał przy pannie.
Znosił koszyczki kwiatów i jagódek pełne,
Pomagał zwijać w kłębki włóczkę i bawełnę —
Nad rysowaniem wzorków strawił nieraz dzionek;
Grywał z nią w gotowalnię, w mrućka i pierścionek.
Przyjaźnił się z jej bratem, grzecznie gadał z matką,
A pannie tysiąc fraszek opowiadał gładko.
Lecz często, kiedy czulszem ośmielon wejrzeniem,
Chciał wyznać, jakim dla niej rozgorzał płomieniem,
Wnet mieszał się, głos tracił i słów mu nie stało:
Tak pod szkolnym mundurkiem biedne serce drżało!
Raz przecież postanowił, bądź co bądź wypadnie,
Oświadczenie miłości wyrazić jej ładnie —
Lecz zamiast arcydzieła co tak długo składał,
Rumieniąc się, oświadczył: że deszcz będzie padał!

Panna miała dla niego zawsze wzroczek słodki,
Gdy on przy niej — to ciągle piosnki i chichotki,
A kiedy przez czas jakiś nie widać panicza,
To jej coś, jakby smutek wyglądał z oblicza.
Siadała przy krosienkach nie mówiąc i słówka,
I skarżyła się mamie, że ją boli główka!
Tak żyli blisko siebie, jak na cichej łące,
Skryste w cieniu, dwa drobne fijołki woniące,
A w okół nich krążyły w domu szeptów roje,
Że się panicz i panna kochali oboje!
Była to pierwsza miłość, niewinna, milcząca,
Święta — jak przed ołtarzem lampa gorejąca,
Bez zalotnych uśmiechów, bez słówek ponętnych,
Bez wyrzutów zazdrości i przysięg namiętnych!
Ale, gdy się ich oczy napotkały razem,
To wnet lgnęły do siebie jak magnes z żelazem —
Radeby tak pozostać przez miesiące — lata —
I tak patrzeć ku sobie — do skończenia świata!
O! bo ich dusze, zbiegłe po źrenic promyku,
Wiodły czułe rozmowy w bezsłownym języku;
A wrzących uczuć potok tajonych tak długo,
Przebiekał z serca w serce, niewidzialną strugą;
I tworzył im ocean — po którymby chcieli,
W łódce o złotych wiosłach pływać jak anieli!
Lub jak samotna para śnieżystych łabędzi,
Kołysać się na falach, gdzie je wiatr popędzi,
I żyć zdala od brzegów — do skończenia świata!
— Tak im błogo schodziły ich różane lata.

II.

Raz, w cieniu lip przed dworem, w jesiennym poranku,
Młody panicz i panna rozmawiali w ganku

O pogodzie, o słońcu — a potem o zgonie
Prześlicznego jaśminu, co uschnął w wazonie.
Potem o czemś weselszem — o zwycięskiej walce
Kęta Filusia z psami — a w końcu o lalce;
Bo zapomniałem wspomnieć, że wśród pogadanki
Panna stroiła lalkę dla młodej krewnianki.
Gotów był cały ubiór od stóp aż do głowy:
Trzewiczki — biała suknia — kapelusz różowy
I fartuszek niebieski jak modniarki oczy,
Brakło tylko na główce pukłów i warkoczy.
Skąd wziąć je? Łatwa rada. Z uśmiechem pustoty
Panna zdjęła z grzebienia ciemnych włosów sploty,
Westchnęła nad ofiarą — zgrzytnęły nożyczki,
I upadł lśniący kosmyk u stóp ofiarniczki.
O! jakże była piękną, gdy po szyi białej,
Tych brunatnych pierścieni fale się rozlały,
I spadając na piersi kaskadą ogromną,
Stroiły w czar zalotny tę postać tak skromną!
O! była to Syrena albo Nimfa grecka,
Lecz z czystością anioła i szczerotą dziecka!
Panicz patrzył milczący, gdy drobne jej palce
Ciemne loczki nad czołem przypinały lalce;
A kiedy już warkoczyk spłotła do połowy,
Znów wrócił do przerwanej przed chwilą rozmowy,
Dowodząc, że to szkoda i myśl desperacka,
Dawać tak piękne włosy na dziecinne cacka;
Że lalce, na nic skarb ten nie może się przydać,
Bo pod kapelusikiem warkocza nie widać!
A wzrokiem mówił czulej: »Jest ktoś przy twym boku,
Co o takiej pleciance marzy już od roku;
Coby o ten podarek na kolanach zebrał —
Coby go kosztem życia z cudzych rąk odebrał,
Jak cudowny talizman na piersiach umieścić,
Biciem serca kołysał, całunkami pieścić«.

Panna patrząc z pod oczka, choć pracą zajęta,
Zrozumiała zapewne nieme argumenta:
Bo jej lica zakwitły purpurowym blaskiem.
Wtem okno od salonu otwarło się z trzaskiem
I głos matki się ozwał: — »Chodźno moja rybko!«
Panna rzuciła wszystko i pobiegła szybko.

I sam Katon by upadł w tych pokus przepaście,
Zwłaszcza gdyby się kochał i miał lat szesnaście!
Nasz panicz, nowy Tantal, widząc koniec męki,
Zostawioną plecionkę do drżącej wziął ręki.
Był sam — żadne go śledcze nie trwożyło oko,
Więc do ust ją przycisnął i westchnął głęboko.
Ale gdy zaczął tonąć w morzu zadumanek,
Panna jak hyży ptaszek znów wbiegła na ganek.
Ocknął się pomieszany — lecz czuł, że w tej chwili
Los przyjazny ku niemu szalę szczęścia chyli;
Zebrał całą odwagę — a miał jej nie dosyć —
I rzekł skromnie: »Ja chciałbym panią o coś prosić«,
— »O cóż?« — »O podarunek!« — »Dał mi pan frasunek,
Bo trzebaż jeszcze wiedzieć jaki podarunek?«
— »Zaręczam, że ta sprawa nie skończy się sprzeczką,
Niech tylko pani powie maleńkie słóweczko:
Daruję!« — »No, daruję!« — z uśmiechem odrzekła.
On pokazał plecionkę — ona raka spiekła.
Zdziwiona, przerażona, drżąca przed nim stała,
Cofać słowa nie śmiała — a może nie chciała;
A panicz, wyczerpnąwszy cały zasób męstwa,
Zamilkł — jakby się wstydził zdradnego zwycięstwa.
Dopiero, gdy ich oczy spotkały się razem
I zlepły się, zrosły jak magnes z żelazem,
Zabrzmiały w strunach serc ich zmarłe w ustach dźwięki:
Wyrzuty — przebaczenia — skargi i podzięk,
I przysięgi karmione a tajone w łonie:

Wierności aż do zgonu — wierności po zgonie!
I znów zaczęli gadać o słońcu, pogodzie,
I o ślicznym jaśminie co uschnął w ogrodzie,
Potem inne, weselsze toczyli rozmowy,
Lecz o lalki warkoczu nie było już mowy.

Któż był kiedy szczęśliwszym, dziwnych zdarzeń zbiegiem:
Czy Aleksander Wielki po nad Indu brzegiem?
Czy Cezar, gdy bogowie na błoniach Farsali
Z tryumfem nad Pompejem, rząd świata mu dali?
Napoleon, gdy pragnąc uwiecznić swe plemię,
Ujrzał syna dziedzica w rzymskim dyademie?
O! nie, — radość zdobywców dumna a zwodnicza,
Nie może się porównać z radością panicza!
On marzył, że się w niebie z aniołami brata,
Że dzierżąc promyk włosów, dzierży berło świata!
Panicz był rad i wesół i humor miał złoty,
Cały dzień sypał żarty i broił pustoty,
Uśmiechał się, przymilał — jakby chciał do łona
Wszystkich ludzi przycisnąć w braterskie ramiona!
Panna uradowana miała wzroczek słodki;
Po całym domu brzmiały piosnki i chichotki,
Aż matka powtórzyła raz, drugi i trzeci:
»Jakże się też to dzisiaj rozigrały dzieci!«

III.

Trudno zmienić bieg rzeczy na ziemskim padole;
Panicz, choć dziarski młodzian — był studentem w szkole,
A panna rówienniczka, w siedemnastym roku,
Wyrosła na kobietę tak pełną uroku,
Że aż w najdalsze strony rozbiegły się wieści,
O tej nedorównanej piękności niewieściej!

Niebawem też, gość obcy, nie znany nikomu.
Pojawił się znienacka w rodzicielskim domu.
Był to pan już niemłody, lecz grzeczny, układny;
Posiadał zacne imię i majątek ładny;
Przywiózł list polecalny od krewnych jejmości,
I zaczął prawić pannie tysiąc uprzejmości!
Ojciec po krótkich zwiadach wykrzyknął radośnie,
Że z takim mężem honor jego domu wzrośnie;
Że to partya wyborna; — a matka dodała,
Że córka przy pieniądzach będzie szczęście miała!
Spisano kontrakt — gości zjechało się wiele;
Odbыл się ślub, biesiada i huczne wesele;
Potem wsiedli do kocza, stangret trzasnął z biczem,
I uniósł w kłębach kurzu złoty sen panicza!

.....
Panicza, który zdała wśród murów stolicy,
Nieświadomy o niczem, przy szkolnej ławicy
Czas wolny od nauki na marzeniach trwonił;
Za modremi oczkami tęskną myślą gonił;
Licząc, że za sześć niedziel znów je odzobaczy...
Gdy wieść ślubu nań padła jak piorun rozpaczy!

IV.

Czy panna, kornej córki pełniąc obowiązek,
Przyzwoliła bez gwałtu na ten nagły związek?
Czy w białych, ślubnych szatach, pod mirtowym wiankiem,
Popłakała choć chwilę za młodym kochankiem?
Trudno wiedzieć, bo panicz po tych burz przebyciu,
Już jej nigdy i nigdy nie napotkał w życiu!
Znikła, gdzieś aż w dalekie uwieziona Tatry,
Zgasła, jak droga perła w czarze Kleopatry.

.....

Lecz panicz zaznał wówczas mąk najsroźsze piekło,
I wiele łez mu gorzkich po licach przeciekło,
Gdy zamiast marzeń jego postaci uroczej,
Czarne widmo nieszczęścia zajrzało mu w oczy.
Wybladł, znędzniał, jak gdyby chorobą złamany.
A po nocach układał najszałejsze plany:
Rzucić szkoły, iść pieszo w nieznajome strony,
Dopóki nie odnajdzie swojej ulubionej...
Wyrwać ją z rąk tyrana, z pod strażników tłuszczy,
Osiedlić się we dwoje na bezludnej puszczy,
Ulepić chatkę z gliny, otoczyć ogrodem,
I żyć z nią korzonkami, owocem i miodem!
To znów myśl mu straszniejsza do mózgu się wdziera,
A właśnie miał pistolet i czytał »Wertera«.
Szczęściem, że i »Ołtarzyk złoty« czytał co dnia,
I czuł, że samobójstwo, to hańba i zbrodnia!

.....
Tak wiara i zajęcie około prac dziennych,
Spędzały szał wyległy wśród nocy bezsennych;
A czas, zwolna, lecz ciągle niósł mu ukojenie,
Zmieniając rozpacz w smutek, a smutek w wspomnienie!

v.

W rok dopiero, choć jeszcze cierpieniem nękany,
Nawiedził panicz dworu sąsiedniego ściany.
A że bawiąc w gościnie twarz posępna grzechem,
Musiał więc łzy osłaniać kłamanym uśmiechem;
I słuchać opowiadań: jak córka szczęśliwa,
Jakie zięć ma intraty za wełnę i żniwa!
Ile w stajniach rzy koni słynnych krwią i rasą,
I jakie trzody owiec po halach się pasą!
Kochankowi, poecie, dawano do picia
Kropelka po kropelce — wszystką prozę życia!

Ten dom, który mu dawniej był niebem malutkiem,
Który witał z radością a opuszczał z smutkiem,
Dokąd w dali myśl jego tęskliwa i cicha
Biegła, jak złota pszczołka do lilii kielicha;
Ten dom, z całym pamiętek przeszłości zasobem,
O! jakże mu się wydał pustynią i grobem!
W ogrodzie, tak jak dawniej, krocie było kwiatków;
Lecz panicz próżno szukał dwóch modrych bławatków,
Które tu, w błogich chwilach miłości zarannej,
Wykwitały ku niemu, z ciemnych rzęsów panny.
W klombach, tysiące ptasząt kwiliło wśród drzewek,
Lecz nie było w tym chórze tego ptaszka śpiewek,
Którego on się tyle w tem miejscu nasłuchiwał,
Co tak słodko szczebiotał, tak ponętnie gruchał.
O! dla innych dziś oczu modrzały bławatki!
A ptaszek? — Może zamilkł wśród złoczonej klatki...
W ganku, w domu, w ogrodzie — tylko się wznosiły,
W cmentarzu jego szczęścia, zmarłych snów mogiły!
Więc je żegnał westchnieniem i łzawą powieką.

.....
I wkrótce los go poniósł daleko, — daleko!

vi.

O! stare to już dzieje!... W dalszych, długich latach,
Ów panicz stąpał częściej po cierniach niż kwiatkach.
Nie jedna odtąd miłość, namiętna lub czuła,
Upoiła go szczęściem, smutkami zatruła!
I poznał serc niewieścich balsamy i jady,
Anielskie poświęcenia i piekielne zdrady.
Bo na ścieżce żywota, w ciągłym niepokoju,
Pił do syta z cierpkiego doświadczenia zdroju!
Przecież dotąd w panicza poranionem łonie,
Niewygasyły wspominek dawnych uczuć płonie!

Burza światowych uczuć dotąd nie rozwiła
Tej woni, która niegdyś duszę mu zalała.
Pierwsza miłość niewinna, cicha i milcząca,
Święta — jak przed ołtarzem lampa gorejąca.

Dziś samotny wędrowiec po szerokim świecie,
Gdy go boleść duchowa lub cielesna gniecie;
Szukając ulgi mękom — o! ileż to razy,
Wywołuje pamięcią przeszłości obrazy.
I marzy, jak mu było hożo i radośnie,
W niepowrotnej, w różanej, w złotej życia wiosnie!
Jak po szkolnych mazołach powracał z uciechą,
Na wiejski wypoczynek pod rodzinną strzechą;
Jak konno pędził w pola; z fuzyjką po borach;
Jak jeździł po pokrewnych i sąsiedzkich dworach;
Jaki czuł zachwyty, urok i raj nieustanny,
Gdy rumieniąc się patrzył w modre oczy panny!
Gdy niczego już więcej nie pragnąc od losów,
Tulił do ust i serca plecionkę z jej włosów;
Gdy żyli blisko siebie, jak na cichej łące,
Skryte w cieniu, dwa drobne fijołki woniące.



ROZMOWA.

— Pójdź tu dziewczynko! — I ona bieży.
— Czy ty mię kochasz? — Kocham i mocno!
— Jak matkę, brata? — Inaczej, szczerzej:
Chciałabym tobie być tak pomocną,
Ulżyć we wszystkim i dzielić z tobą
Co mam, mieć będę i więcej jeszcze.
W nocy, gdy drzewo czasem szeleszcze,
I wiatr o szyby jęczy z żalobą,
Tęskno mi, przykro, smutno i ciemno,
Płaczę i myślę, żeś ty nie ze mną!

— Żle moje dziecię, to ciężkie grzechy!
— Ciężkie ty mówisz? Nie, ja nie wierzę;
Kiedy poranne mówię pacierze,
A nie za ciebie: nie mam pociechy.
Wieczorem, kiedy zbieram twe słowa,
I wszystkie sobie dziwnie tłumaczę:
Jam tak szczęśliwa, choć rzewnie płaczę,
Żebym tę chwilę była gotowa
Zamienić w wieczność — i płakać wiecznie!

— Żle moje dziecię! Trzeba koniecznie
O innem myśleć: tak rozum każe,
Tak Pan Bóg każe! — — Ja kiedy marzę
O niebie czasem: tyś w oku zawsze!
Dawniej robiłam sobie wyrzuty,
Lecz rzekły do mnie głosy łaskawsze:
Póki masz serce, kochaj dopóty!

Zmilkliśmy nagle... Słońca nie było,
Wieczór nadchodził, w pokoju ciemno,
I tak mi było trwożnie i miło,
Taka odmiana we mnie i ze mną,
Że powtarzając: »żle moje dziecię« —
Ona że »kocha« — wciąż — na przemiany:
Ręką i ustami całował przecie...
Byłem w dziewczynie już rozkochany!



MAURZYCY
GOSŁAWSKI

1805 *1834*

DUMKA PODOLSKA.

Gdyby orłem być,
Lot sokoła mieć!
Skrzydłem orłem lub sokolem,
Unosić się nad Podolem,
Tamtem życiem żyć!

Droga ziemia ta,
Myśl ją moja zna!
Tam największe szczęście moje,
Tam najpierwsze niepokoje,
Tam najpierwsza łza!

Tambym noc i dzień,
Jak zaklęty cień:
Krażył nad nią jak wspomnienie,
Pierś orzeźwiał, czerpał tchnienie,
Z tamtych lubyh tchnień!

Gdyby gwiazdką być,
I w obłokach tkwić:
Jasnym okiem w noc majową,
Nad kochanki mojej głową,
Do poranka lśnić!

Albo z po za mgły,
Zsyłać słodkie sny,
Jak w jeziora tle przejrzystem,
Odbijać się światłem czystym,
W kropelce jej łzy.

Takbym noc i dzień,
Jak zaklęty cień:
Niewidzialnem patrząc okiem,
Zachwycał się jej widokiem...
Boże! w gwiazdkę zmień!

Próżno się tych dni,
Obraz w duszy śni:
Zapłacz luba gorzkim płaczem,
Nad kochankiem i tułaczem,
Co był miłym ci!

Biedni, biedni my,
Wspomnieć serce drży:
Orły lecą, gwiazdy cieką,
Nad Podolem gdzieś daleko,
A na oczach łzy.

WĘDRÓWKA.

Ja rosnę z wiatrem — ja i on,
Byliśmy bracia z młodych lat...
Współwychowawców jednych stron,
Los od kolebki pogał w świat.

On leciał przodem noc i dzień,
Niósł lekkim skrzydłem myśl mą tam:
Gdzie za nim biegnąc niby cień,
Nie mogłem nigdy zdażyć sam.

Dziś brat, co ze mną razem rósł,
Powiernik serca, nie wiem gdzie:
Czy go uragan wściekły zniósł,
Czy sam niewierny rzucił mię.

I lecąc, wszystko zabrał mi:
Młodego serca lekkie sny,
Uczucie, radość młodych dni,
I młodej wiary słodkie łzy.

I jak szeroki dzisiaj świat,
Pusto przedemną wszecz i wzdłuż:
Bo znikł przewodnik, wietrzyk^z brat,
Bo moja radość znikła już.

Teraz wędrowca pędzi ból,
Bez czucia, wiary i bez łzy;
Za każdym wiatrem, co wśród pól
W dzikiej krzewiny listku drży.

Tak lecę błędny... Ni mię znój,
Ni wstrzyma jasny pączek róż!
Bo znikł przewodnik, wietrzyk mój,
Bo moja radość znikła już.

O! wróc wędrowcze drogi, wróc!
Tęskna pierś bratnia woła cię!
Wróc! oducz myślę, pomnieć, czuć,
Lub z serca drogę pokaż — łzie!



WEREDYK.

Powiedział ktoś, nie wiem kto, ale słowa święte,
Że gdyby wszystkie prawdy miał w garści zamknięte,
Nie chciałby jej otworzyć. — Przeciwnie ma cele,
Co nazwę weredyka otrzymał w udziale,
Co zewsząd sieje wieści niedościgłe ziarnka.
Weredyk moi państwo, dziwna to poczwarka:
Jest w nim coś z osy, jeża, pawia i papugi,
Jego głos zawsze cichy a języczek długi;
Namiętnie śpiewa prawdę, lub co prawdą mniema,
Ale nigdy przyjemnie; na to głosu niema.
Przeciwnie, to co drażni, to co boli, lubi,
A zwłaszcza bezwzględnością nad wszystko się chlubi:
— »Powiedziałem mu prawdę, aż mu poszło w pięty!«
Cały też jego rozum w tych piętach ujęty.
Ale owa ta prawda, tak ostra, tak tęga,
Czyliż plotki a czasem oszczerstwa nie sięga?
Weredyk się nie wzruszy; jakie bądź tam skutki,
Obowiązek przyjaźni: prawda bez ogródki!
Weredyk zawsze staje w przyjaźni ornacie,
Czyli zwiastuje klęskę, czy płacze po stracie,

Nie lęka się wyjawić najdotkliwszych wieści,
Zagłębia zimną sondę w samo dno boleści,
Ani się zastanowi, czy potem go stanie
Na kropelkę balsamu przy otwartej ranie?
Choćby trochę ułudy, choć trochę nadziei,
Gdzie słońce już nie grzeje na życia kolei;
Choćby tylko snu trochę niezmokłego łzami,
Gdzie kto na zgłiszczach szczęścia zdrzycie czasami.
Dlaczego? na co? po co? te tysiączne groty
Niewczesnej trwogi... żalu... daremnej tęsknoty?
Na to jest tylko jedno słowo odpowiedzi:
Że w każdym weredyku jakiś dyabeł siedzi,
Co w swej pychy rozkosznej pluszcząc się kąpiele,
Mniemanych swych przyjaciół swym ukropem dzieli.
Od takich prawdolubnych świrdrów w każdej porze
I w każdym stanowisku, uchowaj nas Boże!

STARY ŚPIEWAK.

Nie drwicie sobie z mej starej bandury,
Że posklejana od dołu do góry,
Jaki pan — taki kram;
Nie drwicie sobie, że mój głos już stary,
Mało w nim sztuki, ale dużo wiary,
Śpiewam, co w sercu mam.

Nie łajcie-że mnie wy uczone wieszczce,
Jeżeli czasem odezwę się jeszcze,
Wszak ci to cichy śpiew;
A za dawniejsze, dawniejsze przewiny,
Żem kiedyś sięgał po wasze wawrzyny,
Niech zmięknie słuszny gniew.

Niegdyś młodemu czucie w piersiach grało,
Że to natchnienie, zamarzyłem śmiało,
Nuż śpiewać tak i siak;
Aż głos wasz zagrzmiał, o! mistrzowie sztuki:
»Cicho z oklaskiem! Tu barwy, nauki,
Poezyi, całkiem brak!«

Wprawdziem Parnasu nie poznał w obozie,
Wszystko się działo w wyrazistej prozie,
Wzdłuż i wszerek, jak Bóg dał;
Chcieć więc być wieszczem, bez doktorskiej czapki,
Zdroju waszego nie tyknąwszy kapki,
Był to błąd, był to szal.

Zamilkłem, milczę, uwierzyłem, wierzę,
Że w niskiej tylko kręciłem się sferze,
Że prac moich lichy plon;
Lecz nigdy, nigdy, to potomność przyzna,
Zawiści, zemsty i fałszu trucizna,
Nie tknęły moich stron.

Jakiebaż były mej myśli natchnienia,
Zawsze jednakże aż przez dno sumienia
Czysty ich płynął źródł;
Kąciłem niemi zuchwałą głupotę,
Kochałem niemi prawdy świętą cnotę,
Współbraci i kraj mój.

Stłukliście lutnię w moim młodym ręku,
Niechże przynajmniej bandury pobrzęku
Nie sięga już wasz gniew;
Jeśli dziś śpiewam, to tylko pacierze,
Za wiernych jeszcze tej ziemi i wierze...
Łabędzi to mój śpiew!



KOMU W DROGĘ TEMU CZAS.

Wdzięczne dnia światło, niebios wydęty błękit,
Gwiazd stada z swoim pasterzem księżycem!
Tyle już, tyle lat na mnie patrzycie
Wesołem lub chmurnem licem;
Jutro już może nie powitam was:
Komu w drogę — temu czas!

Pieśni słowicze, ptaków powietrzne chorały,
Boru szumy mistyczne w nocną ciszę,
Śpiewne jeziora, mruczące kryształy,
Rozmyślań mych towarzysze.
Jutro już może nie usłyszę was:
Komu w drogę — temu czas!

Wonnych balsamów z czeremch, bzów, wiśni, jabłoni,
Majowy wietrzyk dla mnie nie pozbiera,
Ni tchnień żywicznych od lasów nagoni
I róż mi nie pootwiera.
Jutro nie przyjdę piersią chwycić was:
Komu w drogę — temu czas!

Wy uskrzydłone duchy z dętym, pendzlem, piórem,
Coście od ziemi rwali mnie do siebie,
Zem się nie toczył po niej suchym wiórem,
A częściej chodził po niebie;
W górnej pracowni ducha spotkam was:
Komu w drogę — temu czas!

O! złote myśli, w pasma powplatane zgrzebne,
Marzenia wieszczą, zapału ekstazy;
Życia mirażę już mi niepotrzebne,
Rzeczywistsza milion razy
Jutro mię wieczność oddzieli od was:
Komu w drogę — temu czas!

O! mgły fantazyi! Z gliny waszej gdy lepiłem,
Twórca był ze mnie — twórczość to nie płodna:
Bo choć z waszego źródła ciągle piłem,
Nigdy nie dopił się do dna.
Bezsilne... więcej grób powie od was:
Komu w drogę — temu czas!

Snem wszystko! Mleczną drogą z gwiazd wybudowaną
Pójdę ku słońcom w przestwory szafiru,
Gdzie czysta prawda będzie mi podaną
Wykuta, jakby z porfiru.
Żal mi serc kilku; moi! żal mi was:
Komu w drogę — temu czas!

KNIAŻ DYMITR WIŚNIOWIECKI.

Książ z Wiśniowca w Jedykule,
Za kratami na barłogu,

Znosi ciężar mąk nieczule,
Poprzysięga mścić na wrogu.
Jakby jeszcze na niewierne
Stepem, hufce wiódł pancerne.
Przy surm wrzawie i dum pieniu
Jakby nogę czuł w strzemieniu;
A tu stepem — cztery mury,
A dumami — jęk ponury,
A drużyną — małe chłopię...

— Hej pachole! oj, ty tużysz,
Już nic u mnie nie wysłużysz;
I ja tobą nie wytropię
Wroga w stepie, ni zatopię
Bisurmańskie w Dniepr galary.
Dość mi dałeś, dość swej wiary,
Dość dzieliłeś lichą dołę,
Wróc pachole na Podole!

— Kiedy łowiec w wilczej jamie,
Gdy cięciwa pryśnie w kuszy:
Siada sokół wiern na ramię,
Wierna strzała się nie ruszy.
Ja ci strzałą, ja sokołem
Nie powrócę, cierpmy społem.

Przyszedł sułtan z pychą pawia
I tak kniazia sam podmawia:
— Dam ci córę jak dzień jasną,
Dam ci skarbów co niemiare,
Tylko porzuć wiarę własną,
Muzułmańską przyjmij wiarę.
— Piękna córa, skarb bogaty,
Ale wiara twa za katy!

— Ha! psa giaura, weźcie, weźcie,
I za żebro go powieście!

Już to trzecia wschodzi zorza,
Na Gałacie, gdzie kraj morza,
Kniaź na haku się kołysze,
W oczach zemstę Turkom pisze.
Patrzy w morze — to na szlaki,
Nie pancerneż ciągną znaki?
Czy nie czajki? ciężko wzdycha,
Usta krzepną, mówi z cicha:
— Oj! pachole wierne, młode,
Wracaj, wracaj na swobodę!
— Ja ci strzałą, ja sokołem
Nie powrócę, gińmy społem!

A kniaź oczy wiódł ponure:
— Widzę w sadzie, winogradzie,
Trzy sokoły przeleciały,
Trzy rarogi jasnopióre...
Hej! pachole, daj trzy strzały!
Czy zostało mi sił wiele,
Czy w co zmierzę — to ustrzelę?

I sułtana zmierzył — w ciemię,
A sułtanekę — w samo brzemię,
A dziewicę — w samo lice.

Trwoga bije w Carogrodzie:
Co dokazał Lach na haku,
Cóż dokaże na swobodzie!
Sto strzał w niego wystrzelili,
Z piersi serce wydobyli:
Zjedli serce po junaku!



DO MOICH DUM.

Wstańcie odgłosy z rodzinnej ziemi,
Otrząście grubą pleśń!
Czy pod mogiły śpicie dawnemi,
Czy błoń i cisza wiejska was niemi,
Czy w cieniach chowa,
Gaj i dąbrowa:
W jedną się zwiążcie pieśń!

Wstają: tu zwrotka wiekiem skażona,
Owdzie zmażona wieść;
Jak zdrój z czystego wytrysła łona,
Poła wdziękiem długie plemiona;
Cicha i miła,
Do cnót budziła,
Wpajała ojców cześć!

Tam tęskne córki z mokrą powieką,
W piersi znamiona burz;
Owion ich myśli błogo i lekko,
Szanuj ten smutek i łzy co cieką:

Cichym i czystym
Żalom ojczystym,
Ojczystą nutą wtórz!

Oto skrzydlaty rój przez zagony,
Długi zaściela kir;
Szumią i gwarzą kawki i wrony.
To naszym ciałem tłum wypasiony,
W radosnym chórze,
Zwiastuje burze,
I nowy wietrzy żyr.

Tam ruch i wrzawa kona w uboczy,
Ściany pokrywa mech:
Ciężko i dziko czas się tam toczy,
Wieczystym mrokiem przygasły oczy,
W łonie znędnionem,
Przewlokłym skonem,
Leniwy ślęczy duch.

Już, już znękany żywot rozplotę,
Wieczny powitam dzień:
Pieśni! zaludniaj więźnia samotę,
Roztaczaj nad nim skrzydła swe złote;
Niech w barwy tęczy,
Świat mu się wdzięczy,
Nim wiecznie wzleci zeń.

Tam, gdy w dziedziny zawitał nasze
Stary Jagiełłów krzew:
Medyckich gajów swobodne ptaszę,
Szle powitanie w gościa poddasze,
I w noc samotną,
Piersią szczebiotną,
Znany mu nuci śpiew.

Wiekem stępione budzą się zmysły,
W dźwiękach utonął słuch;
Kwietny smug Niemna i wzgórze Wisły,
Z wdziękiem Jadwigi w duszy zabłyśły,
Na łono spływa,
Głowa sędziwa,
W niebo uleciał duch!

Wstańcie odgłosy z rodzinnej ziemi,
Otrząście grubą pleśń!
Czy pod mogiły śpicie dawnemi,
Czy błoń i wiejska cisza was niemi,
Czy w cieniach chowa,
Gaj i dąbrowa:
W jedną się zwiążcie pieśń!



KRAKOWIAK.

Wesoły, szczęśliwy,
Krakowiaczek ci ja!
A mój konik siwy,
Rażno się uwija;
Uwijaj się, rażno bieź,
Kopytami ognia krzesz!

Czapeczka czerwona,
Na głowie mi płonie,
Pokazuje ona,
Że mi gore w łonie;
Gore serce, pędzi koń,
A dziewczyna klaska w dłonie!

Z czapki pawie pióro,
Barwami się mieni,
Jak dzionek za chmurą,
Gdy ją świt zrumieni;
Dumnie błyszczy pawi puch,
I ja dumny i ja zuch!

Krakowiaczek ci ja,
Pędzę sobie żwawo;
Kto mię nie wymija,
Plunę w twarz kurzawą!
Bo ja pan, bo ja król,
Wśród zielonych niw i pól!

W koło szumi zboże,
Kłania mi się kłosem;
Kiedy zbiorę, z orzę,
To pobrzękne trzosem.
A dziewczęta z całej wsi,
Będą się przymilać mi!

I ta i ta ładna,
Lecz próżne ich chęci;
O! bo mnie już żadna,
Nie zwabi, nie znęci:
Jedno tylko serce mam,
Jedną tylko Halkę znam!

BAL.

Hoże pary idą w tany,
Zataczają skoczne kręgi;
Kurzu wznoszą się tumany,
Przelatują gazy, wstęgi;
Dźwięk muzyki, łoskot kroków,
Jakby w jeden obłok zwiane,
A jak gwiazdy z nad obłoków,
Migają twarze rumiane.

To w przelocie wąs zabłyśnie,
Znów warkocza strumień zleci,
I rumieniec się zakwieci,
Lub żrenica iskry ciśnie.

Znowu, jak mgły nad kaskadą,
Białe suknie z wiatrem płyną;
To jak żagiel się rozwiną,
To się w śnieżne fałdy kładą.
To czasami, ironiczna
Z mlecznych ramion gaza spadnie;
Wnet, jak iskra elektryczna,
Z ust całusek się wykradnie...
A w tym wirze, w tym chaosie,
Krew się pali, wre i pryska;
Ogień w sercu, ogień w głosie,
Ogniem lice, oko błyska.
Dorzuć iskrę — wszystko spłonie,
Bo tu wszystko lotne, palne;
Znikną kształty dotykalne,
I dym — aż pod gwiazdy wionie!

O! nie jeden z godowników,
Chciałby skonać w takim szale,
Wśród muzyki i okrzyków,
W pjanym do tańca zapale.

Lecz gdy chłodny wstrząśnie ranek,
Pałący rozum i ramię,
Nie jeden szatu kochanek,
Z goryczą ręce załamie!

Bo jak burza, gdy zniecka
Rzuci gradem i piorunem,

I błyszczące ludzkie cacka,
Okryje ruin całunem:
Tak po burzy omamienia,
Smutna cisza w sercu siędzie,
A krom ruin i zniszczenia,
Już tam więcej nic nie będzie.
Ruin — z mar o wniebowzięciu,
Przy akordach strun pieszczonych,
W lubej dziewicy objęciu,
W zamęcie tańców szalonych.
Pocóż śnić o raju mam,
Gdy mię dzień na ziemi zbudzi?
Tańczcie! gdy was taniec ludzi..
Ja — garść śmiechu rzucam wam!

DRZEM SOBIE DUSZO.

Drzem sobie duszo! Co ci do tego,
Że tam myśl czyjaś po niebie lata,
Że ktoś ciekawy początku swego,
Ze starych grobów kurze obmiata;
Woła do życia umarłych ludzi,
Jądro granitu myślą przewierci,
Wszystko obnaży, wszystko obudzi:
I z tego wróży — życie po śmierci!

Życie po śmierci!? Drzem sobie duszo!
Czyż być to może, czego już niéma?
Kiedy raz umrzesz — już cię nie wzruszą,
Łagodność Abla, ni złość Kaima.
Bo śmierć po życiu i śmierć przed życiem,
A między nimi maligny chwila:

To wszystko serca nazwano biciem,
To życiem zowią człeka — motyla!

Drzem sobie duszo! Co cię ma budzić
Oko dziewicy miłe, ułudne!
Trzebaż się palić — by potem studzić,
W dłoń szczerą, chwycić dłonie obłudne?
Drzem sobie duszo!... Tybyś nie śpiąca
Spłonęła ogniem, od zimna skrzepła;
Tyś sama w sobie jasna, gorąca,
Tobie nie trzeba zimna ni ciepła!

Ty sobie możesz stworzyć co zechcesz:
Mar fantastycznych osnuć się wiankiem;
Ty, gdy przyrodę myślą połączysz,
Milej ci, niż dziewicy z kochankiem.
Co ci do tego, że tam grom pali,
Że jesień wicherzy, lub śniegi pruszą?
Ty na promykach, zapachów fali,
W pieluchach marzeń — drzem sobie duszo!





Z POEMATU »GWIDO«.

Błogosławiony, kto jak ptak na drzewie,
Rodzinną pieśnią wypowiedział duszę,
Kto zna poezją — a o sztuce nie wie;
Nie błądząc w ciemnej pojęć zawierusze,
Ducha melodyi — duchem przeczuł w śpiewie.
Komu muzyka jak rusałka śpiewna,
Powiała czarem w cichą noc majową,
I rozplakana na mogiłach, rzewna,
Jak senny anioł latała nad głową,
A w noc burzliwą, jak nocnica gniewna
Huczała w chmurach trąbą piorunową,
A po parowach wyciem wilków głuchem!
Błogosławiony, kto melodyi słucha
W naturze całej, ducha wieszczym słuchem;
Kto w szacie dźwięków poznał dźwięków ducha,
I czuciem piękna, stał się równie duchem
Promiennym, jasnym.

Gołąb co tam grucha
Na starym dębie; lasu szum ponury;
I ryki trzody co idzie górami;

I ranne echo, którem mówią góry;
Krzyk orłów; wicher co leci stepami:
Wszystko to bożej harfy jest strunami,
Wszystko jest bożą pieśnią wiekiustą.

Kto duchem w pienie nie wcielał się boże;
Za czysty akord nie stał duszą czystą;
Nie padł kropelką w to bezbrzeżne morze:
Ten nie jest duchem, poetą, artystą,
I berła ducha posiadać nie może.

Muzyko! jasny, święty cherubinie!
Błogosławionaś — niebios posłannico!
Ty nad kolebką śpiewasz już dziecinie;
Na łąkę kwietną płyniesz za dziewicą;
Rolnika łany przemieniasz w świątynie;
Na polu bitwy — męstwa błyskawicą
Zapalasz duchy!

Ty — nawet na grobie
Grasz cichem, smętnem, łzawem narzekaniem;
Ty jako płaczka, gdy naród w żałobie,
Serdeczną nutą lamentujesz za nim.
Serca cnotliwe za kościoły tobie!
Jak mową duszy — każdy naród ganiem
Serdeczną nutą dzieje opowiada.

Nasz duch melodyi jeszcze rozsypany,
Świeci jak gwiazda stupromienna, błada;
Huka po górach i wieje przez łąny,
Z stepowym wiatrem w dumie stepów gada,
I nad mogiłą jęczy rozplakany.

A dotąd niemasz mistrza silnej ręki,
Z natchnioną duszą, z myślą promienistą —

Coby te dumy, te sieroce jęki
Zebrał — i przelał w jedną pieśń ojczystą,
Rodzoną, naszą, — i sieroce dźwięki
Wyśpiewał z piersi, jak melodyę czystą,
Natchnioną, wielką — jak ta piękna ziemia.

Nasz duch melodyi wieje pośród ludu,
Artystów serca jakiś czar zaniemia,
Zaślepia oczy. Mogliby bez trudu
Kwiat, co na własnej grzędzie się rozplemia,
Podnieść, — zajaśnieć w błyskawicach cudu.

Ale ostrożnie młody cherubinie;
Miecz obosieczny — to boże natchnienie!
Muzyka węzłem zazdrości obwinie
Głowę i serce, w błękitne pierścienie...
Z głowy i serca struga krwi popłynie,
Na każdy ziemski uścisk lub zachcenie.

O niej zamarzysz na łożu bezsennem;
Od ust ci słodkie oderwie napoje
I w pocałunku ostudzi płomiennym.
Za poświęcenie — znasz ty wieńce swoje?
Cierniowy wieniec pod wieńcem promiennym,
I włosienica pod słoneczną zbroję...
Pójdiesz tą drogą?

— Choćby przez płomienie!

DUMKA.

W głos serdeczna dumka płynie,
Tam moja jedyna.

A na tej tam Ukrainie,
Matka i rodzina.

Matka tęskno patrzy w pole,
Łzawemi oczyma:
Pusta droga na Podole...
Ani wieści nie ma!

Ach! upłynie wody wiele,
Miną lata, latka,
Zazieleni drogę ziele:
Nim go ujrzy matka.

W głos serdeczna dumka płynie,
Tam moja jedyna.
A na tej tam Ukrainie,
Matka i rodzina.

Miła tęskno patrzy w pole
Czarnemi oczyma:
Pusta droga na Podole,
Ani wieści nie ma.

Ach! upłynie wody wiele,
Minie czasu siła:
Zazieleni drogę ziele,
Nim go ujrzy miła.

Czarnobrewko, żal urody!
Taka wola boża:
Nie on jeden w świecie młody;
Tyś jak wiosna hoża.

Czarne oczy, kraśne lica,
Zakną nie jednego.

Tobie szczęście, — a tęsknica
Dla niego, dla niego!

W głos serdeczna dumka płynie,
Tam moja jedyna.
A na tej tam Ukrainie,
Matka i rodzina.

Próżno czeka stara matka,
Próżno czeka miła:
W obcej ziemi miną latka,
Uściska mogiła!



FARYS — WIESZCZ.

O! i ja kiedyś byłem Farysem,
Lecz czy wy wiecie co Farys znaczy?
Ha! niech step mówi swoim opisem!
Olbrzyna — olbrzym niech wytłomaczy!
On tylko jeden prawdę nam powie,
Jemu więc wiercie jak koranowi.

— Farys — step mówi: to dziecię moje,
To duch tęsknotą nieba trawiony!
Zesłany tutaj na ciągłe boje,
Na ciągłych pragnień żar niezgaszony!
A tak mu trzeba nieba i słońca,
Że tylko za niem pędzi bez końca.

I nic go w pędzie wstrzymać nie zdoła;
Ani uroczej cienie oazy,
Ni beduinka głosem anioła
I blaskiem oczu miłszym sto razy.
Próżne pokusy! bo tacy gońce,
Kochają tylko niebo i słońce!

Więc jam był gościem i gościów bardem:
Cudneż to było to nasze grono!
Z tą myślą wiecznie w słońce zwróconą,
I z tem ramieniem młodzieńczem, hardem,
Co krawędź nieba z krawędzią świata
Sili się spojrzeć — wierząc — że zbrata.

Patrzcie! tam w koło piaszczyste wzgórza,
Niby umyślnie słane mogiły;
Czasem się z głębi szkielet wynurza;
Spytaj tych kości — czem one były?
Ha! te mogiły Arabistanu,
To tylko ślady stóp huraganu!

On to Farysów pochłonał w sobie,
Pochłonał żywcem braci kochanych.
Jam tylko jeden został na grobie,
Na grobie gościów już zapomnianych!
Czy to jest łaska, czy kara nieba:
Allah żyć kazał, więc żyć potrzeba!

Jak młode orlą z złamanem skrzydłem,
Co się już nigdy w niebo nie wzniesie,
Żyć życiem gađu gnuśnem, przebrzydłem,
W tych smutnych murów ciasnym zakresie.
Ha! próżne żale — śpiewaj pajaco,
Tylko zabawnie, bo nie zapłacą.

O! wieczna hańbo! wieczna sromoto!
Ja Farys, piewca z nieba natchniony:
Pieśń mą na ziemskie przestrajać tony,
Pieśń mą sprzedawać muszę za złoto,
By czem okupić cień cudzej strzechy,
Lub zgłuszyć z nędzy szydzące śmiechy.

Oni nie wiedzą, że wieszczą pienię
Jest jako słońce na niebios sklepie:
Co na wszechwładne Boga skinienie
Świeci wędrowcom błędzącym w stepie;
A przecież słońcu nie płacisz za to,
Że cię zbawienną poi oświata.

Oni nie wiedzą — że piewcy śpiewy,
Jak ów dziewiczy ogień miłości:
Co za niebieskie swoje wylewy,
Nic, nic nie pragnie prócz wzajemności.
Sprzedawać miłość — hańba kobiecie!
Sprzedawać śpiewy — hańba poecie!

Przecież tą hańbą wlokę dziś życie...
Allachu! jakże dręczysz mię srogo!
I jeszcze nieraz, ktoś niby skrycie,
Niby po cichu — powie: »za drogo!«
— Za drogo? mówisz... Powiedzże bracie,
W jakiejż wy cenie życie sprzedacie?

Bo słuchaj: — pieśń ma, to część życia;
Tam jest krew moja, tam są łyzy moje!
I mego serca pospieszne bicia,
I uczuć moich i myśli roje!
A każdą — żeby dostać, wyjawić,
Muszę wprzód serce mocno rozkrwawić.

Więc cóż! za drogo?!... O! bądźcie szczerzi!
Gdyby wam przyszło życiem frymarczyć,
I jak pelikan rozrywać piersi,
By krwi za cenę złota dostarczyć:
W jakiejżby cenie była kropelka
Łzy, lub krwi waszej, choćby niewielka?

Męczarnia wieszca w chwili tworzenia,
To boleść matki w chwili porodu;
Ile wlał życia do swego płodu,
Tyle wziął życia z swego istnienia;
Ile on pieśni dla was utworzył,
O tyle kroków grób swój przysporzył.

Czasem, w dodatku słyszę oklaski,
Szczerze, czy zwodne — wszystko mi jedno:
Znam tych błyskawic przelotne blaski!
Znam ich gruntowność i trwałość biedną!
Wasze pochwały — toć to szyderstwo!
Wasze pochwały — toć to bluźnierstwo!

Gdy syn rozpaczłą pięścią kołacze
W grób, co mu drogą matkę ukrywa:
Możecie mówić, że pięknie płacze?
Możecie mówić, że ślicznie śpiewa?
Jak ta łza syna na matki grobie,
Tęż samą szczerocą śpiew mój ma w sobie.

A więc schowajcie marne pochwały —
Gdy pieśń ma święta jako łzy syna;
Nie takie wieńce wieszczom przystały!
Wieszcz — takie wieńce depce, przeklina;
Duch jego wielki i wiecznie młody,
Innej — o! innej żąda nagrody!

Nagroda piewcy — to cisza owa,
Niema, uroczą, z której odgadnie,
Że w duszach wielki zamiar się knowa,
Co kiedyś światu zagrzmi wszechwładnie;
Cisza, co mówi, że ziarno wschodzi,
I myśl-kwiat, wkrótce owoc-czyn zrodzi!

Nagroda piewcy — to te spojżenia,
Co świecą całym duszy wulkanem;
Krótkie, milczące dłoni ściśnienia,
Z westchnieniem długo w piersi chowanem;
I owa chmura ciemiąca czoła,
W której połyska miecz archanioła!

To mi nagroda! — Jam ją odbierał:
W koło mię stali bracia Farysy;
Każdy pieśń moją sercem pożerał;
Pieśń ma wnikała w ich twarzy rysy;
W krew tych serc wielkich, w ich myśli gniazdo:
Lśniła im w drodze przewodnią gwiazdą!

Farysy znikli! głucho na stepach,
A w stepie życia — ach! smutniej jeszcze.
Czasami tylko wiatr zaszeleszcze,
Dmąc po wywianych czaszek czerepach:
On wszystko wywia! wszystko przewiało —
Co było cnotą, prawdziwą chwałą...

O! i mnie pora spocząć w mogile,
Zasnąć snem braci błogosławionych;
Aż kiedyś, kiedyś — za męczarni tyle,
Gdy głos Allacha budząc uspiionych,
Na swoje rajskie zwoła ogrody:
I ja niebieskiej doznam nagrody.

W tym boskim raju, w tem siódmym niebie,
W waszej ojczyźnie o prawowierni!
Allah mnie wielki wezwie do siebie,
Zdejmie mi z głowy ten wieniec z cierni,
I zmiję tyłą krwi przesiąkniętą:
Wyrwie mi z serca pamięć przekłątą!

I najcudniejsze wezwie dziewice
I rzece: — służcie jak Padyszachu!
Ja i nie spojrzę nawet w ich lice,
Ale z pokorą powiem: — Allachu!
Jam tylko prawdy szukał na świecie,
A taką miłość znajdę w kobiecie?!

Nie chcę hurysy, choćby piękniejszej
Od tej, com niegdyś kochał na ziemi;
Lecz ja nie gardzę dary Twojemi!
Ja tylko łaski błagam pełniejszej,
: Za wszystkie, wszystkie Twoje hurysy:
Niech wstaną moi bracia Farysy!

O! pozwól, pozwól choćby na chwilę,
Zstąpić nam jeszcze w nasz kraj cyprysów!
I w dawnej naszej, młodzieńczej sile,
Pobujać orlim lotem Farysów;
I piersi dawnem orzeźwić biciem,
I dawnem naszym zabłysnąć życiem!

Allach wysłucha... Wnet grzmiące głosy,
Wystraszą w głębi śpiących tygrysów,
I okrzyk szczęścia buchnie w niebiosy!
Widcież raz w życiu polot Farysów!
Może wam wówczas, biedne robaki,
Przyjdzie ochota do jazdy takiej!



DWIE PIASTUNKI.

Od kolebki tylko, tylko,
Com przecołgał kilka lat;
Już mię rzuca jedną chwilką
Matka, idąc w inszy świat.
I zostawia chłopię młode,
Na wygodę — niewygodę.

O! już wtenczas główka mała
Przędła wdzięcznych widmów rój;
Co żądała — nie żądała,
To się plotło w senny zwój;
Zlatywała myśl nieboga,
To od Boga — to do Boga.

Raz sennemu tak przypadło
Dwoje dziewic, białych róż;
Jak widziadło — nie widziadło,
Przy nadgłótku stały tuż.
Jak do matki ku nim kłonię,
Jednej dłonie — drugiej dłonie.

I spierały się dziewice,
Która dziecko niańczyć ma?
»Ja mu dam śmiejące lice,
Niechaj zbytek szczęścia zna.
I myśl jego się pobrata
To ze światem, to do świata«.

»Puszczaj siostró! — rzecze druga,
Puszczaj rączkę! w malcu tym
Budzić rozkosz, nie posługa
Ni to jemu, ni to im.
Ja go wniańczę w ostre bole
I w niedolę... i w niedolę«.

A mówiła taką twarzą,
Tak jej oczy zaszły łzą,
Tak się w niej cierpienia skarża,
Że mi ku niej piersi drżą.
Żem się rzucił cały pono,
Na jej łono i w jej łono.

Wonczas zdala nikła, nikła,
Druga postać w jasnym tle;
A mnie smętność tak niezwykła,
To do główki, to w pierś ssie:
Bo zostałem z własnej woli,
Dzieckiem doli i niedoli.

Odtąd niańka zazdrośnica,
Zaszczepiała dzień i noc
Boleść w serce, smutek w lica,
Słabość ciała w męską moc;
Urabiała Bóg wie na co,
To ladaco — na ladaco.

Czasem, czasem, z za obłoku,
Zapromieni drugiej twarz:
To ja lecę — lecz w wyskoku
Już, już tęsknię — Boże skarż —
Za tą pierwszą zapłakaną,
Tak mi znaną i nieznaną.

Lecz cóż robić, mówcie sami,
Kiedy tak mi lubo z łzami,
Kiedy serce jak koń w cwale,
Rzuca pianą w cierpień szale,
I z swą raną tak swawoli,
Że nie boli to, co boli?

Lecz cóż robić, kiedy żale,
Co się kąpią w zdroju łez:
To tak wonią okazale,
Jak lilija, róża, bez;
I siostrą są ci i bratem,
I są kwiatem — i nie kwiatem.

Darmo, darmo siły krzepię,
Darmo szarpię — widzi Bóg!
Już mej doli nie odczepię
Od jej szyi, od jej nóg;
Bo w mej drodze jest sąsiadką,
Wżyciu matką i nie matką.

Raz wyrwałem się niebodze...
Och! był to weselny dzień;
Bębny biły mi po drodze,
W pośród huk, pośród grzmień,
Zdało mi się... tylko zdało,
Bo się rwało — i urwało!

I straciłem raz na zawsze,
Do mej chatki rodnej szlak;
Na rozstajne, na najkrwawsze
Drogi zbiegłem, jak ten ptak,
Co go w klatkę pchną sokoły,
Niby wesół — nie wesoły.

Ach! raz znowum na domowym
Progu, zdybał szczęścia zdrój.
Usty, sercem niejałowem
Usłyszałem: twoja — mój!
I uciekłem w krąg zamęzcia,
Przed nieszczęściem — od nieszczęścia.

I wypchnąłem mą piastunkę
Za dziesiąte, siódme drzwi.
I oddałem jej skarbonkę
Pełną łez i pełną krwi.
I rzekłem jej: to ostatnie
Łzy me bratnie i nie bratnie.

Gdzie tam! — Przyszła do podwoi,
Do znajomych sobie wrót;
Tuż przy łożu żony stoi,
I rozlacza chorób splót.
A szczęście mnie pożegnało,
Trumieneczką jedną, małą.

Ha! cóż robić... Piastuj sobie
Ulubieńca, piastuj wciąż;
To w żałobie, to w chorobie,
Mocnem pętem k'sobie wiąż.
Ej, strzeż! bo ci się wyśliznę
Z tej mielizny, w głąb — w mieliznę!



ŚMIERĆ SŁOWIKA.

W drucianem więzieniu, gdzie kipi gwar miasta,
Zamknęli słowika;
Lecz chętka śpiewania tak wzrasta, tak wzrasta,
Że piersi przenika.
Oh! nie masz tu cienia w olszniczku, w leszczynie,
Co głowę osłoni!
Oh! nie masz tu wtóru, bo strumyk nie płynie,
Ze szmerem po błoni!
Oh! nie masz tu lubej, dla którejby warto
Choć skonać wśród pieśni!
Nie można wylecieć na przestrzeń otwartą,
Bo klatka lot cieśni.
Tu zamiast wietrzyka o bruk koła grzmocą,
Aż trzęsą się ściany;
Tu kurzem osypie jadący karocą,
Pan w złoto przybrany.
Tu zamiast strumyka, tłum płynąc jak woda,
I tętni — i wrzeszczy;
Gdzie tutaj zacisze, gdzie tutaj swoboda,
By wydać głos wieszczcy?

Aż chwieje się główka, aż pęka mu łono,
Kurzawa aż dusi;
Lecz kogo na świecie słowikiem stworzono,
Ten śpiewać już musi.
Poczyna piosenkę, w tonach się rozpada,
Wygłasza swe żądze:
Gdy głaszy go ciągle przechodniów gromada,
Co liczy pieniądze.
Lecz silne, strzeliste śpiewanie słowicze,
Przemagać poczyna:
Wóz tętni po bruku: — »o! ja go przekrzyczę!«
Tak myśli ptaszyna.
I nutą wciąż wyżej i wyżej wystrzela,
Góruje głos młody!
Przypomniał swe chwile dawniejsze wesela,
Swe chwile swobody...
Przypomniał swój gaik i lube wieczory
Pod gęstą kaliną;
Przypomniał serdeczne, długie rozhowory,
Ze swoją jedyną;
Jak budząc się ze snu, przed jutrznią, przed słońcem,
W mgłę rannej lał trele,
I głosem królując nad ptactwa tysiącem,
Był zawsze na czele!
»Przekrzyczę, prześpiwam niesforne te gwary,
Pomimo hałasu!
Do wyższej, do wyższej nastroję się miary!«
Tak myślał syn lasu.
Lecz bardziej a bardziej łoskotów grzmią krocie,
Bruk miejski wciąż dudni;
A jakby na przekór, w ulicznej ciasnocie
I ludniej, i ludniej...
Ów, drugi przechodzień, swe kroki zatrzyma
I słucha pieśniarza;

Pochwała tem bardziej pierś jego rozdyma
I zapal rozżarza.
Niebaczny! swój tryumf opłacasz zbyt drogo,
Cóż ciżby brukowe?
Zdobędziesz ich oklask... lecz płakać nie mogą,
Ich oczy matowe.
Słuchaczów co płaczą łezkami rozkoszy,
Potrzeba ci właśnie;
Tyś nie znał oklasków, bywało cię spłoszy,
Kto w dłonie zakłaśnie.
Już ból wysilenia rwie piersi ptaszące,
Skrzydółka omdlały...
On tego nie czuje! bo w swojej piosence
Utopił się cały.
Całego słowika ogarnął szaf pieśni,
Aż echem drga klatka;
Tem śpiewa donośniej, im cierpi boleśniej,
Z sił swoich ostatka.
A wozy wciąż huczą, a ciżba wciąż krzyczy,
Ci sobie — on sobie;
Aż pęknął od pienia gardziołek słowiczy,
W ostatniej swej probie.
Daremnie w drobnouchne skrzydółka szeleszcze,
Chwieje się i ślania;
Gorące serduszko zadrgało raz jeszcze,
Lecz taktem skonania.
I ten, co pieśniami górował nad knieją,
Tu zerwał swe siły:
A koła po bruku szydlerczo się śmieją,
Że ptaszka zabiły!

KSIEGARZ ULICZNY.

Aksamitem i złotem świetnieją księgarnie,
Aksamitna publiczność po książki się garnie;
A księgarz ceniąc towar jako mu się zdawa,
Złocistemi wyrazy sypie jak z rękawa;
I nam, którzy do druku gotujemy skrypta,
Do spartańskiej polewki, dana soli szczypta.
Dzięki Bogu i za to... A czy pamiętacie,
Kiedy w pańskim pałacu i w szlacheckiej chacie,
Starczył za wszystkie książki wileński kalendarz,
A za wszystkie gazety wioskowy arendarz?
Dziś cała Litwa czyta, dziś wszystko jej znane,
Więc pytasz sam u siebie: kto sprawił tę zmianę?

Patrzcie! ja go wam wskażę: przyparty do ściany
Stoi żyd siwobrody, okryty w łachmany;
Oczy krwawe, zamglone, zgrzybiałość na twarzy,
Pod pachą kilka książek. To Nestor księgarzy!
Nie szydźcie z tej postaci! Lat sześćdziesiąt blisko,
Jak zajął przy tej ścianie swoje stanowisko,
I przechodniom zalecał bibułę i szmaty:
Za miedzianą monetę, dał złoto oświaty.

Gdy wielka pieśń i mądrość Hellady i Romy,
Górowała nad naszej mądrości atomy;
Kiedy w słowie Platona, w Horacego nucie,
Znajdowano wielkości i piękna poczucie!
On sprzedawał łacińską książeczkę *in quarto*,
Zabrudzoną z początku a z końca odartą,
Sprzedał za kilka groszy, a w dodatku powie:
»Niech pan czyta szczęśliwie, niech idzie na zdrowie!«

Zdrowieź było w tych książkach, słowo wrzące czynem!
Naczytawszy się Rzymian — byłeś Rzymianinem;
Duch olbrzymiał w potęgę, opływał w rozkoszy,
Za ubogą zapłatę kilkunastu groszy.
A nędzarz co to sprzedał, patrz, jak błogo leci,
Kupić czarnego chleba dla żony i dzieci;
Jak za ten czarny chlebek, plon swojego żniwa,
Panu Bogu dziękczynne psalmy wyśpiewywał!

Pogadajmy z nim sami. Wspomniał czasy młode,
Westchnął, oparł na kiju osiwiiałą brodę,
Otarł czerwone oczy.

— »Panicze, panicze!

Tyle dobrego zdrowia i setnych lat życzę,
Ile przez moje ręce przeszło za lat dawnych,
Prawdziwych Elzewirów w pergamin oprawnych!
Czy to raz, profesorska figura zgarbiona,
Płaciła po dukacie listy Cycerona?
Za Plautusa, choć prawda, inkunabuł stary,
Pan *Groddeck* mi zapłacił aż cztery talary!
A ja tylko sprzedając ściskam ramionami:
Bo na co im te książki kiedy piszą sami?
Rarytne były czasy — a książek ogromy!
Groddeck, Czacki, Śniadeccy, popisali tomy...
Dzieła choć naukowe szły jak asygnata;
Dużo ich sprzedawałem w staroświeckie lata!
Czy żyją — czy pomarli: daj im Boże zdrowie!
Kupowali je hurmem akademikowie.
Nie jeden z nich dostąpił sławy literata,
Lub wielkiego lekarza przed obliczem świata;
Nie jeden tego doszedł przez mego Homera,
Że dziś jeździ kareta i ubogich wspiera.
Toż wszystko moje dzieci! mogą mówić śmiało;
W moich to oczach rośło, w moich rozumniało,

A był to lud ubogi — obciążony pracą...
Niejeden chciałby kupić — a tu niema za co!
Niejeden, — tych paniczów dobrze mam w pamięci,
Targuje... zwraca książkę — a łza mu się kręci.
To ja tak myślę sobie: — no! szkoda mi dzieci;
Dam na kredyt, lub w zamian literackich śmieci;
Od Baki do Newtona wszystko mi się przyda:
A poczciwi panicze pokochali żyda.
Grosz powoli, lecz ciągle do worka się sący,
Aż przyszedłem nakoniec do nowej oponczy.

W zamianę dostawałem grube foliały:
Rejów, Wujków, Paprockich, Strykowski zbior cały,
Łazarzów, Piotrowczyków wydania bogate;
I pamiętam tytuły, pamiętam ich datę.
Nie chwając się, znam druki krakowskie najrzadsze,
Że czasem i w Bentkowskim omyłkę dopatrzę.
Niepopłatny był towar, mało znany komu:
To ja z piętra na piętro, — od domu do domu
Obnoszę, pokazuję, rarytność dowodzę:
Wypchną mię przez drzwi jedne — ja drugimi wchodzę;
Bo z biedy cóż mam począć? Dla kawałka chleba,
Jasnym panom oświatę narzucać potrzeba.
I trochę rozbudziłem do książek ochotę:
Kolońskiego Kromera sprzedam za dwa złote;
Jeszcze wyższej w mym handlu dochodziły ceny,
»Stuletnie kalendarze« i »Nowe Ateny«.
Najwyżej stał Paprocki, — bo tam było ryte
Jaki herb dla lokaja, jaki na karytę.
A choć mi czasem szkoda gotyckich rupieci,
Cóż robić? myślę sobie: to na chleb dla dzieci.

No — pana *Mickiewicza* zabłysnęła chwała;
Ale już postarzałem... broda posiwiała;

Ręce znużone dziełmi Tacyta, Plutarcha,
Wsparłem ot, na tym kiju stary patryarcha;
I nieraz, gdy książeczkę roznosiłem małą,
Samemu na ten towar patrzeć się nie chciało;
Bo do czego to warte? tom taki niespory:
Jam przywykł do *in folio* lub *quarto maiori*.
Co w tem to pobłądziłem, bo to dobre dzieła!
»Wallenrodom« i »Dziadom« Litwa przyklasnęła.
Czy pan wiesz? były cuda co i sen nie marzy:
W pół godziny sprzedałem — dziesięć egzemplarzy!
A wzięwszy dziesięć złotych raduje się dusza:
— Ha! to musi być większy od Horacyusza! —
Pamiętam jakby dzisiaj, gdy w rzewnej podzięce,
Autorowi »Grażyny« całowałem ręce...

Lecz począłem ubożać: czas płaci, czas traci!
Nowe kramnice książek otwarli bogaci,
A w każdej pełno ludzi... ciekawość ich zdjęła,
Każdy się dopytuje o najnowsze dzieła;
A ja, najstarszy księgarz, com sprawił tę zmianę:
Stoję, zgarbiwszy plecy i podpieram ścianę...

Co staremu do tego, czy wilgoć, czy słońce?
Zalecam przechodzącym romans Walter-Scota,
Egzemplarz niekompletny... cóż ja biedny zrobię?
Pan *Joachim* wyjechał, pan *Mickiewicz* w grobie...
Pamiętam ich, pamiętam — ja żyłem z ich darów!
Teraz już nie sprzedaję tak dobrych towarów.
Skarlał czas, pokarłeli nasi literaci!
Ale, jak mówią ludzie: czas płaci, czas traci...
Bóg mi czterdziestoletnią wynagrodzi pracę,
Odzyskam na *Kraszewskim* co na innych stracę.
Kupujcie go panowie! sprzedaję niedrogo,
Bo biedne moje wnuki z głodu pomrzeć mogą!

Wtem karetą księgarza po bruku się toczy,
I błotem zabryzgała ślepe starca oczy.
Otarł zbolące oczy i podniósł je w górę:
— »Oh! na co ja stworzyłem tę literaturę!«...

HETMAN POLNY.

Po za pagórką, gdzie wioska stara,
Wojsko kwarciane czeka Tatara;
Bo jak ze szpiegów zrozumieć snadnie,
Hordzie w tych miejscach nocleg wypadnie.
— »Hej! gdy zawita dzicz hajdamacka,
Z po za pagórka wypaść z nienacka,
I broniąc niskie strzechy wioskowe,
Krymskich bandytów pobić na głowę!«
Tak już uradził plan całej sprawy,
Wielmożny hetman polnej buławy.

Lecz zabezpieczon w stalowej zbroi,
Nie zawždy rycerz Boga się boi.
Szlachta pancerna i ciurów tłuszcza
Oto po wiosce zagon rozpuszcza;
Rabuje bratnie chaty, spichlerze;
Robocze woły rżnie na wieczkę;
Znieważa kraśne dziewy wieśniacze —
I jeszcze bije, gdy kto zapłacze.
Jeno się śmieje z płaczów i wrzawy,
Wielmożny hetman polnej buławy.

A wtem, pod wioską, nocną zaciszą,
Naszli Tatarzy i jęki słyszą:

— »Ej! niemasz Boga jak Allach w niebie!«
Po bisurmańsku rzekli do siebie;
»Snać tu już goszczą nasi Tatarzy,
Sulejman-Murza od przedniej straży;
Niechże rabują, niech się ochocą,
Nam tu zajeżdżać już niema po co;
Dziś spalim zamek — gdzie wróg nasz krwawy,
Wielmożny hetman polnej buławy.«

Na wiosce hula szlachta pancerna,
Na niebie gore łuna obszerna:
Hetman na niebo spojrział w oddali:
— »Na koń! rycerstwo, mój dwór się pali!«
Lecz nim dobiegło rycerstwo hoże,
Wróg gospodarzył w hetmańskim dworze:
Zamek spalony... służba wyrżnięta...
Żona gdzieś dźwiga tatarskie pęta...
Na zgliszczach domu modli się łzawy,
Wielmożny Hetman polnej buławy.





FRYDERYK SZOPEN
(FANTAZJA),

I.

Czy słyszycie z pod dłoni kobiety namiętnej,
Pieśni jego rozkoszne i dziwne uroki? —
Czy widzicie w jej oczach ten ogień głęboki,
Jakby obłąd pałacy, a jak wiara smętny?
Czujecie, jak w tej nagłej i mistrzowskiej nucie
Nietylko tonów przemoc duszę jej podbiła,
Lecz inne, nowe jakieś powstaje uczucie,
Jak krzywda bolejąca, głuche jak mogiła?

II.

A tony się płaczą jak siecią pajęczą,
Dokoła nas wiążą wrażenia nitkami;
I śmieją się, płaczą i tęsknią i dźwięczą,
Drżą w uchu, lśnią w oczach i nikną nad nami,
Lecz w sercu zostają. — Uśmiechem prorocтва
Daleką gdzieś palmę wskazują w pustyni;
A potem, jak w oczach namiętnej mistrzyni,
Drżą zalem tęsknoty, wrą bólem sieroctwa.

III.

Ból, sieroctwo! — To nie krzyki,
To wnikliwszej dźwięki mowy!
Tak jak oddźwięk tej muzyki
Cichy, rzewny, pogrobowy...
Ból, sieroctwo! — To nie krzyki,
To jest prawdy dźwięk niemylny,
Tak jak oddźwięk tej muzyki,
Dziwny, smutny — ale silny.

IV.

Lecz cóż śpiewać wyrazami?
Gdy muzyka na pamięci,
Tak wonnemi myśl wieńcami
Opasuje, i tak smęci!...
Od mazurków wieńca zaczę,
Co to wrzкомо bałamutne,
Świetne, lekkie i dziwaczne,
A tak smutne, a tak smutne...
Jak to dziewczę, co to brata
Wciąż z wojenki się spodziewa,
I ze łzami warkocz spleta,
I ze łzami piosnki śpiewa.
W taniec proszą rówiennice;
Choć do tańca jest ochota,
Dziewczę smutno skłania lice,
Bo gdzież tańczyć ma sierota?
Na bułanym wtem ktoś jedzie...
Dziewczę biegnie, klaszcze w ręce,
Obcy człowiek konia wiedzie,
A brat zginął na wojence.

Smutne, smutne to mazurki!
Jak ta matka, co dla córki

Na wesele przystrajała
Białą suknię. Lecz martwica
Wnet poczuła — i zatrula
Tchem śmiertelnym córki lica.
Matka białą suknię szyła,
To też w białą przystroiła
Córki zwłoki — pochowała —
Śpij, śpij cicho — lilio biała!

v.

Teraz brzmi ów tańca dźwięk,
Co i w czapkach go tańczono;
Co na zwrocie w szablę szczęk,
Pas podjęto, wąs kręcono!

Już się snują pary tłumne,
Wygolone głowy dumne,
Wąs sumiasty lub ze szwedzka,
Ale mina tak szlachecka,
Że kto nawet i z kielicha
Jej nie pozna — to zje licha!

A tu przy nich tanecznicze,
Tak urodne,
Tak rzewnością tchnące lice,
Choć w robronach, tak swobodne!

Polonezów jednak tony
Czasem tworzy dziwaczniejsze,
Mazur smutny, rozżalony,
Te bolesne, posepniejsze,
Jakby dworek modrzewiowy,
Niski, stary, pochylony;
A na ganku od ogrodu

Siedzi starzec pogarbiony;
Z szramą podłuż łysej głowy,
Patrzy w krwawy blask zachodu.

A tam — tam, ku zachodowi,
Wiejski kościół słomą kryty.
Dalej cmentarz i krzyż wbity
Tu i owdzie. A starcowi
Czoło marszczy się powoli,
Gdy zachodu barwy chyże
Zrumieniły czarne krzyże,
Jakby mówił: — Jam sierota!
Krzywda losu człeka boli.
W te-m cmentarza proste wrota
Zawiózł syna mego zwłoki;
Drugi gdzieś tam w świat szeroki
Pierzchł i zniknął; zginął trzeci.
Starzec! krzywdę mam bez dzieci...
Jeszcze jakby z ust sędziwych
Wyszło kilka skarg na żywych...
Ale w niebo spojrzął stary,
I zapłakał — pełen wiary.
Wtem chłopczyna z jasnym włosom
I oczyma niebieskimi —
Wbiegł i zaczął srebrnym głosem
Nucić piosnkę... Starzec z ziemi
Znowu podniósł wzrok ku niebu,
I tak słuchał piosnki wnuka
Jak rozrywki co się szuka,
Kiedy wróci się z pogrzebu.

vi.

Teraz taniec ten niemiecki,
Niby wesół — a tak mglisty,

Tak powolny — a ognisty,
Tak przelotny i zdradziecki —
W jakież barwy kształtne, świetne,
Nowe, rzadkie i szlachetne
Dziwne pieśni te ustroił...
Jakby dumał, jakby roił
O mazurkach, krakowiakach,
Kołomyjkach, kujawiakach,
Wśród Webera tęsknych czarów;
Jakby dumkę ktoś zanucił,
Wśród czarnego lasu jarów,
A niedawno Dniepr porzucił.

VII.

A słyszycie marsz żałobny?
Dzwony dźwięczą śpiew przedgrobny,
I karawan zwolna sunie
Ten, co go to dają biędzie.
Na nim trumna, a na trumnie
Pałasz z czapką w krzyż złożone,
A za trumną nikt nie idzie...
Niebo szare, zachmurzone,
Ani trąbka nie uderza,
Wojennego marszu dźwięki,
Ani matki, braci jęki,
Nie zatęsknią na mogile
Sieroty — żołnierza...
Przecież nagle — ktoś na chwilę
Wyjrzał z okien pałacowych;
Jakaś twarz kobiety blada,
Oczu szarych, włosów płowych,
I łza po łzie jej upada.
Czy sieroctwa współcierpienie?
Znałż tego co chowają?

Dawnych może łez wspomnienie?
Dość że płacze... Dzwony grają...

VIII.

Lecz ziemi już dosyć!
Teraz trzeba lot wznosić!
Trza i na Tatrów szczytach
Słuchać dźwięków potoku,
Gdy po siwych granitach
Pędzi fale — o mroku.
Trzeba słuchać jak w borze,
Jodły szepczą tak z cicha;
Trzeba słuchać, jak morze
Rozburzone oddycha
Harmonią letniej nocy,
Melodyą dziwną mroku;
Tęskną groźbą północy.
I cały świat uroku,
Trzeba słuchem muzyka —
Pojąć, ująć i stworzyć,
Który geniusz odmyka.
Tęczowych marzeń trzeba,
Odblaski pojąć lśniące,
Kiedy płyną do nieba,
Fantazyami tęskniące.
Albo dusza gdy chmurna,
Pół boleje, pół śpiewa,
I w ustępy nokturna,
Żalu boleść wylewa.

Trzeba pojąć śpiewaka,
Gdy dla siebie śpiewa;
Gdy lotem króla-ptaka,
Nad te góry i drzewa,

Nad ludzi skrzydła wzbij;
A świat pierzcha daleko,
Jak mgła ranna nad rzeką,
Jak pył!

I czasem się zatrzyma,
Gdzieś nad wioską płonąca;
Dym kłębami się wzdyma...
Matki z twarzą cierpiącą,
Do piersi tulą dzieci.
Płomień bucha czerwony,
On w niebieskie swe strony
Leci.

Trzeba wpoić się w żale,
W młodej duszy rozczary,
I zrozumieć, że w chwale
Najpiękniejsza korona,
Ta, co łzami zroszona
Ofiary.

IX.

Bo nie wszystkim jest dane
Umieć siebie wynucić;
I marzenia rozwiane
Wstęgą chwały obrzucić.
I nie wszystkim też dane,
Pojąć chwały tej blaski,
I najdroższe klejnoty,
Z tej kosztownej przepaski,
Spoić w jeden strój złoty.

X.

Bo geniusz, choć z wszystkimi —
Sam przez życie przechodzi;
Tylu wiedzie na ziemi,

Ale sam schodzi;
Sam tylko jeden wśród ludzi wielu,
Których tak różna robota —
Darzy ją, wznosi do swego celu,
Sam tylko jeden — sierota.

XI.

Ból, sieroctwo i wiary promieniące koło,
Przędę pieśni w żałobnych kwiatów wieńczę zwoje...
Tworząc postać z tych pieśni, ubrałbym jej czoło
W gwiazdy wiary, a w oczy wlałbym smutku zdroje.
Jednakże, by w nich świecił ten blask przenikliwy,
Ta moc cierpień, uniesień, co uświęca wzrok;
Usta ubrałbym w uśmiech tęskny i cierpliwy,
Dniem za nią, przed nią świecił, a w koło niej mrok.

XII.

Bo to mroku był śpiewak, tak cichy i łzawy,
Jak od listka akacyi drżący cień na ścianie;
A czasem tak posępny — lecz mało jaskrawy,
Jak zachodu nad rzeką powolne konanie.
On swemi marzeniami, on swemi pieśniami,
Wszak o szarej godzinie najmilej nas pieści;
On tęsknoty dźwiękami i tęsknoty łzami,
Wyśpiewał chwilę żalu i sytość bóleści.
O! to mroku był śpiewak! Dzień za nim daleki,
Przypominał mu słońca swojego odbłyśki;
I łudził go, i nęcił, że świtania bliski,
Lecz mrok wieszczą swojego omroczył na wieki.

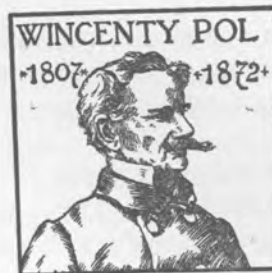
XIII.

I losy skrzywdziły rodzinną ziemice,
Że smutku śpiewaka tak nagle zabrały;
I dzieciom jej licznym zszepiło się lice,

Że o jednego znów osierociały!
 Ale ty błady, uroczy cieniu!
 Już wynuciłeś co nucić miałeś;
 Ty na melodyi srebrnym promieniu,
 Leć, leć w te strony, którym śpiewałeś!
 Pieśni twych tęskne, świetne przędziwo,
 Już się wieczystym snuć będzie ciągiem.
 Ty w sercach naszych co biją żywo,
 Choć bez posągu — będziesz posągiem.
 Leć, leć śpiewaku! To dzień twój świta!
 Leć bracie do braci swojej!
 Tam cię z nich każdy pieśnią powita,
 I czoło blaskiem ustroi.

XIV.

Był ongi zwyczaj, że gdy chowali
 Zasłużonego rycerza w boju,
 Pili na stypie, pieśni śpiewali,
 By wędrowała dusza w spokoju.
 Ty śpiewak — w obcym usnąłeś kraju,
 Obcy ci piasek w oczy się sypie:
 Ja, według przodków naszych zwyczaju,
 Choć pieśń żałoby nuce na stypie.



ZGON MOHORTA.

Jest w Boryszkowcach staw i grobla długa,
 Grobla szeroka i niby bezpieczna;
 Poniżej grobli płynie w bagnach struga,
 A na niej stoi mogiła odwieczna.

Tam do pierwszego przyszło więc spotkania,
 Bo nieprzyjaciel szedł krok w krok za nami,
 A parł na korpus trzema kolumnami...
 Z rzadka już strzały padały od rania,
 I pan Kościuszko przednią straż prowadził,
 I był się znacznie przodem już odsadził.
 Głównym korpusem sam Książę dowodził.
 A w tylnej straży komendę — generał
 Wielhorski miał, — i z lekka odpierał
 Nieprzyjaciela, który na nią godził.

Marsz trwał dzień cały; — pod wieczór się miało
 I Boryszkowską groblę wypadało
 Przebyć przed nocą, most za sobą spalić,

I przez marsz nocny znacznie się oddalić
Od nieprzyjaciół; — jakoż po dwa razy,
Posyłał książe z takimi rozkazy.

Rzecz była dobrze z góry obmyślana,
Bo staw z błotami i z tą groblą długą
Oddzielał korpus nieprzebytą smugą...
A nim most stanie aż nazajutrz z rana,
I nieprzyjaciel przez most się przeprawi,
Nim się po takiej przeprawie znów zładzi,
To i niemały czas w miejscu zabawi,
A nasz się korpus tymczasem odsadzi:
Bitwy nie chciano jak nad Bugiem stoczyć.

Gdyśmy na groblę weszli Boryszkowską,
Już się zdawało, że z pomocą boską
Ujdzim szczęśliwie. — Poczęło się mroczyć...
Spieszno nam było, więc trochę w nieładzie
Zbite szeregi jęły w bród się tłoczyć;
Generał przeszedł po moście na czele,
A Mohort jechał ostatni na zadzie —
I wołał: »stępo!!« tak silnie i karno,
Że każdy słyszał chociaż było gwarno.
Wtem straszny łomot i tysiączne głosy
Wojennej trwogi, wzbily się w niebiosy...
— Co tam?!

Na przedzie most się nagle zwałił,
A nieprzyjaciel tejże samej chwili,
Gdyśmy się z trwogą na groblę wtoczyli,
Z tyłu, w kolumnę ze trzech dział wypalił:
I na trzech liniach czysto jak po miotle —
A w koło mostu zawrzało jak w kotle,
Z ludzi i z koni niby kra się sparła;
Gdy się most zwałił, sam upust już wody

Nie mógł dotrzymać — i groblę wydarła;
I woda buchła nagle rzeką całą,
I wszystko w stronę od strzałów pierzchało,
I wpław do stawu i z grobli na błota,
A i ranionych było już bez liku.

Po trupie Mohort przedarł się na siłę,
I do rotmistrza — który jeszcze w szyku
Swych ludzi trzymał, rzekł: »A to sromota!
Hej! Ostaszewski, za mną na mogiłę!«
I jak duch bitwy stanął na mogile,
I powiódł w koło oczyma przez chwilę,
I krzyknął: — »Bacność! równaj się szóstkami!
W połowie grobli ta mogiła stała...
I gdy komenda z jej wierzchu zagrzmiała,
Każdy rozumiał że pójdziem na działa,
I już przerzadło na grobli przed nami.
— »Ja pójdę naprzód i pierwszy się rzucę,
Ty stój w odwodzie! Jeżeli nie wrócę,
Zaraz w też pędy idź z drugim oddziałem.«
Rzekł do rotmistrza, — i z kopyta cwałem
Ruszył, krzyknąwszy jeszcze dla zachęty:
I jedna wiara mówi Paweł święty!

Z dział uderzono: i w szarym obłoku
I wódz i oddział zginął nagle oku.
Czekamy chwilę — koń Mohorta wraca...
A Ostaszewski: — »Teraz na nas praca —
Marsz!!« i już cały drugi zastęp w locie;
Wpadamy, patrzym a działa w odwrocie,
I kanoniere już leżą pod koniem:
Więc za działami jeszcze chwilkę gonim,
A potem stajem kędy stały działa;
I noc zapadła i skończona sprawa,

Równo z działami cichła zwolna wrzawa,
A z błot i z wody wiara się ściągała.

Koło północy stanął już most nowy,
I kto na grobli nie położył głowy,
Szedł za drugimi.

Wtem rozruch na przedzie,
I głos podają: »Książę! Książę jedzie!«
Książę z raportu już o wszystkim wiedział,
Że Mohort zginął, a na placu bitwy
Jest Ostaszewski i pagórka strzeże,
Gdzie działa stały; — rzekł: — »Szkoda mej Litwy!
I jakże zginął?« — »Jak giną rycerze!
Rzekł Ostaszewski — jak dąb się powalił,
Ale nas wszystkich swym zgonem ocalił!«
A Książę na to: — »Ha! nie czas żałować,
Lecz jak rycerza trzeba go pochować.
I kazał szukać pomiędzy trupami
Pana Mohorta. — Gdy go znaleziono,
Nieśli go groblą towarzysze sami,
I na mogile ogień nałożono;
Książę na ziemię rzucił płaszcz ze siebie,
I kazał na nim złożyć towarzysza,
I była długa i poważna cisza...
Nikt nie rzekł słowa przy całym pogrzebie;
Aż gdy grób cały w końcu był zasuty,
Rzekł Książę tylko do obecnych tyle:
»Żył z szablą w ręku — niech leży w mogile!«
A towarzysze przyklękli na grobie,
I pieśń żalną zanucili sobie,
Którą po uczcie zwykle Mohort śpiewał,
Dziękując z serca gdy podjętym bywał:

*Czas do domu, czas,
Zabawili nas!*

A potem na koń! i samo ognisko
Gorzało tylko, bo już stanowisko
Rzuciła w końcu nawet straż ostatnia.
I ze wszystkiego pozostało tyle:
Rycerz w mogile — w sercu żalność bratnia —
I ten samotny ogień na mogile.
I długo jeszcze w żalności tajemnej,
Kiedy już cały korpus się oddalił,
Patrzyłem w marszu, jak z mogiły ciemnej,
Stos pogrzebowy wśród nocy się palił.

* * *

W kilka dni prawie po owej przygodzie
Stanął był korpus wieczorem przy wodzie.
Patrzę na drogę — aż drogą ktoś jedzie,
I na łańcuchu został zatrzymany;
Konie i zaprząg coś niby mi znany,
Konie myszate, bryka jakaś spora;
Ktoś wysiadł zwolna i żołnierz go wiedzie:
Aż tu w podróznym poznaję Rektora.

— »A cóż pan Mohort?« — pyta mnie. — »Nie żyje!«
— »A więc nie darmo jadę z tą obawą,
Poległ?!« — »Legł w boju jak rycerz ze sławą
I w Boryszkowcach mogiła go kryje.«
— »Ha! pokój wieczny... rzekł rektor z żalobą;
Długie to lata przeżyliśmy z sobą!
I znak niezwykły jak widzę nie myli,
Sam przepowiedział swój zgon w łasce Pańskiej,
A o ostatniej jego życia chwili,
Ostrzegł nas w celi dzwonek Loretański.

Po wyjściu wojska był smutek w klasztorze;
Prowadź ich Panie! ratuj wielki Boże!

Mówiłem braciom: bo słyhać o bitwie...
I dzień nam cały schodził na modlitwie.

Aż dnia jednego przed samą wieczerzą,
Strwożeni bracia korytarzem bieżą.
Więc ich wstrzymuję i pytam — a oni
Mówią, że dzwonek Loretański dzwoni
W pana Mohorta celi, choć zamknięta...
Patrzę na pieczęć, w istocie nietknięta;
Więc rzekłem braciom: — oto palec Pański!
Od wszego złęgo w modlitwie obrona;
A gdy nas wzywa dzwonek Loretański,
Módlmy się bracia — to pan Mohort kona...

Wziąłem gromnicę, wziąłem braci drżących,
I pocznem mówić akty konających...
I łzę serdeczną niejedem uronił,
A dzwonek ciszej — coraz ciszej dzwonił.
I głos się w końcu perełką już sączył —
Ucichł — i rzekłem: — pan Mohort zakończył...
I w tejże chwili korytarze jęły,
I przez sam środek drzwi od celi pękły...
A więc zacząłem: — wieczny odpoczynek.

Kiedym się lepiej rozmówił z Rektorem,
Było to prawie nad samym wieczorem
A i dnia tego i tej samej chwili,
Gdyśmy na grobli krwawy bój stoczyli.
Na to rzekł Rektor: — »Wielka to otucha,
Że Bóg nas ostrzegł o tej krwawej bitwie,
I żeśmy o nim myśleli w modlitwie,
Kiedy pan Mohort oddawał już ducha«.

Z PIEŚNI O ZIEMI NASZEJ.

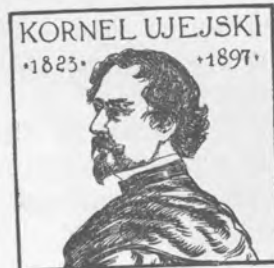
Wielkie domy za granicą,
A w nich ciasno choć nie ludno;
U nas mury się nie świecą,
A o kącik nie tak trudno.
Ledwo człekby czasem wierzył,
Dom niewielki, — wtem gość wchodzi;
Oł, i domek się rozszerzył,
I wnet miejsce gdzieś się rodzi.
Przybył drugi i dziesiąty,
I nie ciasno jest nikomu,
Wyprzątnięto wszystkie kąty,
Coraz szerzej w małym domu.
Zda się, że pan domu sobie
Ścian i miejsca gdzieś przysporzył,
A on tylko w domu tobie
Drzwi i serce swe otworzył.
I ta strzecha choć uboga,
Chociaż niska — przecież bliska,
Dla obcego i dla swego,
I od Boga aż do wroga,
Jest tu miejsce dla każdego.

A dopierożto przyjęcie,
Jakie bywa w polskim domu!
Jak tam każdy poczczon święcie,
Jak nie braknie nic nikomu!
W dzień wesoło, w noc rześisto,
Biało, gładko, potoczysto,
Czeladź syta i okryta,
Wszystko w czasie urządzone,
Przymaszczone, osłodzone;

Indyk kruchy, kapłon tłusty,
I do tego dzban nie pusty.
Jest czem serce rozweselić,
Jest się wszystkim czem obdzielić.
Choć przyjęcie najłaskawsze,
Jest mis parę, parę dzbanów
Zostawionych jeszcze zawsze,
Dla *zagórskich* panów.

Lecz gdy rzucisz stoły hojne
I pominięsz dworską bramę,
Ściany jakby nie te same,
Znowu ciche i spokojne.
Przed świętymi lampa płonie,
Na kominku ogień strzela,
A tem światłem czasem spłonie,
Po nad łożem karabela.
Gdy zawczasie do spoczynku,
A Bóg nie dał w dom sąsiada,
Osiwiała para siada
Do marysza przy kominku,
I jegomość kartę łaje,
A z czterdziestu jejmość zdaje.

Wszystko cicho, nic nie szańnie,
Czasem tylko warta wrzańnie,
Albo kotki załopocą,
Lub panienki zachichocą.



HAGAR NA PUSZCZY.

Od słońca pożaru zczerniała mi głowa,
A w koło pustynia... Do Ciebie Jehowa
Podnoszę płaczący mój głos,
Spraw Panie! by niebo nademną wychłódo,
I skały granitu zmień Panie na źródło,
A piasek czerwony na wrzos.

I nigdyż Jehowa! i nigdyż do zgonu,
Nie ujrzę już dolin kwiecistych Hebronu,
Ni miejsca, gdzie pan mój i ród?
I nigdyż już, nigdy — choć wyjdę z żywotem,
Nie usnę pieszczona pod jego namiotem,
Ni nocą wybiegnę do trzód?

Nam szaty od skwaru opadły w kawałach,
I rzemień popękał na naszych sandałach,
I cierpi i płacze mój syn...
Jam Panie kochała i była kochaną,
Szczęśliwą, — to słusznie że jestem karaną,
Lecz syn mój Izmael — bez win.

Gdy wicher ogniowy po puszczy zawieje,
I żarnym popiołem gdy po nas posieje,
Izmael opada jak kwiat;
Ja Tobie o Panie! natenczas się kłaniam,
I syna mem ciałem przed wiatrem osłaniam,
I chłodzę szmatami mych szat.

I nieraz czuwając: gdy zdrzymię na piasku,
Przebudzam się trwożna wśród nocy i wrzasku:
Dławionej gazelli to wrzask;
A w koło szakale oczyma mi świecą,
I wyjąc uchodzą, — bo myślą żem lwicą:
Tak z ócz mych rozpaczy gra blask.

I nieraz, na białym szkielecie wielbłąda,
Zczajona twarz ludzka źle ku nam pogląda:
Błędnego wędrowca to trup...
I nieraz, sęp głodny zawisnie nad nami,
A potem w mój zawój uderzy skrzydłami
I innym zakracze na łup.

I nieraz gdy uśnie, ja niosę... O! Boże!
Izmael się zachwiał — iść dalej nie może,
Jak trzcina przechyla się z nóg;
I usta otworzył... O! Panie, on pragnie!
O! Panie, Twa łaska niech ku mnie się nagnie,
Tyś wielki, Tyś mocny, Tyś Bóg!

Jehowa! Jehowa! on krzyknął... on pada!
I usta spalone do ust mych przykłada,
A żar z nich wyciąga miast tchu.
Przed głosem, przed moim, czyś zaparł niebiosy?
Jehowa! Jehowa! oh wody, oh rosy,
Kropelki, kropelki choć dżdżu!!

PANNA MŁODA.

MAZUREK SZOPENA 4. OP. 7.

Całe niebo we mnie!
A z ócz płynie łza...
Ach! błóższej odemnie,
Nie ma ziemia ta.
Zbytkiem szczęścia skacze
Serce, z tego mrą...
Ach! dobrze że płacze,
Zbytek spłynie łzą.

A któż to tam
Puka do mych drzwi?
Nie wolno wejść!
Suknię dają mi.
Poczekaj waść,
Jam czekała tak;
No — widzisz go!
Suknię biorę wspak.

Już jam jego prawie,
Już nadszedł dzień ten!
Ach! czy to na jawie,
Czy to tylko sen!
Któż te słowa zważy:
Jam jego — on mój!
Ach! jak mi do twarzy,
Leży ślubny strój!

A któż to tam
Puka do mych drzwi?

Nie wolno wejść!
Wieniec kładą mi.
Ach! jakież on
Niecierpliwy wciąż...
Źle ze mną, źle,
Srogi będzie mąż!

Łza za łzą mi cieknie,
A bierze mnie śmiech —
Ach! śmiać się niepięknie,
W dzień ślubu — to grzech!
Schronię się od złego
Do Maryi nóg...
Ach! wiem ze wszystkiego,
Że mnie kocha Bóg!

Ot w kaplicy już
Organ zaczął grać!
O! duszyczko ma,
Radźże sobie, radź!
I kapela także,
Pobrzękuje razem,
Ja sobie tymczasem
Klęknię przed obrazem.

.....
Maryo! Pani nieba!
Daj mi co potrzeba!
.....

Wróciłam z podróży
Promieni i róż...
Ach! nie pukaj dłużej,
Idę, idę już!

Nieznajomą drogą
Jasny puszczam wzrok:
Ach! jak lekko, błogo,
Pierwszy stawiam krok!

DO PIEŚNI.

Niech wstanie pieśń!
Zdeptana i pogardzona,
Niech wstanie pieśń!
Niech strząsa proch i pleśń,
Niech błysnie w słońcu jej korona,
Kapłańską przewita wstęgą.
Tyś jest, ty trwasz, o! potęgo!

Napróżno tobie wróżą koniec,
Cieszą się twym pogrzebem;
Tyś jak nieśmiertelny goniec
Pomiędzy ziemią a niebem.
Dopokąd czułe biją serca,
Cierpi duch ludzki potyran,
Nie spłoszy cię szyderca,
Nie spęta żaden tyran.

Wszystko od ziemi rwie się w górę:
Niegdyś, gdy ścichły już płomienie,
Popopotowe leżało błoto,
Natenczas twory milczące, ponure,
Uczuwszy słońca promienie
I wiatru łagodny wiew,

Wielką ku niebu zawrzały tęsknotą.
Tęsknota daje skrzydło,
Od skrzydeł wyszedł śpiew,
I tak, i tak,
Z tęsknoty pierwotworów,
Zrodził się ptak!

Czy chcemy, czy nie chcemy,
Czem kazał Bóg — będziemy!
Od doskonalszych my wyszli wzorów,
Niżeli ptaki i bydło;
Wyżej tęsknota rwie nas w górę,
Po nad tej ziemi naturę.
Duch nasz, duch lotny, to nasze skrzydło,
Od skrzydła ducha wyszła pieśń.
Niech wstaje pieśń!
Niech strząsa proch i pleśń,
Niech błysnie w słońcu jej korona,
Kapłańską przewita wstęgą!
Tyś jest, — ty trwasz, — o! potęgo!



DO POEZJI.

Kochanko ducha, dziewico słońca,
Z mieczem i w zbroi hartownej!
Nikt się nie oprze gdyś jest walcząca,
Nikt się nie oprze, dziewico słońca,
Twojej piękności czarownej!

Gdy miecz ukazesz, gdy hełm przywdziejesz,
Białoramienna dziewico!
Gdy na wiatr sztandar śnieżny rozwiejesz,
Zapał szalony w serca rozsiejesz,
Rycerze bronie pochwycą.

Uchwycą tarcze, — miecze ostrzone
Wstrząsną w żyłastych prawicach;
Z krzykiem rozpaczy rzucą się w stronę,
Gdzie im ukazesz grody zniszczone,
Na który widok — zapłomienione
Piekło, wystąpi na licach!

A gdy bohater padnie w obronie,
Ty znijdiesz w szacie anioła:

I wieniec chwały włożysz na skronie,
Zwycięstwo będziesz śpiewać przy zgonie,
I śmierć mu przyjdzie wesoła.

Ty zimne duchy ogniem zapalasz,
W wary przemieniasz chłód lodów;
Ty jedna cudem ludy ocalasz,
Niezwyciężone tłumy obalasz,
Poezyo! matko narodów!

Ty męczennikom, pod ręką kata,
Rozpiętym w bolach śmiertelnych:
Stawiasz obrazy lepszego świata,
Gdzie myśl ostatnia z krzyża ulata,
Do boskich krain weselnych.

Ty im czarowna dziewico słońca,
Nim śmierci doświadczą chłódów:
Za życie męczarń — światłość bez końca,
Ukażesz zdala w promieniach słońca,
Poezyo! wiaro narodów!

Na czarodziejskie twoje skinienie,
Stanie się niebo na ziemi;
Dzikiej niezgody zgasną płomienie,
Na twej czarownej palmy skinienie,
Ludzie się staną świętymi.

Na kogo twoje wejrzenie padnie,
Ten ziemi świeci na wieki!
W imieniu twojem serca owładnie,
Ludziom ich przyszłe losy odgadnie,
A czas je spełni daleki.

Ty będziesz wiązać dłonie szermierzy,
W czas ślubnych świata obchodów;
W ołtarzach stawisz duchy rycerzy;
Przez ciebie ludzkość — w siebie uwierzy,
Poezyo! prawdo narodów!

ZŁOTY KUBEK.

W szczerem polu na ustroni,
Złote jabłka na jabłoni,
Złote liście pod jabłkami,
Złota kora pod liśćiami.
Aniołowie przylecieli,
W porankową cichą porę:
Złote jabłka otrząsnęli,
Złote liście, złotą korę.

Nikt nie widział w całym świecie,
Ludzkie oczy nie widziały,
Tylko jedno małe dziecię,
Małe dziecię z chatki małej.
Pan Bóg łaskaw na sierotę,
Przyleciała z nad strumyka,
Pozbierała jabłka złote,
Zawołała na złotnika.

Złotniczeńku! zrób mi kubek,
Tylko proszę zrób mi ładnie;
Zamiast uszka, ptasi dzióbek,
Moją matkę zrób mi na dnie.
A po brzegach naokoło,

Liść przeróżny niech się świeci;
A po bokach małe sioło,
A na spodku małe dzieci!

— Ja ci zrobię śliczny kubek,
I uleję wszystko ładnie:
Zamiast uszka — ptasi dzióbek,
Twoją matkę zrobię na dnie.

A po brzegach naokoło,
Liść przeróżny się zaświeci;
A po bokach małe sioło,
A na spodku małe dzieci.

Ale czyjeż ręce, czyje,
Będą godne tej roboty?
Ale któż się nim napije?
Komu damy kubek złoty?
Kto się w dłonie wziąć ośmieli?
W złotem denku przejrzeć lice?
Sam Pan Jezus i Anieli,
I Marya i Dziewice.

— Złotniczeńku! patrz weselój...
Czemu twoje w łzach śrenice?
Sam Pan Jezus i Anieli,
I Marya i Dziewice!

ROZMOWA ZE SŁOWIKIEM.

— Powiedz słowiku, powiedz mój mały,
Błagam na wszystko w świecie!

O czym ty śpiewasz przez wieczór cały,
W naszym ogródku, w lecie?

Czy opowiadasz swoje przygody,
W miłym, rozgłośnym śpiewie;
Jakieś przeleciał wonne ogrody,
Na jakim spoczął drzewie?

Czy jak się kryjesz w liście zielone,
Gdy skwarne słońce pali?
Jak rankiem strząsasz piórka zroszone,
W cichej powietrza fali?

Czy o gwiazdeczce maleńkiej, drżącej,
Na lazurowem niebie?
Czy o tej wodzie zwolna ciekącej?
Powiedz mi, proszę ciebie!

— Ot! ja ci powiem śliczna pastuszko:
Śpiewam piosenkę twoją,
Kiedy ci za czemś tęskni serduszko,
I oczy we łzach stoją.

Kiedy zanika twój uśmiech słodki,
I patrzysz smętna, blada;
A z rąk ci lecą bratki, stokrotki,
Kwiatek po kwiatku spada.



NA PRZESILENIE WIOSENNE.

Po niebie gna tumany chmur,
Szalony wicher marcowy,
Rozdziera strój na szczytach gór,
Twój zimo strój lodowy.
W tych kłębach chmur co błyskawicą
Czerwone, gromem biją:
Zawitaj nam Dziewico,
Zawitaj nam Maryo!

Strwożonym mów, że w gromie burz
Twe państwo już się rodzi;
Że w grozie tej, jest pączek róż!
Lecz Matko, świec tej łodzi —
Co z mórz się szalem grzmiącym łamie;
O! gwiazdo mórz Ty święta!
Wierzącym daj Twe ramię,
Niech płynie łódź nietknięta!

W dolinach kwiat zbudzonych drzew,
Na wpół wygląda z paków!

I po nad niw zielony siew
Wzlatuje rój skowronków;
O! Maryo! Ty miłości zdroju,
Rolnika spełń nadzieje,
Niech Twoje nań w pokoju,
Błogosławieństwo wieje.

I ptaszkom daj na gniazdko cień,
W rozkwittem państwie lasu;
I ludziom daj miłości dzień,
I rozkosz daj wywczasu;
Gdy przyjdzie maj, krynico łaski!
Cór ziemi przyjmij wieńce;
Ty w cnót je ubierz blaski,
Ty daj im oblubieńce!

Dla wielu, wiesz — że wicher ten,
Jest innej wiosny zwiastun:
Że kości ich, na wieczny sen —
Grób, zimny weźmie piastun;
Pocieszycielko konających,
Maryo! Matko święta:
Z dusz w Ciebie ufających,
Zdejm ciała ziemskie pęta.

I ucho daj modlitwom łez,
Na mogił smutnem polu;
W Twą pieczę weź: mirt, lilię, bez,
Posadzon ręką bolu.
Siej Maryo, Matko Ty boleści!
Na groby zapomniane,
Lub skryte gdzieś bez wieści:
Podarki Twe wiosniane!

LIRNIK.

Wśród drogi,
Śmiertelne dwa wrogi
W drzemiącym się boru spotkali:
Skoczyli
Z rumaków, zrzucili
I pancerz i szyszak ze stali;
Natarli na siebie jak wściekłe dwa lwy —
I sieką mieczami aż sypią się skry.

I była
Zaciekłość i siła,
I zęczność jednaka ich w boju;
Zbroczona
Krwia, pierś ich zdyszona,
I czoła krwi pełne i znoju;
I pół dnia szcęk mieczów rozlega się w borze,
A jeden drugiego przełamać nie może.

I drogą,
Odziany ubogo,
Szedł lirnik i w struny uderzy;
I dziką
Zawtórzy muzyką,
Strasznemu bojowi rycerzy;
Z pod ręki mu tonów wytryska kaskada,
A w takt jej burzliwy, za ciosem cios spada.

Jak w burzy,
Gdy słońce wynurzy,
Z chmur kłębow twarz jasną, wspaniałą;
Z niw, z łąki,

Wzlatują skowronki,
Hymn niebios rozlega się chwałą:
Mistrz-lirnik tak burzę akordów uśmierzył,
I z liry wspaniałą hymn męski uderzył.

I toczy
Z powagą, uroczej
Cudownej harmonii strumienie:
I wpływa
Do duszy, porywa
Za sobą i myśli i tchnienie:
Dwaj wrogi nie czują jak sama ich ręka,
Poważnie w takt hymnu i bije i szczęka.

Wtem — jękiem,
Strasliwym rozdźwiękiem
Czarodziej hymn święty zamąca;
Do głębi
Rozdziera, i ziębi
I na dno przepaści aż strąca;
To zda się z piekielnych otchłani wykrzyka,
Rozpaczą, boleścią, zgryzotą grzesznika.

I chwiały
Się miecze, w struchlałej
Szermierzy zaciekłych prawicy;
A dźwięki,
Z pod starca znów ręki
Tryskają jak z żywej krynicy...
I płyną i szumią, — że zda się, anieli
Cudowny miłości chór z nieba zapieli.

Czar dumy,
Owładnął drzew szumy,

Zawórzył tak las harmonijnie;
Wód zdroje
I wdzięczne pszczoł roje,
I wiatr co nad lasem tam płynie,
I cały świat życia, w krynicy zaklętej,
Do pieśni lirnika przelewa się świętej.

Jak lody,
W słonecznej pogody
Topnieją gorącym promieniu;
Tak kona,
Topnieje, szalona
Zaciekłość i zemsta w tem pienu:
I wrogie dwa miecze, iskrami przed chwilą
Sypiące, bezwładne ku ziemi się chylą.

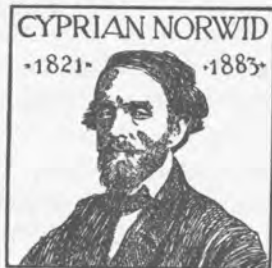
Przez lica,
Łez długa krynica
Śmiertelnym się wrogom stoczyła;
Spojrzeli
Na starca, zdumieli:
Tak pieśni owładła ich siła,
Że miecze skruszyli — i wzajem na piersi
Upadli w uścisku jak druchy najszczeri.

— »Gęślarzu!
Ty cudów mocarzu,
Przez jakich zesłanyś ty bogów,
Weź konie,
I złoto i bronie,
Żeś w braci przemienił nas wrogów!
O! starcze, lirniku, za pieśń twą to mało,
Co tylko zapragniesz: dziedzinę bierz całą!«—

— »Słuchajcie,
Zapłatę schowajcie,
Mnie dosyć uścisku jest ręki;
Pan słońca
I światów bez końca,
Darował mi z nieba te dźwięki.
Zapłaty nie biorę — bo stokroć przeklęty,
Kto Bogiem frymarczy, sprzedając dar święty!

Ot, z ziemi
Rękami waszemi
Miecz jeden podniosę skruszony;
Anioła
Gdy głos mię powoła,
Przed boskie bym stawił się trony:
Pan spyta — jak darów użyłem śpiewaka?
Miecz złaman pokażę i szatę żebraka!«





PIÓRO.

I wlano w Ciebie duszę, nie anielską, czarną,
Choć białym włosom strzepisz wybujając szyję;
I wzdrygasz się w prawicy wypalanej, skwarną
Posuchą, — a za tobą długie żalów chryje,
Albo okrągłe zera jak okrągłe grosze,
Wtaczają się w rubryki zaplecione giętko,
Jak zrachowane jaja, kiedy idą w kosze,
Ostrożnie i pomału. — Czasem znowu prędko
Nierozzerwany promień z ciebie głossek tryska;
I znakiem zapytania, jak skrzywioną wędką,
Łowisz myśl, co opodał ledwo skrzela błyska.

O pióro! tyś mi żaglem anielskiego skrzydła
I czarodziejską zdrojów Mojżeszowych laską;
Tylko się w tęczowane barwiąc malowidła,
Nie bądź papugą uczuć, ani marzeń kraską.
Sokolem prawem wichry pozagarniaj w siebie,
Nie płowiej skwarem słońca i nie ciemniej słońcą;
Dziki i samodzielne, sterujące w niebie,
Do żadnej czapki kłamrą nie przykuj się złotą.

Albowiem masz być piórem nie przesiąkniętą wodą,
Przez wichrów i nawałnic bezustanne wpływy;
Lecz piórem, którem ospę z krwią mieszają młodą,
Albo za wartkie strzałom przytwierdzają grzywy.

IRONIA.

Żeby to można arcydzieło
Dłutem wyprowadzić z grubych brył,
I żeby dluto nie zgrzytnęło,
Ni młot je ustawnie bił a bił!...

Żeby to tchem samym harmonii
Można było kręcić wozów oś,
I bez skrzywnięcia wstecz ironii
Żeby to się dało zrobić coś...

Oh! jakże spałby sobie człowiek,
Wyższy nad skargi ustawiczne...
Lecz cóż? — gdy jeszcze i u powiek
Rozsiądą się sny ironiczne...

Uczucie zwiedza bez ironii
Szlaki bite cudzem cierpieniem;
Lecz kto był pierwiej tam, wie o niej,
Że jest koniecznym bytu cieniem.

Ty myślisz może, że wiek złoty,
Bez walk, sam przyjdzie do ludzkości?
A gdzie powiodą pieszo te cnoty,
Od których cofa strach śmieszności!

SIEROCTWO.

Mówią, że postęp bogaci nas co wiek,
Bardzo mi to jest miło i przyjemnie;
Niestety! co dnia mniej cieszę się ze mnie,
Śmiertelny człowiek.

Cywilizacje dwie widzę ustawnie:
Jedna chce wszystko odkrywać na seryo,
Druga chce wszystko pokrywać zabawnie
Świątną liberyą.

Odkrywająca? — wciąż dąży do słońca:
»Czekajcie — mówi pokoleniom, — bowiem,
Gdy szereg odkryć swych spełnię do końca,
Coś i wam powiem!«

Zakrywająca? — cieszy znów inaczej.
Zdrój też jej pokaż? ona odpowiada:
»Nie trzeba zważać na to, cóż to znaczy?
Deszcz może pada!«

Dwie takie błogie mając opiekunki,
Ludzkość w sieroctwie znikłaby głębokiem,
Gdyby glob nie był ramieniem piastunki,
Słońce — jej okiem!...

NERWY.

Byłem wczora w miejscu, gdzie mrą z głodu,
Trumienne ich oglądałem wnętrze;

Noga powinęła mi się u schodu
Na nieobrachowanym pięttrze.

Musiał to być cud... cud to był,
Że chwyciłem się belki spróchniałej...
(A gwóźdź w niej tkwił
Jak w ramionach krzyża). Uszedłem cały!

Lecz miałem pół serca, nie więcej,
Wesołości zaledwie ślad!
Pominałem tłum, jak targ bydłęcy,
Obmierzył mi świat...

Muszę dziś pójść do pani baronowej,
Która przyjmuje bardzo pięknie,
Siedząc na kanapce atlasowej...
Cóż powiem jej?...

— — — usiądę z kapeluszem
W ręku... a potem go postawię...
I wrócę milczącym faryzeuszem,
Po zabawie...



KU OJCOM.

Przebaczcie ojce, mężowie zbrojni,
Wścieście już w grobach spali spokojni,
Minione boje wam się i nie śnią,
A ja was moją rozbudzam pieśnią.

Sercem kopałem groby aż do dna!
Aby was zbudzić mogła dłoń godna,
I nim podniosłem mogilne sochy,
Łzami ja wasze zlewałem prochy.

Budzę was! bo mi tęskno za wami!
Chciałbym pogonić w cwał z husarzami,
Na karkach wrogów strzaskać bułaty,
I pełną piersią spełniać wiwaty:

Cześć tym, co pierwsi na wroga biegli!
Cześć tym, co w boju mężnie polegli!
Cześć towarzyszom w pancernej rocie,
Bojowym orłom w stali i złocie!

Budzę was ojce! powstańcie razem,
Zbrojni sercami, zbrojni żelazem,
Z dumą na czole, kopiaj w toku,
Na dzielnych koniach i z gromem w oku!

A polecimy jak świat szeroki,
Przed nami pomkną orły, obłoki,
Zagrają wichrem stępy i morza,
I zejdzcie w chwale poranna zorza.

A gdy nad pola wzbije się słońce,
Zdziwi się, co to za nowi gońce,
Na jakie kraje skrzydlaci lecą,
I komu w oczy gromem zaświecą?

Lecz nie przekroczym naszej granicy!
My tylko jako wierni strażnicy,
W koło po własnej przelecim ziemi,
Czy się gdzie zdrada u nas nie plemi.

Bo czarnych duchów pełno na świecie...
Więc w pańskie dwory, pomiędzy kmiecie,
Pójdziemy z pieśnią i dźwiękiem stali,
Lackiej krainy stróżowie biali.

Spytamy panów, czy pamiętają?...
Chłopców, czy hojny dobytek mają?
A gdy nawidzimy serca i domy,
Znowu nam w drogę zanucą gromy.

Wy polecicie na nasze słońca,
W krainę bożą bez dna, bez końca...
A ja z mą lutnią zostaniem sami,
Po nad grobami, tęskni za wami.

Aż mi znów skrzydła porosną w pierze,
I dusza hartu stali nabierze,
Wtedy uleczę, Ojce, za wami,
I znów was tutaj zaklnę pieśniami!



PRZESTROGA.

Kobieto! odwróć wzrok twój od mojej żrenicy,
Przestań szukać w mem oku serca tajemnicy,
Bo wierząc, że niebacznie w serce moje wglądasz,
A żądając spojrzenia — nie wiesz czego żądasz!
Nie żądaj — ale dozwól, niech w niemej rozpaczy
Kolano uczci ciebie, a mnie wytłomaczy.

Niebaczna! ty się śmiejesz że przed tobą klękam,
I głowę moją skłaniam a spojrzeć się lękam.
O! nie śmieć się! i raczej proś stróża anioła,
Abym nigdy nie podniósł schylonego czoła;
I nigdy z pod ciemnego mych myśli obłoku,
Oka mojego w twojem nie utopił oku;
W tem oku tak przejrzysem jak zwierciadło wodne,
Przez które niebo widać jasne i pogodne!

Gdybym ja z szczytu cierpień mych spojrział na ciebie,
A z chmury, która czarno zesła na mem niebie,
Kilka tylko kropelek na twą duszę spadło —

Jużby się zamąciło to czyste zwierciadło:
I od tych kilku kropel zgorzkłoby ci życie,
I możebyś mi później złorzeczyła skrycie!

JAWNOGRZESZNICA.

Pięknaś jak anioł! zdumiony świat woła,
Piękniejszaś — wołam — nawet od anioła!
Nie anioł wdzięków — lecz sam Bóg miłości,
W tobie o! piękna, między nami gości.

Oko twe: — miłość w twem oku się żarzy;
Miłość na czole zadumaniem marzy;
Miłość ust twoich bawi się uśmiechem;
Miłość muzyką gra w twojej rozmowie;
Miłość w milczeniu, miłość w każdym słowie:
A ty powiadasz — że miłość jest grzechem?

Jeśli to prawda: o! jawnogrzesznico!
Płacz z Magdaleną — i w świętej pokorze
Dni twoje czarną okryj włosienicą!
Nocami twarde zalegaj rogoże;
W szczerzej pokucie i głębokiej skrusze
Ratuj, — o! ratuj grzeszną twoją duszę!

Ach! bo ty grzeszysz każdym twojem tchnieniem!
I każdym słowem i każdym spojrzeniem;
Grzeszysz urokiem ócz twych tajemniczym,
I włosiem kruczym i śnieżnym obliczem;
Grzeszysz łzą smutku, grzeszysz ust uśmiechem:
Jeśli to prawda — że miłość jest grzechem.

Jeśli to prawda: o! piękna grzesznico!
Przestań być piękną... lub się zreknij świata;
Bogu się poświęć — zostań zakonnica!
Siostró w Chrystusie! znajdziesz we mnie brata;
A niegodnego rozwiązać rzemyka
U stóp twych, — weź mię, weź za spowiednika!





W ZBROJOWNI.

W żelazie chodzili od stopy do głowy,
Ich konie, w żelaznem okryciu —
Na boje ich niosły, turnieje lub łowy,
A strój ich, był równy ich życiu.

Bo życie to było i twarde i krwawe,
A głośnie — jak bitew fanfary;
Do świętej szli ziemi po śmierć lub po sławę,
Pod krzyża białemi sztandary.

Na twierdze pogańskie po trupach się darli,
Zatknęli swój znak na wieżycy;
A kiedy spoczęli — to dłonie oparli,
Na krwawych swych szabel główicy.

A jeśli wracali w obronne swe dworce,
To z blizną na piersiach, na twarzy;
Ze złotym księżycem pogańskie proporce,
U pańskich składali ołtarzy.

A jeśli klęczeli — to tylko w kościołach;
A jeśli się bali — to czarów;
Po wojnie, przy wielkich, dębowych swych stołach,
Ze złotych pili puharów.

* * *

Dziś mądre ich wnuki, co z czarów się śmieją,
Bojowym się znojem nie trudzą;
I jeżdżą wygodnie żelazną koleją,
W kraj cudzy — gdy swoim się znudzą.

I z nudów, gdy chwilę poświęcą muzeom,
To rzadkim tam dziwią się rzeczom:
Ogromnym puharom, pancerzom, trofeom,
I ciężkim pradziadów swych mieczom!





CHRYSTUS I PIOTR.
LEGENDA ŁUŻYCKO-SERBSKA.

Kiedy Pan Jezus żył jeszcze na ziemi,
Chadzał po świecie z apostoły swemi,
Z miasta do miasta i z wioski do wioski;
Szukając prostych serc a kochających,
W serca zranione lejąc nektar boski,
Łzy ocierając z oblicza cierpiących.

Raz z Piotrem społy, w *Budyszyna* strony,
Do serbskich Łużyc zaszedł także cudnych,
Zobaczyć — jadem szalbierzy obłudnych
Trwa li pocziwy lud ten nieskażony.
I zdarzyło się, jednego wieczora,
Zaszli do małej wioszczyzny Zahora.

Cicho i pusto było na ulicy.
Do chat od pracy wrócili rolnicy,
I długie ławy zasiadłszy przy stołach,
Odpoczywali po dziennych mozołach.

Przez jednej chaty okno uchylone,
Migało światło kaganka czerwone,
I nieuczonym zborem brzmiały dźwięki,
Z żywym natchnieniem nuconej piosenki.

Chrystus się wstrzymał, podchodzi — i ucha
K'oknu skłoniwszy, prostej pieśni słucha.
Ale Piotr, chatę pominawszy z wzdargą,
Pełen powagi dalej kroczył hardo.
Aż kęs uszedłszy, gdy przy swoim boku
Nie baczy Mistrza — zatrzyma się w kroku;
A obejrawszy, widzi ze zgorzeniem,
Jako światowem ten zajęty pieniem.
Więc doń powraca, rady czy nie rady,
Boć w Mistrza słuszna iść uczniowi ślady.
I długo obaj przy chacie tak stali
Pieśni słuchając. — Wreszcie poszli dalej.

Idą i idą... A wtem, po nad drogą
Stoi gmach pyszny. Okien szyby rżnięte,
Jarzących światel jaśniejają pożogą;
Dobrane głosy pieją psalmy święte.
Na to przystanie Piotr, słuchać ochoczy —
Lecz Chrystus dalej nie zważając kroczy.
Pełen zdziwienia, rady czy nie rady,
Piotr zatem musiał zdążyć w Mistrza ślady.
Idą. — Po drodze Piotr zachodzi w głowę,
Jakby tej rzeczy wyłożyć osnowę.
Wreszcie, niezdolen pojąć Zbawiciela
Czynu, — z pokorą pytać się ośmiela.

Chrystus, gdy mowę wysłucha Piotrową,
Rzecz z uśmiechem: — O! głowo ty, głowo!
Tam w onej chacie z szczerego natchnienia,

Lud nucił swoje narodowe pienia;
Tu obłudnicy, psalmy pieją usta,
Lecz bez natchnienia brzmi głos z piersi pustej.

PRZYPOWIEŚĆ WSCHODNIA.

Do Mahometa jako przystoi,
Ze ccią przystąpił młodzian nieśmiały:
— »Pomarli — rzecz — rodzice moi.
Chciej mię pouczyć, czy nie ustały
Me obowiązki względem nich wszelkie?»

— »O nie! zostały cztery i wielkie:
Do Boga modły wznosić za niemi;
Długi ich wiernie spłacić na ziemi;
We czci zachować co szanowali;
Strzedz od ruiny co zbudowali!«



JAN
CHĘCIŃSKI
1824 *1874*

KOLEK BRONOWY.

Z pod Saragossy wojak stęskniony,
Wraca powitać ojczyste strony;
Dał się jak tygrys, rąbał jak mistrze,
Toż za to dźwiga pustki w tornistrze,
Na grzbiecie mundur skiereszowany,
Na piersi krzyżyk, pod nim dwie rany,
Na czole szramę i kulkę w biodrze:
Ot, los wojaka obdarzył szczodrze!

Wraca radośnie lecz coś niesporo...
I choć sękatą zbrojny podpora,
Z czasu do czasu syknięciem wyzna,
Że ta lub owa dolega blizna,
Że kiedy w biodrze hiszpańska kula,
Trudno udawać biegaczów króla.

Syknie i wolniej omija łąny,
Chyba gdzie zoczy kościółek znany,
Starą dzwonnice, pochyłą wieżę,

Albo znajome sióło dostrzeże,
Wstrzyma się chwilę, bije mu serce,
Już zapomina i o żołnierce,
I że dolega noga przebita...
Tylko ze łzami te pola wita,
Co swem powietrzem, co wonią swoją,
Ciała i ducha boleści goją.

Stanie, poduma, Boga pochwali
I pokrzepiony wędruje dalej.

Słońce zachodzi, noc niedaleko,
Rodzinna strzecha za siódmą rzeką,
Jeszcze do domu niemało drogi,
A już do reszty ustają nogi;
Trzeba posiłku, spoczynku trzeba,
W tornistrze niema kawałka chleba,
Ale w pobliżu bieleje wioska:
Po nad chatami Opatrzność Boska,
W chacie mieszkają dobrzy ludziska,
Toć nie odmówią mu przytuliska!
A choć i takich spotkać się zdarzy,
Co odprawiają z niczem nędzarzy,
Przemyślny wiarus spokojny o to:
Trafić do serca jego robotą,
Przyjaznym słówkiem, żartem na dobre,
Niewinną psotą zjedna je sobie,
I choć na wstępie zagrożon klęską,
Zawsze w ostatku wyjdzie zwycięsko.
Umiał się przedrzeć przez Pireneje,
Toż mu nie łatwo tracić nadzieję.

Więc trochę prędzej naprzód się zbliża,
Aż na rozdrożu, około krzyża,

Odkrywszy głowę jak wszyscy wierni,
Spostrzegł na ziemi, że się coś czerni.

Zwykle co w myśli, to przed oczyma,
Chleb u głodnego pierwszeństwo trzyma,
Toż wojak, sądząc, że łaska nieba
Zsyła mu w porę krajanek chleba,
Schylił się żwawo... lecz zawiedziony,
Pochwylił w rękę — kołek od brony.

Posmutniał biedny... Ha! myśli sobie,
Toćże i z tego użytek zrobię,
Chleb byłby lepszy, już to rzecz pewna,
Ależ go upiec trudno bez drewna;
I to się przyda, pod chleb podpali,
Więc do tornistra — i ruszył dalej.

Doszedł do wioski, do pierwszej chaty,
Prosi o nocleg wiarus wąsaty,
Ale na wstępie, coś gospodyni,
Niezbyst pocieszną nadzieję czyni,
Coś jej nie wzrusza stary kaleka,
Na ciężkie czasy przed nim narzeka,
Bolesnym skargom rozpuszcza wodze:
Jak mąż daremnie pracuje srodze,
Jak się i ona krwawo mozoli,
Jednak nie zdoła przemódz niedoli;
Aż zakończyła w sposób najgładszy:
»Panie żołnierzu, niech Bóg opatrzył!«

Ale się żołnierz ułudzić nie da,
Pozna gdzie dobrze, pozna gdzie bieda.
Spojrzał po izbie i jakoś wcale
Nie mógł uwierzyć w udane żale;

A suty ogień co grzał z kominka,
A przy tym ogniu garnek i rynka,
A z rynki zapach głodnemu miły,
Kłamstwo gosposi całkiem zdradziły.

— »Ha! rzeczce zatem: kiedy w komorze
Strudzony kąta znaleźć nie może,
Toż go obdarzcie wytchnienia chwilką,
Dajcie u ognia ogrzać się tylko,
Więcej nie żądam, bo na złe czasy,
Noszę w tornistrze własne zapasy.
Siedzi w nim sztuczka! W skorym zapędzie
Przyporządziwszy, rosół z niej będzie!
I raz powziąwszy koncept do głowy,
Wyjął z tornistra — kołek bronowy.

— »O święty Jezu! to z każdej strony
Wygląda jakby kołek od brony,
I z tego rosół?«

— »Czekajcie matko!
Jak się opłucze, oskrobie gładko,
Trochę posoli, trochę opieprzy,
To i w Hiszpanii nie był lepszy!«

Więc gospodynię ciekawość zdjęta,
A zmyślny wiarus, dalej do dzieła!
Aż mu z pospiechu ręce się trzęsą:
Płucze, żyłuje niby to mięso,
Nalewa wodą, do ognia stawia,
I jeszcze bardziej ją zaciekawia.

Po chwili w garnku burzy się, pieni...
Żołnierz tymczasem szuka w kieszeni,
Szuka w tornistrze, aż mimowoli,

Gosposia pyta: — »Czego brak?«

— »Soli!«

— »No, bieda ciężka, słowo nie płocze,
Ależ znów soli znajdzie się trochę.
I miarka soli wleciała w wrzątek;
Żołnierz pomyślał: nie zły początek!
Więc po przestanku, przebiegła sztuka,
Znowu w tornistrze szuka i szuka.
— »Czegóż wam braknie?«

— »Aż, nic! widzicie,

Różnie się rosół jada w Madrycie:
Raz z kartoflami jedzą z ochotą,
Niekiedy z grochem, lub kluski gniotą,
Ale że kluski zajęciem straszą,
Więc w Saragossie najlepszy z kaszą.«

— »A to jak u nas... jeno nam bieda
Nawet od święta rosółu nie da!
Nie pomnę smaku, pustki w komorze,
No, aleć kaszy znajdzie się może.«

I zabawiwszy wcale nie długo,
Wsypała garstkę jedną i drugą,
Aż żołnierzysko pokręcił wężą,
I znów warząchwą kołek potrząsa;
Miesza przyprawę w tę i w tę stronę,
Wreszcie rzekł: — »Szkoda, że nie kraszono!
Na Pirenejach sposób jedyny,
Dodawać smalcu albo słoniny,
Lecz w Pampelonie ta moda zgasła:
Jak nie ma szperki, dodają masła.«

— »Oj! bieda, bieda! ciężkie to czasy!
U nas się rosół je bez okrasy,

Ale że krówkę mamy w oborze,
Toć krzynę masła wynajdę może.
I wynalazła!... Aż żołnierzysko
Zasalutował przed pełną miską!
Okraślił owoc ciężkich obrotów
I rzekł: — »Bóg zapłać, rosół już gotów!«

Gospośia patrzy... — »O! Matko nasza!
Dyć że ten rosół rychtyg jak kasza,
Jeno że trochę pachnie żywica!...«

— »Żołnierze chętnie takim się sycą!
Tylko widzicie, że w stronach owych
Czasem nam brakło kołków bronowych!«



PIEŚŃ DZIEWICY.

Pierś rycerza drą pociski;
Rolnikowi uschnie kłos;
Matka płacze u kołyski:
Najszczęśliwszy dziewic los.

Gdy ma igła jedwab plecie,
Chwil przyśpiesza srebrny strzał;
Dzięki Panie, żeś kobiecie
Świątą miłość pracy dał.

Harfa moja wiarą dźwięczy;
Pióro szuka wiedzy bram.
Sztuki piękne! w waszej tęczy
Niech przymierze z niebem mam.

Wśród przyrody jam królową,
Tron mój się nie lęka burz.
Gdy koronę mam liliową,
Mało dbam o berło z róż.

Być pieszczotą w rodzin gronie;
Rajskiej strzechy kochać próg;
Mieć żar w sercu, piosnkę w łonie:
To mi tylko kazał Bóg.

MODLITWA.

W szczęściu — jestem szczęściem samem,
W cnocie — wytrwania potęgą,
W cierpieniu — pociech balsamem,
W grzechu — poprawy przysięgą.

Bóg się w swem istnieniu błogiem
Nie modli, — bo w żadnym niebie
Nie zna wyższego nad siebie:
I dlatego też jest Bogiem!

Anioł, z pochylonem czołem,
Wiecznie zachwycon w pokorze:
Bez modlitwy żyć nie może —
I dlatego jest Aniołem!

Człowiek, z każdym stanem, wiekiem,
W cierpień, lub radości kole,
Modli się gdy chce, ma wolę,
I dlatego jest człowiekiem.

Szatan wszystko wie, rozumie,
Ale cóż mu jest nieznanem?
Modlitwę odrzuca w dumie,
I dlatego jest szatanem.



CZEMU MI SMUTNO?

Czemu mi smutno? Czy że wiatr jesieni
Lasy i pola odarł już z zieleni,
I tam, wysoko, po niebie, nademną
Dachem ołowiu rozbił chmurę ciemną,
I w uszach skargą jękliwą przewiewa,
I pędzi tuman liści spadłych z drzewa,
Jakby liść każdy był duszą człowieka,
Co wirem szaleń i losu porwana,
Po szlakach drogi nieznannej, nieznaną
Leci, aż padnie smutna i daleka,
Gdy wiatr ucichnie, lub jej zbraknie siły,
Nad brzegiem jakiejś tam obcej mogiły?...

Czemu mi smutno? Czy że tu wokoło
Żadne przyjaźnią nie promieni czoło?
Żadna dłoń bratnia z podróży nie wita,
Żaden głos chętny: co słyhać? nie pyta...
I że tak wszyscy w różne chodzą strony,
Każdy ku swojej gwiazdzie obrócony,

Każdy niedbały, co na drodze jego:
Przepaść, czy kamień, czy serce bliźniego;
Czołga się podle, lub zuchwale leci,
Byle tam stanął gdzie ta gwiazda świeci —
Co w oczach jego tak piękna, bo złota,
A w oczach bożych: garść łez, krwi i błota.

Czemu mi smutno? Czy to, że widziało,
Mądrości świata, na duszę mi padło,
I tak głęboko zapuściło szpony,
Że już nie pomnę, że już mi się nie śni —
Ani o cichej modlitwie, zmówionej
Na łonie świętej, dobrej mojej matki,
Ani o szczęściu naszej biednej chatki,
Ani o starej ojców naszych pieśni,
Pieśni pamiątek — bardzo, bardzo starój,
Pono na nutę nadziei i wiary.

Czemu mi smutno? Czy że moi wszyscy
Duszą jednacy, serca sercem blizcy,
Już sobie dawno pod ziemią spoczęli,
Już sobie dawno po trudach wytchnęli;
A ja samotna jak ptaszyna biedna,
Co z swego rodu zostanie się jedna,
Gdy inne, w kraje szczęśliwsze ulecą —
Sama zostałam — i gdy gwiazdy świecą
To ja tam patrzę, czy która nie gaśnie,
Błada gwiazdeczka, lecz z którejby właśnie
Duchy, mojego życia promień zwiędły
Jak mi to niańka mówiła — uprzedły.
Oh! bo mi głucho i pusto na ziemi,
Oh, bo mi tęskno, tęskno za mojami,
Co się w dębowej trumnie położyli,
Co poszli sobie jakąś ciemną drogą,

Lecz poszli razem, a mnie zostawili
Tak samą, że już nie mam kochać kogo!...

Więc smutna jestem — smutna, bo wiatr wieje,
Bo między złymi ludźmi sama chodzę,
Bo mi nauka zabiła nadzieję,
Bo mi dokoła śmierć pobrała srodze
Wszystkich kochanych. — Oh! tak nie jest przecie!

Mężniejsza nad te ciosy dusza młoda:
Wiem, że nie zawsze na niebie pogoda;
Wiem, że nie zawsze cnota jest na świecie;
Zdawnam przywykła, w jesienne zawieje
Czekać, aż kiedyś słońce zajaśnieje;
A złością ludzką — dobrego nie mierzyć,
Boć cnota ludzki wyraz, więc w nią wierzyć,
Wierzyć bezwzględnie, bez warunków, szczerze,
Jak w przyszłość, w mądrość, w litość Bożą wierzę.

Oh! nie, mnie nigdy ksiąg uczonych karty
Świętego słowa w sercu nie zaćmiły.
A Bóg, to wyraz niczem niezatarty,
Co jak go wieki w naturze skreśliły,
Tak znowu wieki z wieków się wypręda,
I zawsze w końcu: Bóg — Bóg, czytać będą.
Po wszystkie strony był lot myśli mojej,
Wszystkich ustami zaczerpnęłam zdroi,
I próbowałam pomysłu każdego,
A tłem wszechrzeczy, było imię Jego.
Więc też spokojna na Boga się zdałam,
I nie tak gorzko umarłych płakałam.
Ja, co mam umrzeć — oh! ja nie na groby
Tyle wylałam cierpienia, żałoby,
Ale mi smutno — bo dziś jako cnotę

W serca brać trzeba boleść i tęsknotę...
I Bóg sam duszę dał mi do nich zdolną —
A chyba w sądu godzinę okrutną,
Ja powiem Bogu, czemu byłam smutną,
Bo ludziom mówić nie wolno!

CIRCULUS VITIOSUS.
KRAKOWIAK NA DWA GŁOSY.

ON.

Wezmę świecę i latarnię i głównię z komina,
Pójdę szukać, czy jest w świetle pocziwa dziewczyna.

ONA.

Wezmę księżyc, wezmę gwiazdy, wezmę jasne słońce,
Może znajdę w którym chłopcu serce kochające.

ON.

Toć szukałem i patrzyłem i wiem teraz o tem,
Że nie znajdzie najpocziwszej kto nie brzęknie złotem.

ONA.

Toć patrzyłam i świeciłam i dojrzałam tego,
Że z nich każdy bardzo kocha, lecz siebie samego.

ON.

Już znalazłem najpocziwszą, znalazłem kochaną,
Piękną, cichą, ale w sklepie — lalkę malowaną.

ONA.

Już znalazłam choć jednego, już znalazłam przecie:
Piękny, dzielny, wojak młody — na starym portrecie.

ON.

Niechaj lalka malowana tkliwsze zwróci oczy,
To może wojak z portretu na konika skoczy.

ONA.

Niechaj wojak malowany dosiędzie bachmata,
Może w lalce malowanej serce zakołata!





STRĄCONA.

Gwiazdo! gwiazdo spadająca
Przez lazury:
Jaka siła tak cię strąca
Na dół z góry?
Czy ty pójdziesz jak komety
Światłość drżąca,
W niewstrzymany bieg bez mety,
Lot bez końca?
Czy zapadniesz w cieniów morze
Ty — promienna!
I zapomnisz, spocznieś może
Cicha, senna.
I gdzie ujdą twoje blaski,
Z nocy cienia?
Czy nie było dla cię łaski
Przebaczenia?
Gdy zawołał głos Anioła:
»Niema ciebie!«
Jaki tobie strzelił z czoła
Błysk po niebie?

Coś ty czuła, nieśmiertelna —
A skazana:
Czyś ty gasła jak weselna,
Lampa z rana?
I kiedy cię moc tajemna
W otchłań parła:
Czyś już była bryła ciemna
I zamarła?
Czyś ty drżała tą straszliwą
Trwogą w sobie?
Jak ten, kogo z piersią żywą
Kładą w grobie?
Powiedz! powiedz o! strącona,
Gwiazdo błada!
Jak to światłość — która kona,
W noc zapada?
Czy tak ćmi się, jak kobieta
Co ślub łamie;
Czy się trawi jak poeta
Gdy pieśń kłamie;
Aż stli w męce niepojętej
Sił ostatki;
Jak odstępca, co się świętej
Zaparł matki?...

WIOSNA.

Wiosna! wiosna!
Wieść radosna
Z ciepłem tchnieniem wiatrów płynie;
I sasanki,
Już na wianki
Rozwinęły się dziewczynie.

Wstaj skowronku!
W złotym słońku
Wykap piórka twoje szare;
I skrzydlaty,
Nad te chaty,
Nad te ziemie wyleć stare!

Wyleć z pieśnią!
Ludzie prześnią,
Świtu chwilę uroczystą;
Więc do Pana,
Choć ty z rana,
Głos za niwą wznies ojczytą.

Dobra niwa,
Jak pocziwa
Pierś rolnika co ją orze:
Tylko trzeba,
By im z nieba
Przyświecało światło Boże.

Niem ogrzane,
Ziarnko wsiane,
Zdrowym kielkiem w górę strzeli;
I wnet potem,
Żniwem złotem,
Starą ziemię uweseli.

Leć więc ptaszę!
Prośby nasze
Niech piosenka wzniesie drżąca:
Słońca Boże!
Na niw zboże
I dla myśli ludu — słońca!



PRZED SĄDEM.

Drobny, wychudły, z oczyma jasnymi,
W których łyzy wielkie i srebrne wzbierały
I gasły w rzęsach spuszczonej ku ziemi;
Blady — jak nędza, a tak jeszcze mały,
Że mógł rozplakać się i wołać: »matko!«
Gdyby miał matkę... i mógł stroić psoty,
I pocałunków żądać — i pieśczoły,
I spać na piersiach ojca... a tak drżący,
Jak ptak wyjęty z gniazda i już mrący...
Wiejski sierota stał w sądzie przed kratką.

A dziwna była ta sala sądowa:
Wielka — i pusta — i zimna — i chłodna —
I bezlitośna — i łez ludzkich głodna —
I nigdy w ustach nie mająca słowa
Miłości bratniej, — i taka surowa,
Tak spiskująca ławkami w półkole,
Na ludzką nędzę i ludzką niedolę:
Że Chrystus biały, co stał tam w pobliżu,
Zdawał się cierpieć i drzeć na swym krzyżu.

Przy winowajcy nie było nikogo.
I któżby bronił dziecięcia nędzarzy?
Chyba te wielkie dwie lzy, co po twarzy
Leciły jakąś pełną iskier drogą...
Chyba dzieciństwo nędz pełne sieroty,
I chyba tylko promyczek ten złoty,
Co mu przez okno upadał na głowę,
Jakby Bóg gładził włosy jego płowe...

Wszedł sędzia, spojrzął i rzekł: »Gdzie rodzice?«
»Nieznani« — odrzekł pan pisarz z powagą.
Chłopiec wzniosł zgaste, błękitne źrenice,
I ściągnął świtkę na pierś swoją nagą,
Jak gdyby nagle, od jednego słowa,
Zdjęto go zimno i pustka grobowa.
Sędzia zadumał się, pochylił czoła
I spytał znowu: »Czy w wiosce jest szkoła?«
— »Nie«. — Pisarz zwykle chmurny był w urzędzie;
Przytem pytanie było jakieś dziwne,
Więc się zawahał, czy właściwem będzie
Odpowiedź chłopca pisać w protokóle...
Milcząc, sprostował palce swoje sztywne
I bębnił zlekka po szarej bibule...

A sędzia patrzył na drżącą dziecinę,
Na ręce nagie, wychudłe i sine,
Na pierś zapadłą i nędzne łachmany,
Na blask tych oczu zmacony i szklany,
Gdzie przecież mogły odbić się niebiosy...
Na drobną główkę, gdzie myśl ludzka śpiąca,
Nie znała świtu innego, prócz słońca,
I innych wrażeń ożywczych, prócz rosy!

I dziwnym cieniem zaszło mu oblicze...
I uczył w piersi drżenie tajemnicze,

Jakby ta sala pusta była tronem,
Na którym przyszłość, z czołem zachmurzonym
Zasiada, pełna klęsk i spustoszenia...
I jakimś grzmiącym i ogromnym słowem
Oblicza płony na polu jałowem,
Przed sąd wzywając całe pokolenia...
I widział, jak szły gęste, ciemne tłumy,
I tamowały ruch globu w błękicie,
I spostrzegł, pełen trwogi i zadumy,
Że były chmurą ogromną o świecie,
Przez którą przebić nie mogło się słońce,
I zmierzch na ziemi trwał przez lat tysiące...
Widział, że tłum ten, to siła stracona
Dla wielkich celów i dążeń ludzkości;
I czytał w groźnym spojrzeniu przyszłości,
Że chce rachunku... z miliona.
I ujrzał nagle, jak wydziedziczeni,
Za społeczeństwa swego cierpią winy...
I przerażony, posłyszał w przestrzeni,
Sąd po nad głową chłopczyny...
»Niechże was Chrystus — głos mówił — rozsądzi,
Kto więcej winien: czy ten nieświadomy,
Co drogi nie zna i w ciemnościach błądzi;
Czy wy, co grube spisujecie tomy
Karnej ustawy wpierw, nim każdej chaty,
Bronią od złego słoneczne anioły
Braterstwa, prawdy, swobody, oświaty...
Co wpierw więzienia stawiacie — niż szkoły.
Niechże was Chrystus sądzi!...«

Lecz krzyż czarny

Stał nieruchomy i zimny na stole,
Jako milczące wobec łez ołtarze...
Więc sędzia powstał i szedł, gdzie pachole
Blade, czekało na wyrok sądowy;

Przy winowajcy nie było nikogo.
I któżby bronił dziecięcia nędzarzy?
Chyba te wielkie dwie łzy, co po twarzy
Leciały jakąś pełną iskier drogą...
Chyba dzieciństwo nędz pełne sieroty,
I chyba tylko promyczek ten złoty,
Co mu przez okno upadał na głowę,
Jakby Bóg gładził włosy jego płowe...

Wszedł sędzia, spojrzął i rzekł: »Gdzie rodzice?«
»Nieznanie« — odrzekł pan pisarz z powagą.
Chłopiec wznosił zgasłe, błękitne źrenice,
I ściągnął świtkę na pierś swoją nagą,
Jak gdyby nagle, od jednego słowa,
Zdjęło go zimno i pustka grobowa.
Sędzia zadumał się, pochylił czoła
I spytał znowu: »Czy w wiosce jest szkoła?«
— »Nie«. — Pisarz zwykle chmurny był w urzędzie;
Przytem pytanie było jakieś dziwne,
Więc się zawahał, czy właściwym będzie
Odpowiedź chłopca pisać w protokóle...
Milcząc, sprostował palce swoje sztywne
I bębnił zlekka po szarej bibule...

A sędzia patrzył na drżącą dziecinę,
Na ręce nagie, wychudłe i sine,
Na pierś zapadłą i nędzne łachmany,
Na blask tych oczu zmacony i szklany,
Gdzie przecież mogły odbić się niebiosy...
Na drobną główkę, gdzie myśl ludzka śpiąca,
Nie znała świtu innego, prócz słońca,
I innych wrażeń ożywczych, prócz rosy!

I dziwnym cieniem zaszło mu oblicze...
I uczył w piersi drżenie tajemnicze,

Jakby ta sala pusta była tronem,
Na którym przyszłość, z czołem zachmurzonym
Zasiada, pełna klęsk i spustoszenia...
I jakimś grzmiącym i ogromnym słowem
Oblicza plony na polu jałowem,
Przed sąd wzywając całe pokolenia...
I widział, jak szły gęste, ciemne tłumy,
I tamowały ruch globu w błękicie,
I spostrzegł, pełen trwogi i zadumy,
Że były chmurą ogromną o świecie,
Przez którą przebić nie mogło się słońce,
I zmierzch na ziemi trwał przez lat tysiące...
Widział, że tłum ten, to siła stracona
Dla wielkich celów i dążeń ludzkości;
I czytał w groźnym spojrzeniu przyszłości,
Że chce rachunku... z miliona.
I ujrzał nagle, jak wydziedziczeni,
Za społeczeństwa swego cierpią winy...
I przerażony, posłyszał w przestrzeni,
Sąd po nad głową chłopczyny...
»Niechże was Chrystus — głos mówił — rozsądzi,
Kto więcej winien: czy ten nieświadomy,
Co drogi nie zna i w ciemnościach błądzi;
Czy wy, co grube spisujecie tomy
Karnej ustawy wpierw, nim każdej chaty,
Bronią od złego słoneczne anioły
Braterstwa, prawdy, swobody, oświaty...
Co wpierw więzienia stawiacie — niż szkoły.
Niechże was Chrystus sądzi!...«

Lecz krzyż czarny

Stał nieruchomy i zimny na stole,
Jako milczące wobec łez ołtarze...
Więc sędzia powstał i szedł, gdzie pachole
Blade, czekało na wyrok sądowy;

I dotknął ręką sierocę tej głowy
I rzekł: — »Pójdź dziecię! ja cię uczyci każę!«

DO KOBIETY.

Czy wiesz ty piękna i ty uśmiechniona,
Której usteczka rozchyła pustota,
Co znaczy: »kocham« — to najświętsze słowo,
Co pada z piersi jako strzała złota,
I jak królewskiej purpury zasłona,
Oddziela ciebie, wzruszeniem różową,
I drżącą snami szczęścia dziewiczemi,
Od wszystkich ludzi na całej tej ziemi,
Byś otworzyła jednemu ramiona?

Czy wiesz ty o tem, motylu i kwiecie,
Poranków wiosny ty śpiewna ptaszyno,
Że ta godzina, w której usta twoje
Szepcą to słowo, jest cudów godziną?
Że wtedy jasno robi się na świecie,
Że srebrem biją wszystkie żywe zdroje,
Że róże w pąkach płoną się wiosenne,
Że dziwne mary rozwiewne i senne,
Ciałem się stają pod drżącą twą dłonią?
Że w tej źrenicy, jako w pryzmie słońce,
Życie odbija blasków swych tysiące,
I załamuje promień brylantowy?...
Że noc, koronę srebrną swojej głowy
U stóp twych w chłodnych rozsypuje rosach?
Że twem wzruszeniem, drżą gwiazdy w niebiosach.

Czy wiesz ty o tem, że to słowo ciebie
Czyni kapłanką przeczystych ołtarzy?
Że to uczucie, co łuny dziewicze
Rzuca na białość liliową twej twarzy,
I dyamentową skrå w oku wybłyska,
Nie tylko szczęściem jest, lecz złotą wagą,
Co byt wszechświata utrzymuje w ruchu;
Pierwszem zarzewiem wielkiego ogniska,
Co świat ogarnia blaskami swojemi,
Pierwszem ogniwem w stworzenia łańcuchu?
Czy wiesz, że kiedy zmierzchy tajemnicze
Wydały kształty młodzieńcze tej ziemi,
Co stała jeszcze wśród chaosu nagą:
Najpierwszem słowem, jakie Bóg na niebie
Rzekł do niej, było słowo: »kocham ciebie!«

Posłuchaj: »kocham« — to nie znaczy wcale:
Chcę być pieśczoneą w twym domu królową,
Chcę iść przez życie drogą kwieciami słońca,
Chcę w pocałunków twoich tonąć szale,
Chcę, by mi słońko świeciło co rano,
Chcę, by co wieczór lampę dyamentową
Srebrzysty księżyc palił mi nad głową;
Chcę, byś dzień cały mojego szczebiotu
Słuchał, i zawsze witał mię z uśmiechem;
Chcę, byś mi pieśni śpiewał wraz z słowikiem;
Chcę żyć z twej pracy i twojego potu;
Chcę, byś był moim cieniem, moim echem,
Odpowiedzialnym za mnie niewolnikiem...«

Nie! »Kocham ciebie!« — to znaczy, chcę z tobą
Podźwignąć ciężar co się życiem zowie,
Być domu twego światłem i ozdobą
I nieść ci pokój, i ciszę, i zdrowie.

»Kocham« to znaczy: twoje ideały
I twoje cele są także mojemi;
Pracujmy razem, by rozświt dnia biały,
Prędzej rozbłysnął na ziemi!
Chcę by mą drogą była twoja droga,
Mojem pragnieniem były twe pragnienia;
Chcę, byś był głosem mojego sumienia
I wiódł mię z sobą do Boga!
Chcę, byśmy lecąc w uścisku wzajemnym
Jako dwa duchy, w dziedzinę wieczności,
Rozpromienili na świecie tym ciemnym
Gwiazdziste szlaki przyszłości.
Chcę przez twą wiedzę mój umysł rozszerzyć,
I słowo twoje chować jak przysięgę;
Chcę z tobą marzyć i tęsknić i wierzyć
W ducha niezłomną potęgę.
»Kocham« — to znaczy: chcę z tobą podzielić
Gorzki chleb trudu i łez i boleści;
Chcę oczy twoje w dniach smutku weselić,
I tarczą być twojej cześci!
Chcę na twych piersiach być jak róża biała,
W której płomyczek tajemniczy pała,
I chcę być jako pieczęć rubinowa
Na ustach twoich, bez słowa.
»Kocham«, to znaczy, chcę w cichym zakątku
Życ zapomniana — byleś ty był ze mną...
Chcę nad kołyską naszemu dzieciątku
Nucić piosenki w noc ciemną.
»Kocham cię!« znaczy: o! wolny ty duchu,
Ja nie chcę skrzydeł twych krępować jasnych,
Przykuwać ciebie do trosk nędznych, ciasnych,
Ciebie, coś przywykł na myśli podmuchu
Wzlatać jak orzeł po najwyższych szczytach
I gniazdo zwiwać w błękitach!

Ja nie chcę ciężać tobie jak kajdany,
Wiązać cię z ziemią żelaznym łańcuchem;
Chcę tylko, byś mnie uznał ukochany,
Bratnim, pokrewnym ci duchem!

»Kocham« — to znaczy: ja chcę być dla ciebie
Prawdy, i dobra, i piękna zakłębem,
Umiłowaniem twej duszy dziecięciem,
Twojem marzeniem o niebie.
Chcę domu twego być białym powojem,
Twojemu czołu od skwarów ochroną;
Chcę być twą myślą i ramieniem twojem,
I przyjacielem i żoną!

Jeśli w twych piersiach, kobieto, nie bije
Serce do takiej podniosłej miłości,
Nie mów ty »kocham« nikomu na ziemi;
Bo ten, co z tobą połączy swą dola,
Patrząc na ciebie oczyma smutnemi,
Nigdy nie powie, że żyje...
I duchem wzrósłszy w poziomą niewolę,
Nie zrobi nic dla przyszłości!

PIEŚŃ O DOMU.

Kochasz ty dom, rodzinny dom,
Co w letnią noc, wśród srebrnej mgły,
Szumem swych lip wtórzy twym snom,
A ciszą swą koi twe łyzy?

Kochasz ty dom, ten stary dach,
Co prawi baśń o dawnych dniach,

Omszałych wrót rodzinny próg,
Co wita cię z cierniowych dróg?

Kochasz ty dom, rzeźwiącą woń
Skoszonych traw i płowych zbóż,
Wilgotnych olch i dzikich róż,
Co głógom kwiat wplatają w skroń?

Kochasz ty dom, ten ciemny bór,
Co szumów swych potężny śpiew
I duchów jęk, i wichrów chór,
Przelewa w twą kipiącą krew?

Kochasz ty dom, rodzinny dom,
Co w pośród burz w zwątpienia dnie,
Gdy w duszę ci uderzy grom,
Wspomnieniem swem ocala cię?

O! jeśli kochasz, jeśli chcesz,
Żyć pod tym dachem, chleb jeść zbóż:
Sercem ojczystych progów strzeż,
Serce w ojczystych ścianach złóż!



Z HYMNÓW BOLEŚCI.

Bądź pozdrowiona, bądź błogosławiona,
Święta boleści co mi serce krwawisz;
Z krzyżem Chrystusa cisnę cię do łona,
Ty mnie podźwigniesz — ty ubłogosławisz.

Zdrętwiały żyłem... Słońce zapadało krwawo,
Na zachód oglądając z pragnieniem, obawą,
Tęskniłem za młodością, czując zem nie przeżył
Siły, którą mi Pan Bóg na żywot wymierzył!
Gdy boleść ocuciła z uspienia długiego,
I krwią na nowo wlaną wzdęte żyły biega,
Odrodzony nią dyszę: z letargu powstałem,
Otom znów młody, silny, otom znowu żywy,
Piersią oddycham całą, sercem cierpię całym,
Wskrzyszony od umarłych bolem — i szczęśliwy.

Bądź pozdrowiona korono cierniowa,
Opasz mi skronie, wpij się w czoło moje,
Opleć mi myśli, niech płyną krwi zdroje,
Chrztem jej, skalana obmyje się głowa.

Bądź pozdrowiony krzyżu, co łamiesz ramiona,
Różgo która mię chłoszczesz, bądź błogosławiona!
Jęk bólu niech ust nigdy nie przejdzie wybladłych,
Niechaj z hymnem zwycięstwa wstanę od upadłych,
I od krzyża Chrystusa zanucę w pokorze:
Wielki Bóg! niezbadane są wyroki Boże!

Bądź pozdrowiony gwoździu, co mi ranisz ciało,
By zranione ożyło i z martwych powstało!
Bądź pozdrowiona włócznio, co przebijasz serce,
Urągania, obelgi i śmiechy — szyderce!

Bądź pozdrowiony octem i żółcią przejęty,
Na pragnienie żywota dany mi napoju;
Kielichu mej goryczy promienny i święty,
Zdroju moich boleści, szczęścia mego zdroju!

Witam cię, czarna godzin samotnych tęsknoto,
Niezgaszone pragnienie, głódzie nienasyty!
Szpony, które mię szarpia, brzemiona co gniołą,
Szato błotem skalana, którą jest okryty!

Bądź pozdrowiona śmierci, matko litościwa!
Słabość blednie przed tobą, męstwo cię przyzywa:
Witam cię dniu swobody — pielgrzymki mej celu,
Gdzie sakwy, kij złamany i po latach wielu,
Po próbach wielu, serce złożę żółcią złane
I u drzwi Bożych z krwawym szponem moim stanę.

Bądź pozdrowiona święta cierpienia godzino,
Bólu, coś życiem nowem i tych łez przyczyną,
I Ty — coś mi go zesłał niezbadany Boże!
I wy, których szyderstwo urągać mi może;

Wy — co mi litość dacie, — wy co nie pojmiecie:
Błogosławię to brzemię co mi serce gniecie.

Bądź pozdrowiona, bądź błogosławiona,
Święta boleści co mi serce krwawisz:
Z krzyżem Chrystusa cisnę cię do łona,
Tyś mię dźwignęła, ty ubłogosławisz!





STRACONE GNIAZDO.

Nędzarz, włóczęga, z błaganiem żebraczem,
U muru zamku swych praojców stoję,
I pierś mi wzbiera jękami i płaczem,
Bo już nie mojem dziś to gniazdo moje!

Gdziem najjaśniejsze widział życia zorze,
Gdzie mnie pieściła matka ukochana,
Gdzie tronem dla mnie były jej kolana,
I kto żyw sługą był na moim dworze:

Tam dzisiaj obcy samowładnym panem,
Stamtąd psów jego na mnie zgraja szczeka,
Kiedy wytartym okryty łachmanem,
Żebrzącą rękę wyciągam zdaleka!

O! jakże straszny blask z tych okien pada!
O! jakże dzikie stamtąd wrzaski biegą!
Wiem, wiem... wesoła kipi tam biesiada,
W sali mych przodków, u stołu mojego!

W sali, gdzie niegdyś z swem rodzinnem gronem,
Szczęsny, na Gwiazdkę, opłatki łamałem,
I w Zmartwychwstania dzień, jajkiem święconem
Z niem się dzieliłem, ach! i sercem całym!

I gdzie tak cudnie bywało pieśń płynie,
Pieśń uroczysta, odwieczna a święta:
»Bóg się narodził« — lub »Wstał z martwych ninie«,
Które aż dotąd dusza ma pamięta!

I już to wszystko, wszystkie skarby moje,
Od mej kolebki do rodziców trumny,
Już mi odjęte!... i pan zamku dumny,
Dziś, jako żebrak u wrót jego stoję!

I nie ma dla mnie już szczęścia na świecie,
Nie ma radości żadnej ni pociechy;
Bom ojcowiznę stracił za swe grzechy,
Ach! bom zmarnował ją, wyrodne dziecię!

Biada mej głowie i wam wszystkim biada,
Którzy podobnym podążacie szlakiem!
Bo kto spuściznę ojczyzną postrada,
Jak ja, nędzarzem będzie i żebrakiem.

A choć się spotka z lepszych losów gwiazdą,
Dawnego szczęścia nigdy nie odpyta,
I nigdy dusza w nim nie będzie syta,
Bo ją rodzinne tylko żywi gniazdo!



PAJĄK.

Pająk się Matce Boskiej sprzeciwia,
Bo chociaż Ona przędzie tak cienko,
On cieniej snuje swoje krosienko,
I srebrne barwy jaśniej oszkliwia:
Więc nie grzech zabić pająka.

Lecz pająk wieszczek: po srebrnej sieci,
Zrana nieszczęścia zwiastować leci,
A gdy wieczorne godziny wieją,
Wróżbita złotą cieszy nadzieją:
Więc szkoda zabić pająka.

A pająk muzyk: na gruzach gości,
I starym grodom, z bratem słowikiem,
Promieniejącej barwy językiem,
Kwili gdzieś w kątku dumki przeszłości:
Więc żal zabijać pająka.

A pająk prorok: w złocistej sali,
Na brudnej przędzy pierś swą kołysz,

I szarym kłębkim po ścianie pisze
Baltazarowe: »Bóg cię obali!«
Więc strach zabijać pająka.

A pająk kapłan: kraty osłania,
Więźniów pociesza, urny zaprzędzie,
I z trupich główek tęczę dobędzie —
Po hymnach śmierci, hymn zmartwychwstania:
Więc grzech zabijać pająka.

A pająk mędrzec: gdy mu sieć zmiotą,
W nadziejach piersi swej nie rozleni,
Ale ze starych serca promieni,
Wnet rzeczywistość uplecie złotą:
Jak nie iść w ślady pająka?

Pająku! Maryi się nie sprzeciwiaj!
Ale na cześć Jej swoje krosienko
Osnuwaj gęsto, osnuwaj cienko,
I złocistemi barwy oszkliwaj:
A ja cię kocham pająku!

ŚMIERĆ CZARNIECKIEGO.

W Sokołówce, przed chatą u proga,
Pachołkowie i ludu czerń mnoga;
Stoi stępak u żłobu powolny,
A w świetlicy leży Hetman polny.
Hetman głowę pochylił na łożę,
Krzepkiem ciałem już władnąć nie może,
Złożył ręce jakby do modlitwy,
Ale wojak ciągle marzył bitwy.

To o Szwedach odmawia pacierze,
To Stawiszczan rozhukanych bierze.
A przy świetle gromnicy, ksiądz cichy,
Świętym krzyżem maże ziemskie grzéchy;
Prosi Boga w pokorze i skrusze,
By do raju przyjął starca duszę;
A lud słowa powtarza kapłana:
— »Sługę Twego — zbaw Panie, Stefana!«

Zarzął stępak u żłobu powolny,
Wzniósł na łożu głowę Hetman polny,
Biłmem zasze roztworzył źrenice,
I popatrzył na smutną gromnicę;
Witał księdza — jak ze snu powstały,
I znów słuchał jak rzy jego biały.

— Wprowadźcie go! — skinął na husarzy.
I wnet biały po izbie się waży,
Na pierś starca kładzie łeb swój suchy,
(A obadwaj biali jak dwa duchy).

Śmiał się hetman jak dzieciak szczęśliwy,
Tuląc ręce między śniegi grzywy:
— »O mój biały!...« A biały, spokojnie
Zda się z panem rozmawiał o wojnie;
Raz po raz to czerepem ruszy,
Aż starcowi jakoś tęskno w duszy,
Wzniósł buławę, spojrział w koło groźno
I rzekł: — »Królu! dałeś ją za późno!«

Potem opadł na łożę bez siły;
Znowu rzesze pacierze mówiły,
Znowu stępak u żłobu powolny,
A w świetlicy leży Hetman polny...

Pan kijowski nie daje rozkazów;
Twardych z ust swych nie ciska wyrazów;
Ani rżeniem rozbudzi go siwy:
Bo wódz wielki już leży nieżywy!

A twarz jego szlachetna, uczciwa,
Jeszcze jakimś postrachem przeszywa;
Jeszcze z śmiercią nawet walczy samą,
I szeroką odzywa się szramą:

*Jam nie z soli, ani z roli,
Ale z tego co mnie boli!*





W KATERDZE GOTYCKIEJ.

Cześć ci katedro stara, cześć ci skamieniały
Pacierz wieku średnich, mistrzowsko rzeźbiony,
Oknami tęczowemi uroczo przyćmiony,
I promienny spokojem jak Cherubin biały.

W tych kolumn niemych cieniu, duch w zachwycie cały,
Złote skrzydło modlitwy rozwija stęskniony,
By wzleciawszy z tej ziemi po za gwiazd regiony,
Upaść przed tronem Bożym — śpiewając hymn chwały.

Cześć ci pomniku, grobie duchowych olbrzymów,
Wspaniały, gdy w mgłę wonnej z trybularzy dymów
Drżysz od groźnej harmonii psalmów gregoryańskich.

Cześć ci biblio z marmuru, sztuk pięknych dyademie,
Święty, gdy w noc miesięczną modlisz się za ziemię,
Wieżycami sięgając do krain niebiańskich.

SIWY WŁOS.

Ludzie cię ogłosili królową salonów,
Lecz czoła ja nie schylę przed tobą, królowo!
Tyś piękna, jak posągi greckich Pigmalionów,
Piękna twarzą i piersią swoją marmurową.

Czyż kiedy twoje czoło zmroczył cień tęsknoty,
W tem życiu, w którym nie ma i nie było treści?
Zapłakałaś ty kiedy nad łzami sieroty?
Usta twe całowały kiedy krzyż boleści?

Wielka damo! Syreno! Cherubie fałszywy!
Niechaj cię myśl o życiu z snów szału obudzi!
Bo gdy na czole twojem zabłyśnie włos siwy,
Powołą cię na ziemię — okrutny śmiech ludzi!

DZIWOŻONA.

Raz w noc czarów,
W noc miesięczną, w głębi jarów,
Kołysała się uśpiona
Nad przepaścią, wśród konarów
Starej olchy: »Dziwożona«.

A na śpiącą tak przez liście,
Księżyc patrzył się srebrzyście,
I jej wianek konwaliowy,
W strudze blasków promieniście,
Lśnił, jak gdyby był perłowy.

Wtem zamącił ciszę śpiewną,
Ktoś w parowie skargą rzewną,
I zbudzona w półprzymrozie,
Rozgarnawszy mgłę powiewną,
Zaśpiewała: — Chodź tu do mnie!

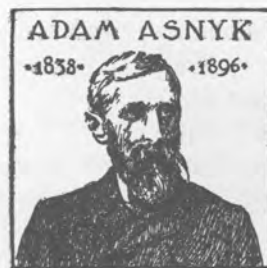
Chodź co żywo chłopcze smętny!
Tu w mój uścisk przenamiętny,
Spełnić szczęścia mary złote.
Mej pieśczoły czar ponętny,
Słłumi łzawą twą pieśczołę —

I ta pieśń jej, dźwięków deszczem
Spadła, echem drwiąc złowieszczem,
W parów głuchy, gdzie zbłąkany
Młody góral, z dziwnym dreszczem
Stał, w nią cały zasłuchany.

Stał, a ona jak mgła wiosny,
Zbiegłszy lekko, — w swój miłosny
Uścisk, tak go lubo zwała,
Że od prośby jej żalosenj,
Aż posępnie olcha drżała.

Więc co żywo, jak w obłędzie,
Na przepaści wbiegł krawędzie,
I chcąc chwycić wyciągnione
Drobne rączki jej łabędzie,
Wpadł w ciemności niezgłębione...

A zdrajczyni, jak mgła wiosny,
Lekko wiodąc tan radosny,
W dal promienną uleciała;
I w konarach się znów sosny,
Z pustym śmiechem kołysała...



PROŚBA.

O! mój aniele, ty rękę
Daj!
Przez łyzy i mękę,
Przez ciemny kraj,
Do jasnych źródeł ty mnie doprowadź,
Racz się zlitować!

Serce me zwiędło jak marny
Liść:

Wśród nocy czarnej,
Nie wiem gdzie iść,
I po przepaściach muszę nocować,
Więc ty mnie prowadź.

To com ukochał, com tyle
Czczył:

Zdeptane w pyłe,
Padło bez sił...
Rozpacz i hańbę widząc po drodze,
Stałem w trwodze.

Widziałem zbrodni zwycięski

Szał;

Widziałem klęski

Duchów i ciał;

Więc obłąkany boleścią — chodzę

We łzach i trwodze.

I nie wiem teraz w co wierzyć

Mam?

Jak dzień mój przeżyć

W ciemnościach — sam.

Nie wiem, czy zdołam wytrwać niezłomnie,

Więc ty zstąp do mnie!

Lękam się wstąpić z zwątpieniem

W grób,

I z utęsknieniem

Do twoich stóp,

Chylę się z prośbą, i nieprzytomnie

Wołam: zstąp do mnie!

Pokaż mi tryumf w przyszłości

Dniach!

Tryumf miłości

Kupiony w łzach,

I upragnione zwycięstwo jasne

Pokaż, nim zasnę!

Pokaż mi ciszę wschodzących

Zórz!

Zmartwychwstających

Królestwo dusz;

A dbać nie będę o szczęście własne —

Spokojny zasnę!

SZKODA.

Szkoda kwiatów, które więdną

W ustroni —

I nikt nie zna ich barw świeżych

I woni...

Szkoda pereł, które leżą

W mórz toni;

Szkoda uczuć, które młodość

Roztrwoni.

Szkoda marzeń, co się w ciemność

Rozproszą;

Szkoda ofiar, które nie są

Rozkoszą.

Szkoda pragnień, co nie mogą

Wybuchać;

Szkoda piosnek, których nie ma

Kto słuchać.

Szkoda męstwa, gdy nie przyjdzie

Do starcia;

I serc szkoda, co nie mają

Oparcia!

KARMELKOWY WIERSZ.

Bywało, dawniej przed laty,

Sypałem wiersze i kwiaty

Wszystkim dziewczątkom;

Bom myślał, o piękne panie,

Że kwiat, lub słowo, zostanie

U was pamiętką.

Wierzyłem — zwyczajnie młody,
Że jeszcze nie wyszło z mody
Myśleć i czuć;
Że trochę serca, kobiecie
Świetnej karyery na świecie,
Nie może psuć.

Aniołków brałem na seryo,
I z śmieszną Don-Kiszoteryą
Wielbiłem lalki.
I gotów byłem — o zgrozo!
Za Dulcyneę z Tobozo
Stanąć do walki.

Lecz dziś — komedię salonu,
Jak człowiek dobrego tonu,
Na wylot znam;
Z serca pożytek niewielki...
Więc mam w zapasie karmelki,
Dla dam!



GUSTAW
ZIELINSKI
1809 *1881*

POWRÓT WIOSNY.

Słońce się z mglistych otrząsa chmur.
Z dolin i gór —
Zimowe, śnieżne spada okrycie,
Jasnym połyskiem srebrzą się wody,
W łonie przyrody,
Wre życie.

I znów na ziemię powraca raj.
Pola i gaj
Napełnia nuta jakaś radosna,
Kwiat swe tulące zrzuca osłonki,
Wonią tchną łąki:
To wiosna!

Skowronek wzbił się w powietrzny szlak;
Miły to ptak —
Gdy na skrzydełkach zawieszon, śpiewa,
I cały urok rozkwitłej wiosny,
W swój śpiew miłosny —
Przelewa.

O! gdyby serce mogło tak żyć,
Tak słodko śnić...
Z uwiedłych marzeń, z uczuć zawodu,
Po burzach życia znów się ocucić,
Kochać i nucić —
Jak z młodu!

Z POEMATU »STEPY«.

Wszedł śpiewak... miejsce zaszczytne mu dali
Obok sułtana; bo choć niewidomy,
W stepach szeroko z pieśni był znajomy;
Jak Hodżę, szatę jego całowali;
Gdzie się ukazał zbierały się tłumy,
W ślad za nim biegły kędy się obrócił,
Bo im do serca były tęskne dumy;
Ślepy — wesołych już dawno nie nucił;
I gwar umilkął, skoro pierwsze dźwięki
Z pod jego bieglej wypłynęły ręki.

Tam widzieć trzeba, jak stepu synowie
Pojmują wieszczą, gdy im go Bóg zdarzy;
Ile radości błyszczą w każdej twarzy,
Jaka potęga w jego jednym słowie:
Niebo, step, konie i życie pastusze
Tłem jego pieśni, z którego ciąg zdarzeń
Snuje w natchnieniu, i proste ich dusze
Porywa z sobą do krainy marzeń.
Ich lica, to jak zwierciadło bez skazy,
Na którym władzą słowa czarnoksiężką,
Pieśń w rzeczywiste kształci się obrazy.

Zaledwie nutę postyszą zwycięską,
Im się wydaje, że już nogą jedną
Stoją w strzemienu, oczy blaskiem świecą,
Usta i śpiewak z przed ich wzroku bledną,
Bo duszą w stepie, na swych rączych koniach,
Ich oczy, myśli, ich uczucia, lecą
Niedoścignione, jak wichry po błoniach;
Pieśń brzmi — i długo tłumiony w płuc cieśni
Okrzyk wojenny, co dotąd nieśmiało
Z piersi słuchaczów zrywał się nawałą,
Jak wtór piekielny, wybuchnął wśród pieśni.

Śpiewak łagodniej struny gęśli trąca,
I niby jutrznia majowej urody,
Na dzikie lica zstąpił blask pogody;
Uśmiech jak promień wschodzącego słońca,
Na chmurne czoła złoty połysk ciska;
I pieśń wesoła z różnych stepu końców,
Przed chwilą wrzących, rozproszonych gońców
Zbiera, i w jurcie sady u ogniska.
Znów śpiewak ujął w posłuszeństwa karby
Słuchaczów serca, lecz niechże ton zmieni,
Niech do obrazów żywsze weźmie farby,
Niech do swej pieśni dorzuci płomięni;
A jak w noc ciemną, kiedy stepy płoną,
Niebo się smugi krwawemi oświeca:
Takim pożarem wre namiętne łono,
I taka łuna oświecła ich lica.

Śpiewak, to jedna dusza pośród koła,
Która wszechmocnie każdą cząstką włada;
Dotknie strun, piosnka popłynie wesoła,
I zaraz radość huczy jak kaskada.
Uderzy w smutne, już obraz odmienny,

Jak gdyby wicher zaszumił jesienny,
Każda twarz, rysy przybiera posępne,
I oko w bólu na lzy niedostępne,
Widzisz, jak rzewnym zanosi się płaczem.
O! w takiej chwili i z takim słuchaczem
Niechaj kto rzuci gorejące słowo,
Jedną myśl straszną, jak chmurę gromową,
A świat ten zburzy. Oby się chciał zjawić
Wieszcz, coby takim słowem mógł świat zbawić!

* * *

Do was się zwracam wieszczu mojej ziemi!
Gdy Bóg w twą duszę piękności zarody
Rzuci jak gwiazdy palące, którymi
Wiecznie masz świecić, słuchaj bracie młody:
To ogień niebios, tyś jego kapłanem,
Jak ołtarz Westy, chroń go nieskalanym;
Strzeż jako arki dawnego przymierza;
I pierwszych iskier, myśli twojej plonów,
Nie rzucaj płocho na pastwę salonów,
Boś ty skowronkiem w cudne odzian pierza,
Nad poziom martwy masz wzlatać i śpiewać,
I wiosną tonów skrzepły świat ogrzewać.
A tu z złoconem czekają cię sidłem,
Wabią, i skoro upłączesz się skrzydłem,
Olśnią cię blaskiem nieszczerzej pochwały,
Lot twój wyłamią dowcipy ostremi,
Z piórek oskubią, z tych marzeń co miały
Wznieść cię pod niebo — byś pełzał po ziemi;
A potem puszczą, cóż poczniesz? bezpióry,
Rozczarowany: czyż wzlecisz do góry?
Że wśród swych braci żyjesz zapoznany:
Boś ty oaza, tą palmą nad zdrojem

W ogromie pustyń; liczne karawany
Ciągłą i miną, a rzadko zbłąkany
Przyjdzie wędrowiec spocząć pod twym cieniem,
I zwilży usta spalone pragnieniem.
Królestwo twoje nie jest z tego świata,
Nie tu, lecz wyżej namaszczeń zapłata;
Tu nędza, zawiść i szyderstwo czelne;
Chcesz być wyjątkiem, chcesz dostąpić cudu?
Masz serce ludu — więc śpiewaj dla ludu,
A pieśni twoje będą nieśmiertelne!

Bo pieśń, to boskie w dziejach ludu słowo...
Jako piastunka nad dziecięcą głową,
Tak lud niemowlę kołysze i pieści
Czarownym wątkiem cudownych powieści.
Później, jak dziewczę w dniach pierwszej miłości
Namiętną iskrą jednego spojrzenia
Młodzieńcze piersi ludu rozplómienia,
Urokiem szczęścia, sławy i wielkości.
A gdy lud kona, jak matka w żałobie,
Boleść swą w jęki przelewa i łkania;
I długo pomnik mchem zrosły na grobie,
Mgłą nieśmiertelną jak krepą osłania.



STANISŁAW
KOŹMIAN
1811 *1885*

MOWA POLSKA.
(W WYJĄTKACH).

Polska mowo ma świetlana,
O jedyna ty na ziemi,
Na tle niebios słońc wszystkimi
Promieniami tęczowana!
Twój jedyny strój natchniony,
Wszystkie dźwięki w sobie mieści,
I anielskich luteń tony,
I anielskich chórów treści.
Nie obcegoś szczepu kwiecie,
Nie obcegoś rodu dziecię,
Nie ze szczątków, nie w odmęcie
Zgasłych plemion tyś zrodzona:
Lecz wprost z niebios tve poczęcie,
Tyś bożego tchnieniem łona,
Cudem cudów objawiona.

Wszelki kształt się zmienia, łamie,
Ty trwasz wieki niepożyta;
Wiecznie z ciebie bo wykwita
Bezpośrednie Boga znamię;

Z każdą myślą a potrzebą,
Twój kwiat w nowe się rozplemia!
A co bujna zrodzi ziemia,
To na wieczność święci niebo:
I jak wszystko co z przymierza,
Co z niebieskiej tchnie opieki —
Zawsze nowa, młoda, świeża,
A ta sama co przed wieki
Na tle twojem błyszczą cecha.
W Pańskiej służbie ochotnicy,
Dziś śpiewają do Dziewicy,
Bogarodzicy,
Jak śpiewali za Wojciecha.

Choć nam życia wciąż ubywa
I pękają sił ogniwa,
Ty królujesz ponad nami,
W pełnym ducha majestacie;
A gdy do cię my się sami
Wznieść nie mogę, — ty nam w porę
Schodzisz na dół w niskiej chacie,
Wskrzeszasz zmarłe, cucisz chore,
Mdłe ukrzepiasz, — brata w bracie
Poznać dajesz, — idziesz w gości
I do zamku i do chatki;
Wznosisz gnuśnych w powinności,
Gromisz braki, niedostatki,
Nie tą grozą co oniemia,
Lecz miłością która stwarza.
Tyś nam prorok z ponadziemia,
Tyś nam kapłan u ołtarza!

A my, jakąż się odpłatą
Wywdzięczamy tobie za to?

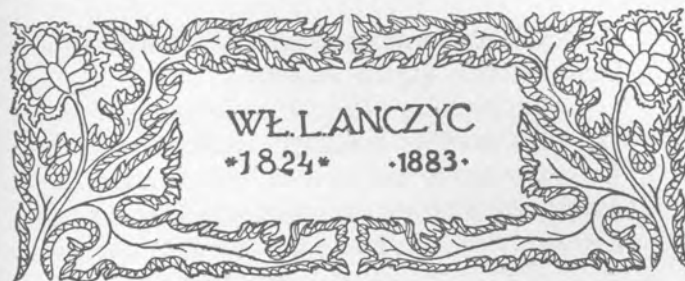
My się z ciebie naigrawamy,
Wyszydzą wiano złote,
Plon wiekowych twych zdobyczy —
Zwiem dzieciństwem wstyd dziewiczy,
A prostactwem twą prostotę.
I niepomni, że się w mowę
Ten narodu obraz żywy,
Wszystkie cechy narodowe:
Wdzięki, chluby, chwały, dziwy,
W treść zbiegają, jak w kryształe
Rozpierzchnione światła fale;
I niepomni, że przystoi
Mężnych mowie hart ich zbroi,
I że tylko jednolita
Z całoszczepem w kwiat wykwita, —
My w to godzim, by w twą przędzę
Wsnuć szych obcy, obce nędze;
Twoje wątki przeprząść na nić
Różno-barwnej, zwodnej krasy,
Twój dźwięk rozbić w słów hałasy;
By cię zgnuśnić, przedworzanić
W mdłą przesadę, — z twardej stali
W puch przewinać, — by zapasy,
Tylu wieków hojne żniwo,
Co ojcowie nam zebrali
Pracą ciężką a uczciwą,
Strwonić naraz, w mgnieniu oka;
I do szczętu w grze pustoty —
Wianem z tobą dan z wysoka
Przegrać posag szczerozłoty.

Lecz napróżno, my Kaimy,
Przeciw tobie od kołycki
Aż do grobu knujem spiski;

Bo lud własny — twój rodzimy,
Twoich ogniów wiecznie strzeże.

Więc miłujesz go jak matka,
Obejmujesz duszą całą,
Dzielisz się z nim do ostatka,
Co z rozbicia ci zostało;
Barwisz prace, koisz żale,
Łzy ozłacasz, bo od syna
Co na zbytek plon twój ścina:
Stokroć miłszy ci w siermiędze
Syn ten młodszy, który w dziale
Dostał tylko trud i nędzę.
Zawsze przy nim jest widoczną,
Nieodstępną w każdej porze;
W pieśń go budzisz, gdy na zorzę
W niebie chóry nucić poczną
Hymn poranny. — Kiedy orze,
I z skowronkiem kiedy sieje:
Wyśpiewujesz mu nadzieję.
Nad żniwiarzów krążąc kołem,
W rytm radości wiążesz społem
Z dźwiękiem sierpa, z chrzęstem kosy
Złotodzwonne ziarnem kłosy.
Gdy na wieczór przy rodzinie
Siędziesz razem u ogniska:
Kto płomieniem po ścian bieli
Strachy, dziwy, czary ciska?
Skąd im tyle pieśni płynie,
Czy od sierpa, czy od pługa?
Skąd się snuje powieść długa,
Razem z nitką od kądzieli?
Jakiż, jakiż duch to żywy,
Wszystkie sny te, jawy, dziwy —

Wiecznie sieje i poczyrna,
Z słowa rodzi, wciela w słowo?
Duch to duch twój, ach! jedyna,
Ty ojczysta, polska mowo!



BRODY KRZYŻACKIE.

Mnogi lud krąży w Piastowej stolicy,
W wesołe, gwarne gromady skupiony,
Hymn spiżu z każdej wybiega dzwonnicy,
Huk dział Wawelu grzmotem tłumi dzwony:
A w mieście domy przybrane uroczo,
Kwiaty, opony, na każdej ulicy,
Cechy, chorągwie, ziemianie się tłoczą,
I tłum napływa chłopstwa z okolicy.
Więc zewsząd pany, książęta wspaniałe,
Jadą na zamek wśród licznych orszaków,
Ujrzyć monarchę, co w świecie wzrósł w chwałę,
Uczcić Zygmunta i podziwiać Kraków.

Więc możne króle, dalekie książęta,
Hołdowne mistrze i cudze narody,
Ślą swoje posły, by w dzień tego święta,
Uczcić Zygmunta i uświetnić gody.

Katedra w zamku, ojczystej gmach sławy,
Stroi się w jedwab, złotogłów, purpury —

Deszcz blasków zlewa sklepienia i nawy,
Stalle, ołtarze, kaplice i chóry.

Co tylko skarbiec kościelny, królewski,
Chowa w swem łonie — ku ozdobie dane:
Monstrancje rżnięte w cudne arabeski,
I apostoły szczerozłote, lane;
Świeczniki złote, baldachy, obłony,
Jabłka i miecze, starożytne berła,
Odwieczne książąt i królów korony,
A wszędzie złoto, dyament i perła.

Pysznie wystąpi świątynia na gody.
Jutro królewska ślubować ma para:
Syn Kазmierzowy, król Zygmunt, pan młody,
A pani młoda: Zapolyi Barbara.
Ruchem i zgiełkiem kościelne brzmia mury,
Gwar ludu bije w sklepienia kolumny,
Radość wokoło — i tylko ponury
Krzyżak, stał w środku milczący a dumny.

W śnieżystym płaszczu, na którym się mieni
Krzyż czarny, w stalnej zbroicy, w szyszaku,
Jak na grobowcach posągi z kamieni,
On ani zadrgnie, ni da życia znaku.
Tylko wzrok groźny wlepił w szczyt kopuły,
Pod którą biskup Stanisław legł święty;
Znać złe wspomnienia krzyżaka pierś truły,
I wiodły w ciemne przeszłości odmęty.
Srebrzystą trumnę, w sztandarów obłonie,
Namiotem drugie sklepienie objęło,
W Grunwaldzkiej bitwie, na dumnym zakonie
Zdobyte, tutaj zawiesił Jagiełło.
Widok ich zbudził w Krzyżaku przed laty

Słyszaną powieść, — więc jednym poskokiem
Dotęga stopni, uczepia się kraty
I bystrym, trwożnym, przenika głąb wzrokiem.

I nagle zgroza rycerzem wstecz ciska,
Wstrząsł się i chwieje i z przestrachu blednie,
Strwożony widmem wstrętnego zjawiska,
Za czarną brodę chwycił się bezwiednie.

Tam — liczne brody mistrza i komturów,
Srebrzyste, płowe i rude i czarne,
Wiszą u stropu kościoła, u sznurów,
Wiszą jak godła męczeńskie, ofiarne.

Wybiega rycerz; — w zewnętrznych podwojach
Wsparł się w pół martwy — ociera pot z czoła,
I pierś ściśniętą kąpie w wiatru zdrojach.
Wtem go ktoś trąca, jakiś głos zawoła:
— »Co wam rycerzu?...«

Lecz Krzyżak ponuro

Spogląda tylko a nie odpowiada.
— »Cóż wam oblicze zaciągnęło tak chmurą?
Co się to znaczy? wzrok dziki, twarz blada,
Snać jakieś lichy do serca się wkradło!
Czy nie bogdanka? dziś zakon tem żyje«. —
»Nic mi« — rzekł rycerz.

— »Ba! twarz jak zwierciadło,
I najtajniejsze afekta odbije«. —
— »Mości Decyuszu, — rzecze Krzyżak gniewnie, —
Porzucicie drwinki, a lepiej te godła
Ohydne zdejmcie, boć chwały wam pewnie
Wcale nie przyda, rzecz sromotna, podła!«

— »O czym to prawisz? o jakiej sromocie?«

— »O czym? o brodach!«

— »Cóż znowu za brody?«

— »Brody mych braci; źle jakoś przy złocie

Odbijać będą w Zygmuntove gody.«

— »Ha! ha! ha! — Decyusz buchnął całym głosem,

Ha! ha! ha!... brody... ha! ha!...«

Krzyżak harde

Rzucił spojrzenie z podełba, ukosem,

I woła: — »Jakto? do okrucieństw wzgardę

Dołączasz, czyniąc z męki pośmiewisko.

Wiem, że padł zakon, spękał gmach krzyżowy,

Lecz Niemcy żyją — może pomsta blisko,

Rychlej niż myślisz padnie wam na głowy!

Ni dnicz litewska, ni tatarskie hordy,

Ani was zbawią wasze silne grody:

Niemców jak piasku! morderstwo za mordy!«

— »Lecz powiedz, gdzie są tych morderstw dowody?«

— »Gdzie? tam przy grobie, na wstyd, hańbę wieczną,

Dowodów waszych okrucieństw — setkami.«

Decyusz tłumiąc wesołość serdeczną,

Ociera oczy z śmiechu zasłże łzami.

I rzecze: — »Brody, śmieszna baśń niemiecka,

Baśń nędzna, głupia, aż słuchać niemiło;

Przed sześciami laty dość tych bród z pod Klecka

Przywieźli, choć tam Krzyżaków nie było.

I dziś wieść przysła: Przeclaw Lanckoroński

Zniósł kosz tatarski — a więc po Tatarze,

Wkrótce nie jeden ujrzysz buńczuk koński;

Boć to buńczuki, nie brody — bazarze.

Pójdź a oglądaj, że to włosień koński...

Niech na wstyd własny staną ci dowody,

Niech świat się dowie, że rycerz teutoński,

Wziął koński ogon — za swych braci brody!«

PIEŚŃ TYRTEUSZA.

Znacie ten kraj, co mu stopy skaliste,

Zmywa toń mórz, a Olymp wieńczy skroń?

Kastalskich wód kryształy biją czyste,

Słowików pieśni i róż zachwyca woń?

Znacież ten kraj, co mężnych synów chwałą

W daleki świat o sobie rozniósł wieść?

Potęgom burz nadstawia pierś zuchwałą,

I szydzi z tych, co mu chcą jarzmo nieść?

Znacież ten kraj, co dostał z bogów ręki,

Olbrzymią moc z harmonią cudną słów?

Gdzie wyrósł mąż co lwom targał paszczęki,

I mieczem ściał siedm sprosnej hydrze głów?

Dziewicznych niw, przemocą ani zdradą,

Aż po dziś dzień nie zdeptał obcy wróg;

Znacież ten kraj? Nie znacie, nie! Hellado!

Ja ciebie znam i Ares mężnych bóg!

Wyrzecz się ich Hellado, ziemio święta,

Twym synem wart być tylko wolny mąż,

A Sparta kark w ohydne zgina pęta:
Messeno pójdź i lud ten podły wiąż!

W okowach wlec do bram swojego grodu,
Na wieczny wstyd do żaren mężę kuj,
Lub sprzedaj ich, — a dziewice z ich rodu
Do twoich uczt niech ślubny wdzieją strój!

Śród fletnich brzmień, niech w igrzysk spieszą koło,
I z wrogiem pieśń na Sparty wzniosą skon,
A zdobiąc w kwiat Arystomena czoło,
Włochatą pierś do czystych tulą łon.

Bo w Sparcie już krew starych ojców zmarła,
Od Aten chcą aby im pomoc nieść,
I grożą im, a nie śmiają wrogom z gardła
Ojczyznę krwią wydrzeć, wolność i cześć!

O! światło zgiń! Niech nigdy promień słońca,
Nie spłynie już w skalany trwogą gród;
Niech straszny mrok panując tu bez końca,
Skryje ten wstyd, co podły hańbi lud!

Ten wolny nurt co mężnych krzepił znoje,
Niech wyschnie wraz, niech w łożu pęta gad!
Przeklinam cię, Lakonio, i twe zdroje!
Niech zatrze czas istnienia twego ślad!

I matki te, co trwożnych synów dały
Zeusie zhańb! oblicza wstydem spal!
Niech łona ich poszarpią lwy w kawały,
Lub własna dłoń zatopi w piersiach stal!

O! Sparto, ruń! nim doznasz strasznej doli,
Nim zwiędnie laur co kwitł na czole twym,

Nim syny twe przywdzieją strój niewoli:
Upadnij w gruz i hańbę przykryj nim!

O! Sparto, ruń! zanim ślad twej wielkości,
Naddziadów grób, Messenów zburzy młot,
I na żer psom rozwlecze święte kości,
A przodków cień odpędzi od swych wrót!

Ty ludu! nim wróg w pętach cię powlecze,
Ojców twych broń na progach domów złam
I w przepaść rzuć!... Niech nie wie świat, że miecze
Były wśród was, a serca brakło wam!





NIEDOŁĘGA.

Niechaj-że was święci strzegą
Ludzie mili,
Byście jak ja do niczego
Kiedy byli;
Gdziebądź pójde, cobądź zrobię,
Każdy gęga:
Daj tam pokój, jesteś sobie
Niedołęga.

Niedołęga... mówić łatwo,
Głupi tłumie;
Robić piórem albo dratwą
Każdy umie.
Czembądź z pracy zysk się bierze:
Butem, księgą,
Furda... lepiej zostać szczerze,
Niedołęga.

Co po myśli, kiedy ona
Ledwie wzlata

Ciężkiem skrzydłem, i wraz kona
W krańcach świata.
Co po pracy... chyba w grobie
Spokój daje,
Bo gdy masz jeść, zębów tobie
Już nie staje.

Co po ludzkiej całej owej
Krętaninie,
Z której tylko zawód nowy
Ciągłe płynie;
Człek obarcza głowę własną
Wciąż kłopotem,
W końcu, jak dzień widzi jasno,
Że nic po tem.

Niedołęga, choć mu w głowie
Braknie klepki,
Jest to — wierzcie mi panowie,
Człowiek krzepki.
On przed siebie śmiało patrzy,
W zgodzie z światem,
A jak zliczy już raz, dwa, trzy,
Dość mu na tem.

Niech się ziemskie tam bólbogi
Pną w niebiosą;
On, nie szuka sobie drogi
Wyżej nosa.
Idzie, za nic ważąc chwałę,
Wciąż ostatni,
I wynosi kości całe,
Z ludzkiej matni.

Szczęścia kupić nikt nie w stanie
I nie kupi;
Wielkie jeszcze jest pytanie,
Kto z nas głupi?
Czy ten, który z ludźmi w wojnie
Mary łapie,
Albo-li ten co spokojnie
Śpi i chrapie.

Patrzcie, jak się ziemskie koło
Wciąż obraca,
Jak marnieje nie wesoło
Ludzka praca.
Ciężkiej doli nie upiększy
Miecz, ni księga...
Światem rządzi los, — największy
Niedołęga!

PIEŚŃ EGIPSKA.

Królow córą, Phto wspaniała
Z cnót tylu:
W pięknej wyspie zamieszkała
Na Nilu.
Gmach z marmuru był sklepiony
Od szczytu;
A u wejścia miał pylony
Z granitu.

Straż czuwała nad nią we dnie
I w noce,

Uzbrojona w łuki przednie
I proce.
Phra stawiano postać mściwą
U wzgórza,
I lwy strzegły z czarną grzywą
Podwórze.

Bo Faraon kazał wielki
By ona:
Mogła zostać nad twór wszelki
Uczczona.
I ku gwiazdom kazał strzały
Słać w górę,
Kiedy gwiazdy mu patrzyły
Na córę.

Nil popędza szybkim biegiem
Na wiosnę;
Błysło oko ponad brzegiem
Miłosne...
Skarb, choć z taką strzeżoną siłą
Niepewny:
W pustym gmachu już nie było
Królowny!



WŁODZIMIERZ
ZAGÓRSKI
•1834• •1903•

HISTORIA PATRYARCHY NOEGO.

Nasz praszczur Noe świętym był,
I chadzał wciąż przed Panem;
Jak ognia tak się wody bał,
A wino — pijał dzbanem.
Za to go też miłował Pan,
I w wszelkiej strzegł przygodzie;
I gdy potopu nadszedł czas,
Nie dał mu zginąć w wodzie.

Przez dni czterdzieści padał deszcz:
Pan ziemię wodą raził!
Przez dni czterdzieści Noe pił,
Z pod beczki nie wyłaził!
Tak ocalona ludzkość trwa,
I będzie trwać najwieczniej;
A dowód stąd, że gdzie, jak gdzie,
A w szynku najbezpieczniej!

Przeminął potop. Noe dank
Jehowie ofiarował:

I obręcz z próznej beczki zdjął
I Panu podarował;
A Pan ofiarę przyjął rad,
I nakrył tą obręczą
Przepaście chmur, i obręcz ta
Do dzisiaj dnia — jest tęczą!

Żył potem Noe mnogie dni,
I chadzał wciąż przed Panem:
To jest, jeżeli chodzić mógł —
Bo wino pijał dzbanem.
Wody się tak jak ognia bał,
I była mu przeklęta:
Za to, że nią poraził Pan
Lud mnogi i zwierzęta.

Aż raz się strąbił praszczur nasz,
Przebrawszy trochę miarki:
Zrobiło mu się »jakoś — tak«,
I poszedł spać do Arki.
I przyszedł Cham, i począł drwić,
Że Noe taki ścięty...
I za to Chama przeklął Pan,
I Cham do dziś przeklęty!

Historii tej, moralny sens
Jakby na dłoni leży:
Że świętym jest Noego cech,
I drwić zeń nie należy;
Bo kto ze sprawiedliwych drwi,
Co pijąc aż do spodu,
Potrąbią się jak praszczur nasz:
Ten jest — chamskiego rodu!



POGRZEB IBISA.

W Memfisie starym, cóż za orszak mnogi
Niby to stoi, a idzie,
Mając zwrócone głowy, ręce, nogi,
Ku wielkiej — ku piramidzie.

Idą: wszechmocny wół o plamie białej,
Wszechmiłośierne krogulce,
I chrząszcze pełne wiekuiestej chwały,
W najświętszej skrzydlatej kulce.

Wąż, trzymający w zębach ogon śliski,
Przedwieczne bóstwo bez końca;
Szakal — moc twórcza, opatrzniemi błyski
Padlinę wszędzie widząca.

Dzielny krokodyl — bóg na wszystkie strony;
Lotus, co z dniem noc przesila;
Święta cebula i błogosławiony
Szczur wodny, wróg krokodyla.

Lecz skąd te zewsząd smutki i rozpaczę?
Apis kopytem dół grzebie;
Zmartwił się lotus i krokodyl płacze,
Szakal wziął ogon pod siebie.

Stał Anacharsys, utrapiony Scyta,
Wielki ciekawiec jak wiemy.
Pyta się wszystkich — ale próżno pyta,
Bo każdy głuchy, czy niemy.

Tedy się spyta Sfinksa z czołem płaskim,
Lecz z bystrym rozumem w głowie.
Sfinks, nie był jeszcze zasypany piaskiem,
Więc mu w te słowa odpowie:

— Spojrz na te mary, które z czią żegnamy,
A sam się zmartwisz nie mało;
Bo na nich stoi spowite w balsamy,
Ibisa najświętsze ciało.

Spojrzał, lecz jakoś nie zmartwił się wcale,
On zatwardziały nasz Scyta.
Wtem, widząc zewsząd coraz nowe żale,
W prostocie ducha znów spyta:

— A cóż ten Ibis? — Ibis, w gęste błoto
Właząc po łydki, świat czyści. —
— No, więc cóż z tego? — Więc go za to, oto,
Grzebiem jak najuroczyściej. —

Więc Anacharsys, barbarzyniec duży,
Nie pytał więcej ni słowa,
Tylko w zapiskach ze swojej podróży,
Taką uwagę zachowa:

»Kto chce świat czyścić i być wiele wartym,
Niech w błocie brnie po kolana..
Dan w tysiąc ośmset sześćdziesiątym czwartym,
Przed przyjściem Chrystusa Pana«.

DUMA O SAMUELU KORECKIM.

Wśród czarnej wieży grobowej podziemi,
Dumał mąż groźny, próżen trosk i trwogi:
Czy się też jeszcze kiedy z ojczystemi
Zobaczy progi?

W trzynastu bitwach grzmieniem niesłychanem
Drętwił dzicz, stare grabiąc jej zabory.
Cóż, kiedy nie mógł z sędziwym hetmanem,
Ledz u Cecory.

Raz z ośmset braćmi w krąg go obegnano,
Pięć dni go siekli groźni najeźdźnicy,
Aż zdradą wzięty, poszedł w plen, z strzaskaną
Szablą w prawicy.

— Kto ci rozkazał, — spytał sułtan dumnie,
W kraj mój, z żołnierstwem wkraczać rozhukanem?
— Nikt, — odrzekł Samuel, — sam tak chciałem: u mnie
Jam tylko panem!

— Widzę, żeś mężny, wolno idź do domu,
Jeśli uchylisz przed prorokiem czoła..
— Wiedz, że Korecki nigdy się nikomu
Kłaniać nie zdoła!

Wściekły od gniewu, sułtan wraz rozkaże,
W najpodziemniejsze wtrącić go warownie:
Lecz wkrótce więzień, omyliwszy strażę,
Uszedł cudownie.

Najświętszą Pannę uczciwszy w Lorecie,
Wrócił do swoich, istny syn światłości,
Gość z po za świata, co choć rad, a przecie
Niedługo gości.

Wkrótce: Cecora!.. Wstrząsł się, i o dziwo!
Zadrzał mąż groźny!.. On, dźwigając pęto,
Widział, jak głowę hetmana sędziwą
Na włóczni zatknęto.

Tyle krwi przeżył, klęsk i hańby tyle!
Raz wtóry żywcem pchnięty w łono ziemi,
Niechby już wreszcie grób był znalazł, byle
Pomiędzy swemi!..

Tak, na żelaznej ręce wsparłszy głowę,
Dumał. Noc była. Wicher rozszałały
Ryczące wściekle głębie Bosforowe
Grzmocił o skały.

Wśród szpar drzwi więźnia, skąd te mdławe brzaski?
Chrzęsy wrzecządze. — Kto tam? — Czausz sułtana
Wchodzi zwiastując, że mu z jego łaski
Wolność jest dana.

Samuel z zadumy podniósł lica blade:
To, co rzekł zwiastun, snać złe jakieś knowa..
Wzrok wrył mu w oczy i wyczytał zdradę,
Lecz nie rzekł słowa.

Wstał, stąpił krokiem, — alic tuż u proga
W padalcze skręty stryczka więź zelżywa
Szyi mu sięga. Zbladł i boleść sroga
Pierś mu przeszywa.

Westchnął, krew wszystką w mężne serce zbierze:
— Boże mych ojców! — rzekł cichemi modły, —
Nie daj, by ginąc, krzyżowe rycerze
Mieli zgon podły!

A wtem mu w krzepkich rękach lew zachrząści,
Drgnął, spadły więzy. W siepaczy gromadzie,
Pierwszego z brzegu ściąwszy młotem pięści
Trupem go kładzie.

Zdobył nóż, siecze... Próżno ku pobudce
Zwiększa się zgraja. Samuel nie zna trwogi:
Dwunastu było, wszystkich sobie wkrótce
Zwalił pod nogi.

Przypadli drudzy, złość w nich jadem wzbiera,
Żelazne drągi garść rozwściekła imie,
I z rykiem runą na kark bohatera
Czernie olbrzymie.

On walczy. Gdy mu z druzgotanej dłoni
Nóż wypadł, barki przyparłszy do ściany,
Szarpie zębami, piętami się broni
Mocarz krwią zlany.

Wzrok mgłą mu zaszedł — on jeszcze zwycięża;
Padł wreszcie, mając głowę roztrzaskaną...
Tylko żelazem żelaznego męża
Przemódz zdołano!

Tak legł złamany ale nieugięty..
Noc była, przycichł wicher rozszałały,
Rozkołysane Bosforu odmęty
Ciężko dyszały.

Jakibądź, Panie, zgon nas przed Twe progi
Pchnąć ma, czy sławny, czy z ręki zdradzieckiej,
Daj nam ku niemu iść, jak szedł bez trwogi
Samuel Korecki.





ZASADY.

Oddycha dla ogółu,
Jasno swój sztandar niesie:
Waryacya! waryacya!
Ssie bliźnich bez skrupułu,
I coraz wyżej pnie się:
Racya! racya! racya!

Stracił i zlikwidował,
Został w jednej kapocie:
Winny! winny! winny!
Trzy razy bankrutował,
Ma składy, sklepy, krocie:
Czynny! czynny! czynny!

Uboga, głodna wreszcie,
Skradła bochenek chleba:
Złodziej! złodziej! złodziej!
Skradł milion — dał na kweście
Aż tysiąc; wielkie nieba!
Dobrodziej! dobrodziej!

Pisze, lecz piruetów
Przed mitrą nie wyrabia:
Zero! zero! zero!
Autorem trzech pamfletów
Na temat: wivat hrabia!
Cycero! Cycero!

Chce obmieść pył z kościoła,
Nie wierzy w Boga-kata:
Przeklęty! przeklęty!
Do biednych »pościcie«, woła,
A sam półmiski zmiata:
Święty! święty! święty!

Pracuje i oszczędza,
Nie poi swe sąsiady:
Sknera! sknera! sknera!
W sercu i w głowie nędza,
Zaprasza na obiady:
Wiwat!... — Et caetera...

OPINIA.

Mój przyjaciel Kalasanty,
Był mężem niezwyklej miary:
Jadł, pił, pożyczał na fanty,
I ciułał bite talary.

Za jakąś wekslową chryję,
Przesiedział rok na uboczu;
Raz dostał w twarz, a raz kije,
Potem, straciłem go z oczu.

Nagle, widzę go w Tryeście,
Z duszą cokolwiek zbolałą;
Miał on majątek nareście,
Ale humoru zbyt mało.

Biedak, lękał się opinii;
Stał się drażliwy i dziki;
Do brata, gdzieś tam, w Wirginii,
Chciał jechać, do Ameryki.

Odradzałem. — Zostań, rzekłem,
Spocznij po żywota trudzie;
Kraj nasz nie jest jeszcze piekłem,
Wierz mi, i u nas są ludzie.

Został. — Podobno we Lwowie
Otwiera dom. — A Wirginia?
Głupstwo! ani mu już w głowie,
Pojechała tam — *Opinia*.



Z ŻYCIA.

Wiek wylęgły w grobach, wzrosły na ruinie!
Straszny dla mnie twój połysk w czartach i w aniołach!
Przeróżająca pieśń twa, co w sercach nam płynie,
I troska tajemnicza na porytych czołach,
I zapach gorączkowy w bezpotomnym czynie!

Nie jednemu, co jęczał po czci twej kościołach,
Co krzyż twój włókł po trudu bratniego wyżynie
I myśl młodą gruchotał w mądrości twej kołach,
Dzisiaj skroń cała — we krwi, nadzieje — w popiołach
Trumnami zawałone pamiętek świątynie.

Życie! duszo służebna prochów i poziomu,
W kształty bytu, jak w kleszcze potworne ujęta!
Tyżeś-to, drobna, cieniem bożego ogromu?!
Iskro woli, w otchłanie konieczności tchnięta!
Ciemna! tyżeś-to rodem z tęczowego domu?!

Gdzieś tam w piersi poetów ma być ziemia święta,
Wielka jak przepaść niebios, czysta od pęt sromu;

Spokojna ciszą bogów, zmasą krwi nietknięta,
A piękna, jak myśl świata w twórczym śnie poczęta,
Jak grecki duch — gdy wyjdzie ze skalnego złomu.

Ach! i tutaj wiek cisnął głównie swych pożarów...
Ideał, rozogniony żądzą i cierpieniem,
Buchając dymem walki ze skarbcą swych czarów,
Przeźrocze nieba swego zbrukał ziemi tchnieniem,
I w deszczu łez roztopił błękit swych obszarów.

Zagaśł promień pogody nad wieszczów natchnieniem...
Wicher życia powiewa wśród ciemnych bezmiarów...
Świat sztuki — zasępiony bojowym marzeniem,
Niezdolny porwać ducha archanielskim pieniem,
Przestrasza zgrzytem gromów i burzą sztandarów.

Nigdzie szczęścia w tym wielkim żywota odmęciel...
Wola zmarniała waśnią, nie dźwignie go z siebie,
Nie odbuduje pieśni potężne zaklęcie,
Od kiedy, po olbrzymim wszystkich wiar pogrzebie,
Piersz człowieka zwątpienia przygniotły pieczęcie.

Świecie typów mych jasných! stań się! wzywam ciebie!
Zlatuj powiewny roju w drżące słów objęcie!
Dam ci życie, krew, miłość, łzy i śmierć w potrzebie:
Szczęścia nie dam — bo w bólu jest twoje poczęcie,
I smutna twoja gwiazda na ludzkości niebie!

ERGO SUM.

Duchu mój senny, bezwładny!
Myśli w mogiły wryta!

Zbudźcie się!... Dość już wspomnienia całunem
Otulać świat, urokiem ciszy martwej zdradny!
Niech lot wasz znowu obłoki powita!
Niech pierś rażona piorunem
Powiew żywota chwycił!

Nie! sił już nie mam! Mój Boże!
Śmierć-że to? — Serce bije!
Nie, nie! — Wszak niegdyś tak wielkim płomieniem
Huczało życie!... Dziś jeszcze pod czaszką się sroży
Rozpaczy wichrem, wzgardą gniewną wyje,
Tęsknotą jęczy, zwątpieniem...
Cierpię — więc żyję!





BEATUS ILLE...

I.

Są dusze wielkie z niebios zesłane,
By ziemskim duszom panować;
W hartowną męstwa stal przyodziane,
Idą niebaczne na ból, zawody,
Pustynie ziemskie zmieniać w ogrody
I ludziom niebo zwiastować...

II.

W duszach tych wzniosłych, już dni dziecięce
Nadziemskie budzą wrażenia;
Dla jednych skarbem: gwary ptaszęce,
Baśń o królownie, fletnia wioskowa...
Będą to z czasem — lutniści słowa,
Będą to męże natchnienia...

III.

Inne — na wzgórek biegną o świcie,
Wschód słońca witać i zorzę;

I szukać blasków w nieba błękitcie...
Gdy pędzel chwycą do dłoni śmiałej,
Ujrysz — jak w martwe płótna kawały,
Przeleją myśli swe boże...

IV.

Innym, zaduma chmurzy blask czoła...
Za ziemskie ścigając cele —
Kreślą na piasku: kwadraty, koła,
Śledzą bieg planet wśród jasnej nocy;
Będą to z czasem mędrcy, prorocy,
Odwiecznych prawd krzewiciele...

V.

Jednym z nich ludzkość wawrzyny spleta,
Posągi stawia spiżowe;
Udziałem innych — zawody świata...
A gdy ich walka z losem się znuży,
Znajdują w końcu życia podróży,
Bolesne wieńce cierniowe...

VI.

Stokroć szczęśliwy, kto w jutrzni życia
Nie czuł za rajem tęsknoty;
Komu się ziemia śmieje z powicia...
Ten w śnie rozkosznym dążyć nie będzie
Tam, gdzie się łamią w wieszczym zapędzie
Duchowych orłów poloty...



WIERZĘ.

Przeciwko burzom i wichrom żywota,
Co gaszą w ludziach święte ognie ducha,
Przeciw zwątpieniu, które myślą miota,
Jak wiotką brzozą śnieżna zawierucha,
Przeciw szyderstwu, co tchnieniem lodowem
Przenika dusze w mroźnej atmosferze,
Bronię się jednym uczuciem i słowem:
Wierzę!

Wierzę: — talizman niezłamanej mocy,
Którym mnie matka uzbroiła święta,
Gwiazdą mi świecił w najciemniejszej nocy,
I dawał siłę zrywać z duszy pęta.
Ilekcroć fale wątlą łodzią chwieją,
Od skał mnie bronił groźących rozbiciem,
Był moją siłą, miłością, nadzieją —
Życiem!

Szydercze śmiechy gdy usłyszysz ucho,
W duszy mej smutnem odbiją się echem,

O trumnę ziemia uderza tak głucho,
Śmiech taki zda się jękami nie śmiechem!
Ach! a pierś owa pustką i mogiłą,
Na której widok łzy płyną do powiek,
Pustką, mówiącą o sercu, co biło,
Gdy był w niej człowiek.

Słyszę te śmiechy... jak pogrzebne dzwony,
Jak śpiew puszczyków huczą naokoło:
Chłubić się wiara — o! to czyn szalony!
Czapkę z dzwoneczkami włożyć mu na czoło!
Niewolnik, wolny wraca do łańcucha
I kocha wiary zardzewiałe kleszcze!
Dziś, kiedy przyszła błoga wolność ducha,
W cóż wierzysz jeszcze?

W co? — świat mej wiary wielki i szeroki:
Dobro i piękno, i prawda i wieczność,
A szczytem jego — błękitne obłoki,
A jego cechą — pogodna słoneczność.
Wszystko co pięknem, czystem jest i białem,
Co tchnie miłością, słodyczą, ofiarą,
Wszystko to duszy mojej ideałem,
Wiarą!

Wierzę w te światła, co ręką matczyną
W dni mych zaraniu w sercu zapalone,
W pomroku życia wciąż błyszczą, nie giną,
Błyszczą i grzeją, a wciąż w ową stronę
Kierują myśli, gdzie w lazurach świeci
Milion gwiazd wiecznych, a ich mleczna droga
Wiedzie do Ojca wszystkich ziemskich dzieci:
Do Boga!

Wierzę, że wieki przeminają jak mary
I pokolenia całe w proch się zwieją;
Sto razy świat się przeobrazi stary,
I tyleż razy zwyczajną koleją
Mądrość zawiedzie — i śmierć hojną dłonią
Miliony mogił porozwiewa wszędzie,
Światy się znużą wieczystą pogonią,
A On wciąż będzie!

Wierzę, że dobra, piękna świat wspaniały,
W Nim ma przedwieczny istnienia początek,
I że ludzkości wszystkie ideały
To Jego myśli szczerozłoty wątek.
Że jest ogniskiem, do którego płyną
Duchy strudzone żywota ogrojcem,
A ludzkość cała jest jedną rodziną,
A On jej ojcem!

Wierzę i w ludzi, że na dnie ich duszy,
Jak na dnie morza czyste perły drzemią,
Że, gdy je ręka miłości poruszy,
Odblaskiem nieba zaświecą nad ziemią;
Że więcej słabych, chorych, niż zbrodniarzy;
Że choć najmocniej szaleństwo opęta,
Jeszcze gdzieś w głębi duszy się rozżarzy
Iskierka święta.

Wierzę więc w przyszłość tej wielkiej rodziny,
Bo chociaż niebo skryje chmur nawala,
Choć grom szaleństwa rozwali w ruiny
Wszystko, co ludzkość czciła i kochała:
Znowu na niebie błysnie jutrznia złota
I tem piękniejsze po nocy świtanie,

Przemienie burza, która światem miota,
Prawda zostanie.

Wierzę, że idziem po postępu drodze,
Chociaż ta droga wiedzie nad otchłanią...
A czem jest krwawy cień w pielgrzyma nodze,
Tem doświadczenia co nam duszę ranią.
W mrokach błądzimy czując strach i żalność,
Co krok — to rany i zawody świeże,
Lecz, że w błękitach czeka doskonałość:
Wierzę!





ZŁOŚNICA.

O! drzę cały, drzę jeszcze, kiedy wspomnę ranek,
Ów ranek, gdy z za białej kotary firanek,
Wyjrzałaś tłumionemi łkaniami wstrząsana;
I słońce nie świeciło nawet tego rana,
I kwiaty nie pachniały — i świat tobie cały,
Wydawał się szkaradny, niewdzięczny i mały.
Tak, mały... — Bo w twej piersi, jak w piersi Nerona,
Wrzała burza namiętna, tyrańska, szalona!
Podnosiła pierś białą, na serce się kładła,
A nawet, gdyś podeszła wreszcie do zwierciadła,
O! zgrozo, oczy były od płaczu czerwone!
Magnetycznie uczułem wtedy, w moją stronę
Żeś zwróciła się drżąca gniewem i pogardą.
A potem, odrzuciwszy z dumą kosę hardą:
— Przebaczyć mi!? — wołałaś — nigdy! Wielkie nieba,
Czerwone oczy z czarnych, czyż więcej potrzeba
Żeby mię zeszkarać! Nie, lustro się myli,
Ach, to lustro fałszywe! czyżby w jednej chwili

Oczy się tak zmieniły i lice tak zbladło?
Jeśli to prawda... Boże! ja umrę z rozpacz...
Ale pierwej się zemścę i Bóg mi przebaczy!
Rozbiję jego serce!«

I... zbiłaś zwierciadło.

Złośnico! figła tobie wyrządę w sekrecie:
W miejsce zbitego lustra, na twej toalecie
Postawię serce moje... A gdy twoje oczy
W rozkochanej się jego zagłębią przezroczy;
Cofną się przed pięknnością nieznaną — choć własną!
Ujrzą twarz, — ale inną: — promienistą, jasną,
Twarz wiecznie jednakową, w jednakiej piękności,
Twarz swej pani, odbitą przez pryzmat miłości!
Tak, przejrysz się w mem sercu... A za to oszczercę
Zwierciadło, ukarane w ów szkaradny ranek:
Ja wezmę na pamiątkę z przed białych firanek,
Przez wdzięczność, że mi biedne ocaliło serce!

PO ŁZACH.

Gołąbko ty moja: co szepczesz tak z cicha?
Z ust słowa zrywają się drżące —
I biegną skrzydlate, jak z róży kielicha
Motyle do słonka lecące.
Co? schylasz się — w oczy mi patrzysz miłośnie,
Śmieją się, powiadasz — i płoną...
A potem twarz moją całujesz zmarszczoną:
O! zmarszczki powiadasz, nieznośne!
I włosy mi gładzisz i pytasz dlaczego
Te włosy, choć kruczą kaskadą

Do czoła mi biega, to czoła nie strzegą
Brzydkiego! od zmarszczek brzydkiego!
O! jasna ty moja! Ty lubisz tak słońce
I kwiaty na słońcu i twarze słoneczne,
I lasy szumiące i chóry piejące
O wschodzie, i słowa serdeczne.
A kiedy grom tętni, gdy burza się sroży,
Gdy jęczą topole w łzach nieba skąpane:
Ty biegniesz Mateńce pokłonić się Bożej,
Słakana — jak niebo słakane.
A kiedy mróz kwiaty pachnące powarzy,
Gdy słońce oziębnie, twarze się zasmuca,
Gdy lasy milczące śpiewacy porzuca,
Po smutnej łyzy płyną ci twarzy...
Tak, płyną... wciąż płyną; lecz słońko majowe
Całusem je znowu osuszy...
I kwiaty do słońca podniosą znów głowę,
I radość powróci do duszy.
Lecz dla nas, nadziei gdy zgaśnie nam słońce —
O! nie drzyj... na długie, gdy w łonie
Chłód wielki zamieszka, gdy zziębłą gorące
Uśmiechy — i serca — i dłonie...
Ptak-miłość odleci, a w duszy zaśpiewa
Ironia, — gdy rozpacz morderca
Zabiera łez jady, — i wciąż je przelewa
To z serca, to znowu do serca:
O! wtedy jest chwila, gdy wreszcie zwycięskie
Łez fale, kurcz powiek roztrąca,
I na twarz się lawą wyleją gorącą...
Drzyj moja gołąbko!... łyzy męskie —
Okropne łyzy!... przejdą po twarzy, po bladój,
Zawstydzą się, w serce odpłyną:
Lecz żar ich na twarzy zostawił już ślady,
Tak, ślady co nigdy nie zginą!

A matka twarz taką przeżegna ze łzami;
A ojciec ze czcią ją powita;
A moja maleńka obejmie rączkami —
I zmarszczki: — od czego? — zapyta.





EL MOLE RACHMIM *).

To było na podwórku żydowskiego domu,
W letni wieczór. Dostałem się tam pokryjomu.
— Wiara, zamiast jednoczyć, dzieli i oddala —
Wśród murów poruszała się głów czarnych fala:
Żenił się Icek, waciarz, z tandeciarki córką,
A goście i ciekawi zalegli podwórko.

I miejsce było szpetne i ludzie zwyczajni.
Kilka zbudzonych gęsi gęgało przy stajni,
Na poręczach galeryi pościel się wietrzyła,
Z kuchni woń ryb skwarzonych płynęła niemiła,
A w kącie, dwie akacye marły na suchoty.

Niebo od gwiazd błyszczało jak — szabaśnik złoty,
Obłoków nie plamiła nawet chmurek wełna,

*) Od słów »El mole rachmim« (Boże, pełen miłosierdzia!) zaczyna się żydowska pieśń za umarłych. Podczas obrzędu ślubnego, jeżeli jedno z narzeczonych jest sierotą, pieśń tę odśpiewuje *chazen*, czyli kantor.

I noc była królewskiej wspaniałości pełna.
Icek stał pod szkarłatnym, starym baldachimem,
W odświętnych sukniach, światłem obłany i dymem.
Był to śniady wyrostek, pół-mąż, a pół-dziecko.
Miłość u żydów chwyta człowieka zdradziecko,
Z zamkniętymi oczyma wiedzie nad otchłanie,
I w objęcia kobiety rzuca niespodzianie.

Tłum składały powszednie postacie z ulicy,
Ludzie, których się widzi w dzień na targowicy:
Tandeciarze, faktorzy, przekupnie, tragarze;
Gorączka rozpałała brodate ich twarze,
A złociło je światło woskowych *hawduli*,
(Świeczek, w których się płomień do płomienia tuli,
Jak w plecionym z błyskawic mieczu archanioła).
Chwilami, nakształt kłosów chyliły się czoła.
Szwargotali, lecz obrzęd nie zdał się żadnemu
»Uroczystą śmiesznością« jako Beaumarchais'mu.

Icek zakrył twarz chustką, a jeden z gromady,
Nie kapłan, lecz człek zwykły, — bardziej tylko błądny
I smutniejszy od innych, — wzrokiem wodząc wkoło,
Śpiewał. Pieśń, choć weselna, nie była wesołą.
Dwóch chłopców kędzierzawych wtórzyło jej krzykiem,
A tłum cały szemranie, pół rzewnem, pół dzikiem.

Patrzyłem na ten obraz ciekawie, lecz zimno.
Icek, choć skryty chmurą świetlaną i dymną,
I poważny na śmieciach, jako przed ołtarzem,
Był dla mnie tylko Ickiem, ubogim waciarzem.
I w innych nie widziałem nic poetycznego:
Zdawali mi się ludźmi zwykłymi, co strzegą
Z równą pilnością bród swych, jak — wiary i mienia.
Próżno od blasków nowiu i od świec płomienia,

Śniade lica ich brały tajemnicze piętno:
Zaden nie nęcił twarzą natchnioną lub smętną.

Nagle, śpiew ucichł. Rzekłbyś, że — rozwiął się w dali.

Otwarto z trzaskiem okna od weselnej sali,
Kędy oblubienica, pośród niewiast grona
Siedziała, płacząc. *Chazen* wzniosł nad nią ramiona,
(*Chazen* o skrzących oczach, z patryarchy brodą)
I wspomniał o jej ojcu który umarł młodo,
I którego dziś brakło przy rodzinnym święcie...
Płacz na to powstał wielki, a on, przy lamencie,
Przy niewieścich szlochaniach i łamaniu dłoni,
Zawiódł pieśń, która nutą pogrzebową dzwoni:
El mole rachmim...

Najprzód, choć łzami wezbrana,
Pieśń płynęła spokojnie, niosąc do stóp Pana
Ból serdeczny, rozwagi wstrzymywany siłą.
Tak płacze syn dorosły nad ojca mogiłą.
Potem, przesiąknięty smutkiem, który z grobów wieje,
Traciła po iskiecie wiarę i nadzieję,
Rosła w moc, i porwana zamętem boleści,
Topniała w łzach gorących i w skardze niewieściej.
Już nie jednej mogiły, lecz grobów miliona,
Stała się głośną płaczką, i z bólu szalona
Biegła, nad cmentarzami zawodzić starami,
Nad kośćmi Izraela, co po całej ziemi
Rozsiane są, jak piasku bezpłodnego ziarna,
I nad tem, że ta siejba będzie może marna,
I nad tem, że na grobach chwast wyrasta głuchy,
I nad tem, że skarłały słabe synów duchy,
I że ta noc niewoli tak długa, tak długa!...
Już jej nic nie więziło; rwała się jak struga,

Kiedy po burzy w rzekę zmieni się spienioną.
Śpiewak miał iskry w oczach i drgające łono,
A czoło, które odkrył, w tył zsunawszy czapkę,
Ciekło potem. Śpiew wzruszył nawet starą babkę,
Którą paraliż trupem uczynił i skałą:
Szkło jej źrenic, na poły martwych, zapotniało.
Wszyscy w izbie płakali, zdjęci wielkim żalem;
A kiedy *Chazen* wspomniał świętą Jeruzalem,
Matkę, która choć zdala, białą twarzą świeci,
Od wieków już umarła dla swych pierwszych dzieci...
Gdy wspomniał bezlitośne losów okrucieństwo,
Nędzę, prześladowanie, tułactwo, męczeństwo,
I szczęście utracone na zawsze, na zawsze —
Boleść stała się żywszą, rany serca krwawsze,
Po izbie szła rozpachy powiał tchnieniem dzikiem,
I zawrzała ogromnym, beznadziejnym krzykiem...

Stuchałem pieśni z łonem czułością wezbranem;
I ci ludzie, skarżący się głośno przed Panem,
Dumni wielką przeszłością, bólem wielkim śmieli,
Dziwnie wzrosli w mych oczach i — wyszlachetniali.

Nie widziałem już szpetnych plam na baldachimie,
Nie raził mnie strój Icka, ani Icka imię,
Znikła dla mnie powszedniość z tych brodatych twarzy,
I stałem się jak człowiek, co na jawie marzy.

Podwórko... Nie, to była już kwietna dolina,
Kędyś, u stóp Libanu, co się w niebo wspina,
I lasem ciemnych cedrów szumi, jakby śpiewał.
Księżyc na tę dolinę zdroje srebra zlewał,
Niebo ją nakrywało kryształowym dzwonem,
Pustynia przewiewała tchnieniem rozpalonem,
A palmy ochładzały wachlarzami z liści.

Między ziemią i niebem nie było zawiści;
Twarz Jehowy patrzyła z góry uśmiechnięta,
Błogosławiąc dolinę, ludzi i jagnięta;
Tłum wiernych szeptał modły i kłaniał się Panu,
W powietrzu pływał zapach nardu i szafranu,
Strumień jak wąż rozwijał srebrnołuskie sploty...
A gwiazdy tak błyszczały, jak szabaśnik złoty.

NA KANONII.

Mieszkałem wówczas na Kanonii
W sąsiedztwie nieba;
Słuchałem z bliska sfer harmonii
I czciłem Feba.
Życ mię uczyła uśmiechnięta
Pieśń Horacego;
Kochałem książki i dziewczęta...
Cóż w tem zdroźnego?

Choć poemata moje pierwsze
Brano pod placki,
Co noc pisałem wściekłe wiersze
A la Słowacki;
I zamiast ślęczyć bez wytchnienia
Nad Corpus juris:
Stawiłem uśmiech i spojrzenia
Warszawskich hurys.

Raz mię opętał wzrok sąsiadki
Miłosnem lichem;
(Bo amor stawia swoje siatki
Nawet pod strychem).

Lecz miłość rzadko dla poetów
Przynosi szkodę:
Palnąłem wtenczas sześć sonetów
I jedną odę.

Życie wśród marzeń biegło cicho
Niby idylla...
Snów mi nie truła serca pychą
Żadna Maryla;
A chociaż pieśniom wtórowało
Miauczenie kotów:
Do śpiewu przecież, jedząc mało,
Wciąż byłem gotów.

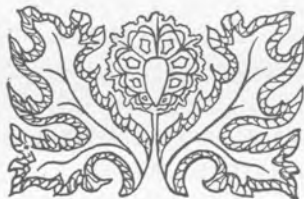
Obok mnie, liczną chował dziatwę
Szewc kuternoga;
I do pułapu wznosił dratwę,
A głos do Boga...
Bez przerwy walcząc z nędzy biesem,
Szył w dzień i w nocy:
Ten szewc mię uczył przed Smilesem,
Samopomocy.

Drugi mój sąsiad był artystą
Na klarynecie;
Grywał nieczysto a pił »czystą«,
Jak to na świecie!
Co noc mordował bez litości
Włoski Karnawał:
Ten znów talentów znikomości
Przykład mi dawał.

Trzeci, szczęśliwy ze swobody,
(Był emerytem),

Wypijał dziesięć szklanek wody
Zaraz ze świtem;
Zielone nosił okulary,
A czarny plaster:
Chował kanarków cztery pary
I palił kraster.

Dość było figlów i pustoty
W tem kółku naszym,
I nieraz śmiechów huczne grzmoty,
Trzęsły poddaszem.
Śmiał się artysta z emerytem
A szewc z poetą:
Tak się jednoczą, różne bytem
Cienie nad Letą...



BAJKA
O NAJPIĘKNIEJSZEJ Z KRÓLEWIEN.

Był król jeden, człowiek starodawny,
Czarnoksiężnik w całym świecie sławny —
Miał rozległe ziemie, jasny dwór,
I dwanaście miał rodzonych cór.
Wszakże wdzięki jedenastu bledną
W porównaniu z tą dwunastą, jedną,
Najpiękniejszą z wszech królewskich cór.

Jako pszczoły wśród wiosennej niwy
Kwiat upatrzą sobie osobiwy,
Do którego wszystkie rade lgną,
Lubo, inne, wdzięczne, marnie schną:
Tak wśród jasnych owych dziewic grona,
Zalotników celem tylko ona —
Ona jedna kwitnie, tamte schną.

Lecz królewna pełna też i dumy,
Zdała trzyma zalotników tłumy,
Wszystkich zbywa słowem tem raz wraz:

»Sercu memu jeszcze snuć nie czas!
»A toż przecie, spojrzcie jeno waście:
»Oto siostr mych macie jedenaście,
»Których sercu snuć już wielki czas«...

W siostrach zazdrość gorzka się roznieci:
»Ojczce! — rzekną — cóż, że my tve dzieci,
»Kiedy ona wszystkim dźierży miód...
»I urodę ponad cały ród.
»Dasz-że królu dla jednego listka,
»By zmarniała twa latorośl wszystka,
»Upośledzać dasz swój cały ród?«

Potrząsł król sędziwy światłą głową,
Wszystkie dzieci kochał jednakowo;
Myślał chwilę, wreszcie kończąc swar —
Ten z królowną śliczną czyni czar:
»Duchy! — krzyknij — stwórzcie dla mej panny,
»Bursztynowy dwór na górze szklanej —
»Czarodziejce, niechaj służy czar!«

Rzekł — a szklane pnie się w lot urwisko,
Wyżej, wyżej — a już niebios blisko,
Kędy sklepi się słoneczny stwór,
Bursztynowy wznoszą duchy dwór;
I królownę wraz też czar osiła,
Niewidzialne zaszeleszczą skrzydła
I w podniebny ją unoszą dwór.

Sen zaklęcia zmorzył wnet królownę,
Lecz zostały w niej uczucia rzewne:
Żal za światem, żal daremnych dni —
Widmo życia w sennem sercu lśni,
Ciągłe postać się jej jedna marzy,

Aż zatęskni: rychło-li los zdarzy
Ujrzeć gwiazdę co w jej sercu lśni?..

Król tymczasem z tronu swego wstaje,
Idzie między zalotników zgraję
I tak rzecze: »Niech wie cały świat,
»Komu ja, król-ojciec, będę rad:
»Jest-li gdzie młodzieniec taki śmiały,
»Co sprowadzi pannę z szklanej skały,
»Weźmie ją! takim będę rad!«

Ledwie rzekł, obruszą się gachowie,
Wrzasną: »Alboż lotni my orłowie?
»Patrz starego! mądry gdyby żyd!«
Mierzają okiem szklanej góry szczyt,
Szklaną stromość mierzą — nie przelewki!
»Królu — mówią w końcu — tamtej dziewczki
»Nie dobieżem! duchów jest jej szczyt!«

»O! te dla nas... Panny, wasze szczęście!
»Jedenastu świta dziś zameżcie«...
Wtem, jak wiatr przypadnie rumak; — z grzyw
Para skrzydeł rwie się — istny Gryf!
»Wiara lasza! hej, jak mknij — widzicie?
»Sadzi w górę — wyżej — już na szczycie!«
Czarodziejkę wziął wyśniony Gryf.



SIEROTKA.

— Dlaczegoś, papo, tak czarno ubrany?
Na gości czekasz dziś może?
Sukienkę wdzieję nowiutką, w falbany,
I włoski w loczki ułożę.

— O będzie dziecię, dziś gości tu wiele,
Lecz nikt ci bajki nie powie...
Ksiądz proboszcz przyjdzie, co chrzczył cię w kościele,
I przyjdą czarni panowie...

— Dlaczegoś, papo, tak smutny i blady,
A w oku twojem łza wieczna?
Czy po mnie idą ulicą te dziady?
Ach! przecież byłam tak grzeczna!

— Z bezsennej nocy mam bladeść u czoła...
Nie płaczę, ptaszko ma droga...
Zaś dziadki idą do kruchty kościoła,
By prośby zanieść do Boga...

— Dlaczego, papo, u mamy tak ciemno,
I pachnie, jakby w kaplicy?
Dlaczego łamiesz twe ręce nademną,
Gdy dzwon zahuczy z ulicy?

— Tam grządki twoje w ogródku, me dziecię,
Podlewać pewnie zaczęto...
Stąd zapach kwiatów, zwyczajnie jak w lecie,
A dzwonią dzisiaj... bo święto.

— Ty milczysz, papo i służba strapiona;
A chociaż płaczę od wczora,
Wpuścić mnie nie chcą do mamy — a ona
Samotna leży i chora!

— Więc na paluszkach pójdz ze mną powoli,
Jej bóle pewnie ustały.
O tak, pieśczołtko... już nic ją nie boli...
Śpi cicho... skarbie mój mały...

— A więc jej nie budź... Wzbronione dziś krzyki...
A zato jutro, pieśczołtko,
Zawiodę ciebie, gdzie czarne krzyżyki,
Gdzie ptaszki nuć tak słodko...

— Tam, przy sosence, pagórek urosnie,
A ja cię wezmę na ramię,
Zaniosę jutro... klękniemy przy sośnie
I gwarzyć będziemy... o mamie!



BOLESŁAW
CZERWIENSKI

1852 *1888*

KTO SILNIEJSZY.

Hej, na górze wyniosłej
Zamek sterczy wysoki.
Stopy myją mu fale,
Głowę czeszą obłoki...
Nad nim, złota chorągiew
Igra z wiatrem, powiewna —
A w tym zamku król wielki,
A w tym zamku — królowna!

»Hej, rycerze! Kto siłę
»Z was największą okaże,
»Temu konia bachmata
»I rynsztunek dam w darze;
»I sokoła z kapturem,
»I pułhary złoczone,
»I połowę królestwa,
»I mą córkę za żonę!«

A więc jeden podskoczy:
I ogromnem ramieniem
Z ziemi skałę, co rośła,

Wyrwał z twardym korzeniem.
Za nim drugi podskoczył
I nie długo się bawił,
I na miejscu wyrwanej,
Drugą skałę postawił...

Król sędziwy wyrzeczę:
»Siła w obu was równa,
»Więc, którego z was zechce,
»Niech rozsądzi królowna!«
Jak malina dziewczeczka
Schyla modre oczęta:
»Burzyć, ojczy, rzecz wielka,
»Lecz budować — rzecz święta!

»Komu oddać mą rękę,
»Ja nie waham się chwili.
»Lecz twe słowo monarsze
»Niechaj szalę przechyli!«
Król z łąką w oku spoziera
Na obydwu rycerzy:
»Który skałę postawił,
»Temu dank mój należy...

»Tyś witeziu silniejszy,
»Niż najwięksi moczarze;
»A więc tobie bachmata
»I rynsztunek dam w darze...
»I sokoła z kapturem,
»I pułhary złoczone,
»I połowę królestwa,
»I mą córkę za żonę!«

MATKA.

Gdy przy boku niewiasty zakwili dziecina,
Nowe się dla niej życie, nowy świat zaczyna...
Przeszłość, przyszłość, świat, wszystko, dla niej w nicość
tonie,

Bo wszystkim dla niej dziecię, które ma przy łonie...
W niem widzi ból i szczęście, radość i rozpacz,
Śmiechem dziecka się śmieje, płaczem dziecka płacze;
W dwójnasób czuje radość, łzy i niepokoje —
Zaczyna żyć za dwoje i cierpieć za dwoje...
Modląca się nad dzieckiem z pochylonem czołem,
Jest anielskim człowiekiem — i ziemskim aniołem!...
Kiedy dziecię z uśmiechem wyciągnie rączkę,
Cała zmienia się w miłość, szczęściem wniebowzięta;
I nadziemskim uczuciem swem rozeskrzydłona,
Świat cały, wraz z dziećciem przytula do łona!
Lecz kiedy do kolebki choroba zagości,
Kiedy wróg się przybliży, co nie zna litości —
Anioł zmienia się w lwicę, co swych piskląt broni...
Ustąp, widmo straszliwe! nie zbliżaj się do niej!
Precz szatany! Któż widok jej znieść się ośmieli?
Wszak ma szpony orlicy — w oku łzę gazeli!
Dziecię wzrosło... Jak motyl na słońce wylata
Zbierać miody rozkoszy z ciernistych róż świata...
Lecz kiedy tylko słodycz ssą usta dziecięce,
Matka ciernie usuwa, krwawiąc święte ręce,
I bez tchu prawie dąży za swym skarbem w ślady,
By strzedz je od nieszczęścia, od burzy, od zdrady!...
Lecz dziećciemu za ciężka matczyna opieka...
Nie zważając na prośby wciąż dalej ucieka,
Niewdzięcznością odpłaca za miłość matczyną,
Nie zważa na łzy święte co jej z oczu płyną,

Ni na ten miecz co serce jej biedne przenika,
Gdy za nią boża kara ściga niewdzięcznika!
A ona? Wciąż jednak, święta, miłująca,
Jakby grzech, gniew swój słuszny, od siebie odtrąca,
Żyje tylko nadzieją, że wróci zbłąkany,
Że miłosnem swem tchnieniem zagoi mu rany,
Które każdy syn ludzki odbiera od świata...
Z takich smutnych nadziei żywot jej się splata!...
Żywot jej — krzak ciernisty u stóp zimnej skały,
Na którym czasem błysnie kwiat błądy i mały,
Lecz w krzewie tym, najświętsza część Bożego ducha,
Z niego, jak na Horebie żar miłości bucha:
Ogień, zamienia w popiół rdzeń świętego drzewa,
Lecz daje innym życie — i światło rozlewa.
Miłość matki za grobem nawet jeszcze działa,
Jako wspomnienie święte, jako kształt bez ciała;
Nad sierotą unosi się dusza matczyna,
I, że miłość jest szczęściem, wciąż jej przypominna!...
Miłości macierzyńska! W matki mej osobie
Schylam czoło przed tobą i hołd składam tobie!
Tyś potężna i święta... Kto ciebie nie czuje,
Świat go winien żałować — i ja go żałuję!



U WRZECIONA.

Uwiązana u wrzeciona,
Które u nóg mych wiruje,
Szybko, szybko, jak szalona,
Nitka się srebrzysta snuje.
Silniej dłonią tylko rzucę,
To zależy od mej chęci:
Tak przydłużę lub tak skrócę,
Aż wrzeciono się zakręci,
I pochyłe tocząc kręgi,
Zafurgocze i popłynie,
Wiotkiej przędzy chwyci wstęgi
I w srebrzystą nitkę zwinie.

Gdyby można tak marzenia
Zmienić w długą, złotą nić...
Bez spoczynku, bez wytchnienia,
Wić je wszystkie, wić i wić!...
Gdyby można chwycić tęczę,
Z nieba blaski wszystkie zzuć,
W róż obwinać się obręczę,
I z tej przędzy snuć i snuć!

Gdyby można... Ach! za mało
Godzin, Boże! dałeś mi!
Wreszcie wrzecion by nie stało,
Na te wszystkie złote sny!

Snuj się nitko! snuj marzenie!
W różnobarwny pas tęczy...
Płacz się w blaski, światła, cienie,
W sznur się przemień koralowy.

Wyplłyn na ten próg, za wrota,
Na zielone łąk przestrzenie...
Snuj się nitko! snuj marzenie!
Serc dziewiczych maro złota!

Wionął zdała wietrzyk cichy,
Przez staw srebrne przeszło drzenie...
Snuj się nitko! snuj marzenie!
W splot powojów, w róż kielichy!

Wyplłynęła łódź z młodzieńcem,
Gdzie się kładą od wierzb cienie...
Snuj się nitko! snuj marzenie!
Za tą łódkę płyn fal wieńcem.

Wioślarz podniósł twarz z nad wody,
Wzrok zapuścił w gajów cienie,
Snuj się nitko! snuj marzenie!
Kogo szuka wioślarz młody?

Postać piękna, silna, rosła,
Wąs w jedwabiu, włos w pierścieniu...
Snuj się nitko! snuj marzenie!
Deszcz brylantów pada z wiosła.

Gdzie on płynie w cichym biegu?
Zwrócił na mnie wprost spojrzenie...
Snuj się nitko! snuj marzenie!
Błysły pluski fal u brzegu...

Przybił... skoczył... Już koło mnie,
Piersią rzucił jak wiatr tchnienie...
Snuj się nitko! snuj marzenie!
Zaczął cicho szeptać do mnie.

Płyną słowa ciche, drżące,
By arfianych strun brzęczenie,
Snuj się nitko! snuj marzenie!
Rozbudź echa w sercu śpiące.

Czuję ogień w piersi, w skroni,
I stuk serca i krwi wrzenie...
Snuj się nitko! snuj marzenie!
Arfa dzwoni... dzwoni... dzwoni...

Co on mówił, żem tak trwożna,
Stała w drzew schowana cienie?
Snuj się nitko! snuj marzenie!
To oszaleć było można!

Szeptał: »kocham!...« Dźwięk uroczy
Ginął szmerem jak westchnienie...
Snuj się nitko! snuj marzenie!
Jam spuściła na dół oczy...

On przytulił mię do łona,
I poczułam ust płomienie...
Snuj się nitko! snuj marzenie!
Wieńcem kwiatów płyn w ramiona.

Zmierzch wieczorny upadł z góry,
Księżyc rzucił w dal promienie...
Snuj się nitko! snuj marzenie!
W haft koralów, w pereł sznury!

Coś zbudziło echa gaju,
Coś splątało drzew półcienie...
Snuj się nitko! snuj marzenie!
Wiedź do nieba, wiedź do rajul

Świecą marzeń jasne sploty,
Jak północnych gór kamienie...
Snuj się nitko! snuj marzenie!
Na mym palcu pierścień złoty!

Ślub, wesele, tan, swoboda,
Rozkosz, szczęście, upojenie!...
Snuj się nitko! snuj marzenie!
Dom opuszcza panna młoda.

Rozjechali się druźbowie...
Jak mi serce drży szalenie!
Snuj się nitko! snuj marzenie!
Przyszedł do mnie... Co on powie?

On... Ja tylko!... Brzękło w ciszy
Z pocałunkiem ust, westchnienie...
Snuj się nitko! snuj marzenie!
Nikt nie widzi, nikt nie słyszy!

Jak gołąbka staję złąkła...
Zmierzch nadpłynął... noc, milczenie...
Snuj się nitko!... — Ach! nić pękła
I wionęło w dal marzenie!



LEGENDA O ZŁEJ MACOSZE.

Raz było tak, że pod mogiłą
W trumnie leżała matka jedna,
Śmiertelnym snem zmożona wcześniej;
Sześcioro dzieciak zostawiła...
Sierocy płacz słyszała we śnie
I płacz ten w grobie ją obudził.

Słucha — i słyszy w jednej chwili,
Że tam najmłodsze jej dzieciątko,
Po nocy coś żałośnie kwili,
I że sierotki jej się żalą.

Jakżeż to matce słuchać w grobie,
I nie zapłakać choćby w trumnie?
Więc ona żalem wielkim zdjęta,
Dźwignie swe wyschłe, martwe ręce
Z świętym obrazkiem Maryi Panny,
I tak Przczystej się Panience
Modlić zaczyna: — »Panno święta!
Wszakżeś Ty także matką była,
Wszakżeś kochała swego Syna,

Więc męką Jego skróś przejęta,
Wiesz, co to boleść jest matczyna.
Tam się dziecieczki moje skarżą,
Aż tu ich płacz mię w grobie budzi,
Tak lamentują w swej niedoli...
Uproś, Panienko, swego Syna,
Niech mi odwiedzić je pozwoli!
Wszakżeś Ty dziełek mych Patronką,
Ulituj że się smutku mego!
Zanim na niebo wejdzie słońko,
Znijdę do grobu znów ciemnego,
Tylko mię puść, ach! puść do dzieci!
Niech je otulę chociaż trochę,
Niechaj upomnę złą macochę,
Tylko mię puść, ach! puść do dzieci!«

Podparła wieko całą siłą,
Aż jej się samo otworzyło,
I wyszła z grobu o północy.
Przeszła przez wioskę po ciemności;
Psy jednak wiejskie ją poczuły
I wyc zaczęły... Idzie, idzie,
Doszła pod chatę wreszcie swoją,
Gdzie pod oknami malwy stoją
I kędy stara grusza rośnie.
A z chaty, dzieci jęk żałośnie
Na cichą nockę się wykrada.
Poznała ją mężowska chata,
Poznały wrota, i dla zmarłej
Na ścieżaj same się rozwarły.
I skrzypiąc jęły opowiadać
Nieboszczce, o jej dzieci losach...
I stara grusza ją poznała,
Co stała tuż przy starych wrotach,

I także szmerem smutnym, cichym,
Opowiadała o sierotach.

Weszła do izby zmarła matka,
Jakby cierniową przeszła drogą.
Spójrzy: na słomie jej sieroty,
Z głodu i chłodu spać nie mogą.
Księżyc się przebił po przez chmury,
I zajął blaskiem izbę całą.
Tylko stanęła w samym progu,
Najmłodsze dziecko ją poznało
I wyciągnęło swe rączyny,
I chciało do niej pełzać samo;
A inne z lękiem i nieśmiało
Wołały na nią: »Mamo! mamo!«
A kiedy z nią się oswoiły,
Nuż przed nią żale swe rozwodzić...
Najmłodsze nie umiało chodzić,
Średnie dzień cały głodne były,
Najstarsze pacierz zapomniało,
A wszystkim źle, ach! źle się działo...
Wyschłe rączęta jako wióry
Sześcioro wzniosło ich do góry,
I bose, nagie, głodne, drżące,
Ku niej garnęły się płaczące.

Taki ją przejął żal okrutny,
Na widok tej gromadki smutnej,
Że odwróciła oczy łzawe
I osunęła się na ławę,
Od łez nie mogąc rzec ni słowa.

Dopiero po niejkiej chwili,
Ocknęła się w niej nowa siła;

Więc wpierw najmłodsze nakarmiła,
I, jako za żywota swego,
Jadła dzieciętkom nawarzyła,
Główki cesała, liczko myła;
A potem klękła z niemi razem,
By zmówić pacierz przed obrazem,
I Boga pięknie przeprosiła,
Że te biedoty zapomniały,
Modlić się bez niej przez rok cały.
»I odpuść Ty nam nasze winy«,
Mówiła płacząc rozżalona.
A za nią, słowa te dziecińcy
Szeptaly, tuląc się do łona
Matki, co przysła w odwiedziny,
Z ciemnego grobu do ich chaty...
Za męża też się pomodliła,
Aby mu winy Bóg przebaczył
I w łasce swojej mieć go raczył.

Tak utuliwszy sierot szlochły,
Poszła do łoża złej macochy,
I ze snu ją zbudziła sama.
Ta oniemiała z przerażenia...
Mówiła jej: — »Patrz, to ja stoję!
Ja, matka z grobowego cienia,
Przyszłam do twego rzec sumienia:
Kobieto! szanuj dzieci moje!...«
Spojrzała smutno i surowo,
Skinęła po tem ku niej głową
I w drzwiach zniknęła w ciemnej sieni.
A na podwórku psy zawłyły.

Macocha spojrzy ledwo żywa;
Patrzy, a oto przed nią splywa

W miesięcznym blasku Matka Boża...
I staje sama u jej łoża,
I w takie słowa się odzywa:
»Pomnij na nocy tej przestroge,
Zmień serce, bowiem mówię tobie,
Że w dzieciach krzywdzisz matkę w grobie!
Zmień serce, — więcej rzec nie mogę«.

Zniknęła jasność i widzenie,
Noc swoje znów zastała cienie,
I tylko psy zdaleka wyły.

Duch matki wracał do mogiły.



ALLEGRO.

O! chciałbym ja pisać uśmiechem i łzą
Tej piosnki każde słowo!
Tak czuję wciąż jeszcze, jak usta twe drżą
Na ustach mych, królowo;
Tak czuję, że myśli twe blisko gdzieś są,
Że krążą nad mą głową.

Na świecie my dwoje: ja tylko i ty
I jedna miłość nasza.
Snów nawet miraż pierzchnęły jak mgły,
Gdy świt je rozprasza.
Królowo, a pocóż nam mary i sny,
Gdy weszła miłość nasza?

Ach! życia tak krótko wiosenny dzień trwa,
A pieśń, to wiosny kwiat...
Ach! całuj!... kwiatami niech u stóp twych ja
Uścielę cały świat!
Że pieśnią ust twoich żyć będzie czerń ta,
Przez wiele, wiele lat...

Tyś piękna, jak piękną jest miłość, jest Bóg,
Jak myśl, co gwiazd dosięga...
O! gdybym słowami powiedzieć ci mógł
Jak wielka to potęga!
Madonną tyś moja, — bo pięknem jest Bóg,
Przed którym świat się korzy!

O! powtórz, że wierzę, o powtórz ty mnie,
Że wierzę w miłość twoją...
Czy życiem uroczy sen taki się zwie?
Czy mamy świat cały, czy tylko ja śnię,
Tak wierząc w miłość twoją?

Ja wierzę! Czy wiesz ty co znaczy to słowo,
Co szczęście w sobie mieści
Dla serc, konających pod łzą granitową
Zwątpienia i boleści?
Ty nawet nie pojdziesz jak jedno to słowo,
Upaja, cieszysz, pieścisz!

Słonecznym promieniom wróciłaś ty moc,
Wróciłaś powab ziemi.
Patrz, życia mojego rozświetla się noc,
Zorzami różowemi;
I z cichym szelestem łamiących się fal,
U stóp aż twych kładą jej cienie, a w dal
Blask płynie po nad niemi...

Z ustami na ustach tak skonać bym chciał,
O miłości wiecznej mówiąc ci,
Owionięty pożarem twej krwi,
Z aniołem, co o niebie śni,
Demoniczny dzieląc szal!

* * *

Ty mnie kochasz! Widzę cię przez łzy,
Co mi błysły w oczach mimowoli,
Pochyliłaś się nademną ty...
Oto widzę w oczach twych tę całą
Szczęścia cichą, świetlaną krainę:
Życia mękę serce przeboleło.

Ja cię Kocham! Kocham!
Wiesz, tam w niebie
Aniołowie tem słowem się modlą...
Ja się modlę także: Kocham Ciebie!

ROZMOWA.

Szliśmy aleją wzdłuż ogrodu,
Zrywał się chłodny wiatr od wschodu,
Konało słońce w pełnym blasku,
Cień na wilgotnym kładł się piasku
U stóp jesionów, chmur gromady
W dal przebiegały lazur błądy,
Z drzew opadały zwiędłe liście...
Rzekłem ja do niej uroczyście:
— »Pani!...«

I szliśmy milcząc dalej.
Czułem, że skroń się moja pali.
Że twarz potoki krwi zalały,
Żem jak osina drżący cały,
Że się w żrenicach łza przecieka...
Stanowcza chwila była bliska;
Więc wzrok mój znowu spoczął na niej,
I powtórzyłem z wolna: — »Pani!...«

I szliśmy dalej w zamyśleniu.
Zachód przygasał w oddaleniu.
Wchodziły gwiazdy na niebiosą,
W krąg rozsiewała perły rosa,
Wiatr z pól zamglonych między drzewy,
Coraz chłodniejsze siał powiewy,
W lekką chusteczkę otulona:
— »Chodźmy do domu«... — rzekła ona.

Odważny tylko swego dopnie!
Gdyśmy na ganku weszli stopnie,
Pełen wewnętrznych walk i smutku:
— »Pani!...« — szepnąłem pocichutku.
Lecz ona widząc jak się żarzy
Wzrok mój, i bladość widząc w twarzy,
Wryte na niej męki piekła:
— »Dobranoc!...« — smętnym głosem rzekła.



ODŁOGIEM LEŻY ROLA.

Hej! odłogiem leży nasza rola,
Choć są ziarna, nie ma rąk do siania,
Twardą będzie dzieci naszych dola,
Twardą będzie, pełną krwi i łkania.
Gdyż odłogiem leży nasza rola,
Choć są ziarna, nie ma rąk do siania.

Na sąsiednich zagonach dokoła,
Tak się tłumnie roi lud roboczy,
Kraje bruzdy, choć pot ciecze z czoła,
Piel zielisko, choć zachodzą oczy...
Na sąsiednich zagonach dokoła,
Tak się tłumnie roi lud roboczy.

My na miedzy, co dzieli dwa łąny,
Nasz i obcy, w wierzb płaczących cieni,
Zapadliśmy snąc w sen nieprzespany,
Usnęliśmy, snąc rychło znużeni,
Na tej miedzy, co dzieli dwa łąny,
Nasz i obcy, w wierzb płaczących cieni.

Wicher ku nam od mogił zawiewa,
I jak złodziej do wnętrza się wciska,
Myśl podcina, że już nie dojrzewa,
Studzi zapach, tak, że już nie błyska!
Ach! ten wicher, że ku nam zawiewa,
Od tych mogił i w wnętrze się wciska.

Prawda, ludzi, chodzących w żałobach,
Trudno winić, że cmentarz ich życiem,
Że szelesty, poczęte na grobach,
Są ich marzeń serdecznych spowiciem, —
Prawda, ludzi, chodzących w żałobach,
Trudno winić, że cmentarz ich życiem.

Lecz grób smutkiem, smutek to bezczynność,
A czas płynie i żniwo się zbliża:
Hej! ubiegnie sąsiadów nas zwinność,
I plon zniesie do swego spichlerza.
Nas zagłodzi ta smutku bezczynność,
Gdy czas płynie i żniwo się zbliża.

Ach! odłogiem leży nasza rola,
Choć są ziarna, nie ma rąk do siania;
Twardą będzie dzieci naszych dola,
Twardą będzie, pełną krwi i łkania.
Gdyż odłogiem leży nasza rola,
Choć są ziarna — nie ma rąk do siania.

POWRÓCIŁY BOCIANY.

Powróciły do domu bociany,
Hen, z zamorskiej powróciły ziemi;

Słonko blaski grzeje promiennemi,
Kwiat po łąkach lśni się rozsypany,
Dźwięczą srebrne rzeki,
Szumi bór daleki,
Żywiczne śląc zapachy na rozległe łąny.

Po zapłociach, po chłopskich ogródkach,
Tchną świeżością podstarzałe grusze,
Że goryczą napojone dusze,
Na ich widok nie pomną o smutkach.
Pieśń skowronków szczera
Brzmi, że atmosfera,
Jak w morzu, tak się kąpie w wiosennych pobudkach.

Przyjdzie rano z uśmiechem na twarzy,
Wnet na ziołach lśnią się dyamenty;
Promień z bożej rozkoszy poczęty,
W tysiąc światel łamie się i jarzy,
W tej błękitnej wodzie,
Co ma żwir na spodzie,
A górą, oko złotem nenufarów darzy.

Wyruszyli oracze na pole,
Ostry lemiesz czarną ziemię kraje;
Przeorali jedno, drugie staje,
Rosą potu spływa trud na czole;
Przecież radość bierze,
Na te skiby świeże,
Na zapach, co ogarnia chlebobajną rolę.

I z tej piersi sukmaną okrytej,
Od bławatów promienniejsze zwrotki,
A tak wonne, jako miód ten słodki,
Co z bzów sączy, wnoszą się w błękity:

Nad oraczów głowy,
Aby, w deszcz majowy,
Skroplone, paść na trawę i na kwiat rozwity.

GDY MNIE OGARNIA ZMROK.

Gdy mnie ogarnia zmrok, co dusze człecze
Tak natarczywie aż do ziemi tłoczy,
Spieszą nademną zbawczą spełniać pieczę
Twe jasne, ciche, twe głębokie oczy.

I zło, uchodząc, poza sobą wlecze
Tabor swych smutków i w nicość się toczy,
Tak je spłoszyły, jak cherubów miecze,
Twe jasne, ciche, twe głębokie oczy.

I znów oczyszczon i znowu ochoczy
Do tego życia, które mi zmieniły
Twe jasne, ciche, twe głębokie oczy,

Tulę do piersi ten mój skarb uroczy,
Ach! i całuję, pełen nowej siły,
Twe jasne, ciche, twe głębokie oczy!

NAD ŚWIATEM SENNYM.

Nad światem, nad sennym, zabłysła
Uroczą poranku dziewczica,
Z jej oczu skier fala wytrysła,
Na ziemię, na zbladłe jej lica.

O! świecie! o jutrzniu! o zorzo!
Dolejcież mi żaru w mą duszę,
Nim bracia skroń ciężką położą,
Ja ogniem sen wyгнаć z nich muszę.

Natura senliwa nie wzdycha,
W objęciach zimowej zagłady,
Po łąkach z wonnego kielicha,
Ssą rozkosz nadobne owady.
Naturo! niech dla mnie choć chwilka,
Przemieni się w łąki barwione,
Daj lekkie mi skrzydła motylka,
By unieść w zachwyty się stronę.

Po wodzie w ostatnim odbłyску,
Wiosenne słoneczko się wije;
W topielców lubieżnym uścisku,
Spoczęły bielutkie lilije.
O! wiosno! o słońce! o kwiaty!
Na skrzydłach cudownej tej tkanki,
Unieście w nadziemskie mnie światy,
Na łono anielskiej kochanki!

Gaj szumi i słowik coś śpiewa
I tańczy obłocznych chór dziewic;
W srebrzonym namiocie spoczywa,
Srebrzysty ten nocy królewic.
O! gaje! o pieśni słowicze!
O tęskna zadumo miesiąca!
Rozbudźcie fantazyi oblicze,
Gdy błąda, bezśpiewna, gdy śpiąca!

BYŁEŚ MI TŁUMIE BOŻYSZCZEM.

Byłeś mi dawniej bożyszczem o tłumie!
Wiarę mą trawił twój żołądek wraży!
Dziś moja miłość już zgiąć się nie umie,
Na stopniach twoich bezbożnych ołtarzy.

Dziś z resztką siły poszedłem w bluźnierce,
Ma dłoń słabnąca dziś twój bałwan kruszy,
Krwawy molochu, coś pożarł me serce,
Jak wampir wysssał drogi szpik mej duszy!

Królu w łachmanach, siedzący na tronie,
Z którego zdarto bisior i złocenia!
Ogniem zawiści twoje oko płonie,
Chciwość twe usta w wstrętą paszczę zmienia.

Wytrzeszczasz straszne bazyliżka oczy,
Albo je chytrze przysłaniasz obłudą,
Wabiąc zwierzynę, która we krwi broczy,
Pod twym pazurem, pod twą ręką chudą.

Żer w twe koryto ciągle znoszą wieki,
Wnętrznosci swoje rzucając pod nogi,
Ty, od nasyceń wieczyście daleki,
Wściekłyś z pragnienia, — jak żbik, z głoduś srogi.

Myśli, uczucia, prorocze ekstazy,
Czystość poświęceń, rycerskie porywy,
Modły zachwytne, dyscyplinne razy,
Krwi stygmatycznej święty strumień żywy...

Gwoździe, co sine przebijają ręce,
Ciernie, co kłują blado-żółte skronie:

Wszystko to ginie w twej potwornej szczęce,
Wszystko to brzuch twój w swoich bezdniach chłonie.

Przywlokłeś ku mnie swe nogi żebracze,
Bose, zziębnięte w śnieżystej wichurze,
I dusza moja już litością płacze,
I już ci cały jak pacholek służę.

Przyszedłeś ku mnie, ty płazie człowieczy,
Z odgniotem jarzma na schylonym grzbiecie,
I już ma dusza ciemierzcom złorzeczy,
Już w twej obronie bicz rzemienny plecie...

Przyszedłeś ku mnie, dzierzycielu pięści,
I pokazując nabrzmiałe ramiona:
»Głob się z tej mocy rozpadnie na części,
Świat zła — krzyknałeś, pod tym gromem skona!«

Jak nie uwierzyć w żelazne ryskale,
Co w pył wiekowe opoki rozkruszają?
I bałwochwalcze już kadzidła palą
Tobie, o tłumie, żeś owładł mą duszą!

Widzę: olbrzymie szeregi się zbiegły,
Skórzane mają u pasa fartuchy...
Tylcami młotów wałą w świątyni cegły,
Przestwór wypełnia huk i łoskot głuchy!

Widzę: centaury przebiegają ziemię,
Miast łuków, dzierżą płomienne pochodnie!
Kopyta w iskrach!... Gdzież ta siła drzemie,
Co łun powstrzyma rozszalałą zbrodnię?

Są w twojej piersi wulkaniczne ognie!
Ale stracony, kto się od nich zajmie!

Serce swe spali, duszę swoją pognie,
Jak ćma, tak spłonie w twym służalczym najmie.

To jest konieczność: padł, orząc twe łany,
Ty go przygnieciesz swem cielskiem kosmatem,
Brutalny zwierzu! Ty, bożku miedziany,
Runiesz na niego całym swoim światem...

A sam na pulchnej od popiołów roli,
Na którą padło to przekleństwo boże,
Będziesz już brzuch swój wypasał dowoli,
Nienasycony, stugębny potworze!

Ty wrogu ducha! stopami z ołowiu
Zdeptałeś kwiaty, które dłoń posiała
Bożego siewcy: na zwiędłym pustkowiu
Straszny dla duchów stawiasz ogrom ciał!

Gdzieś dawnych bożnic zburzył fundamenty,
Tam nowy kościół dla ciebie powstanie,
O! nieskalany! o boski! o święty!
O! ty mocarzu! królu i kapłanie!

Jest wielki ołtarz, cały złotem błyszczący!
Na nim twe ścierwo rozpiera się tłuste,
Między pierwszymi najpierwsze z bożyszczy,
Na swych kolanach pieszczące Rozpustę!

Długo tak będziesz cesarzył, o krwawy,
Dziki Molochu, coś pożarł me serce?
Aż wśród piekielnej obedrą cię wrzawy,
Jadła i picia spragnieni odzierce.

Żebrak cię zwali, zziębnięty i bosy,
Ten, co swą nędzą aż do łez poruszy!

Sługa jarzemny rozstrzygnie twe losy,
Wampirze, ssący drogi szpik mej duszy!

Dzierżyciel pięści w twoją pierś uderzy,
Na karku twoim swą stopę położy,
Zdrajco! coś ze mnie zdarł zbroję szermierzy,
Więząc mnie w swojej dławiącej obroży!





POSEPNY LOS.

Posępny ciężki los,
naszego pokolenia.
Za ciosem bije cios
w czarowny gmach złudzenia.
Nie wiemy, gdzie nam iść,
nie wiemy, skąd idziemy,
Jak zwiędły, suchy liść,
przez świat się toczym niemy.
Duszący zwątpień mrok,
ogarnął nas dokoła,
Nie błyska ogniem wzrok,
bezmyślnie gną się czoła.
Straszliwa pustka w nas!
Nie znamy drgnień zapału,
Obojętności gład,
przywała nas pomału.
Nie dbamy o to już,
co będzie, co się stanie,
Czy złote blaski zórz
obwieszczą nam zaranie,

Czy, trupy żywe, gnąć
wciąż będziem sami jedni,
My chcemy tylko żyć
i mieć nasz chleb powszedni.

* * *

O! pieśni, zbudź nas, zbudź
swych dźwięków huraganem!
Po stokroć lepiej łódź
na morzu rozhukanem
Na szturmy rzucić fal:
niż wpadłszy w morską ciszę,
Mrzeć, w siną patrząc dał,
jak fala się kołysze.
O! pieśni, przemów ty
symfonią nieskończoną!
Niech z oczu trysną łzy,
burzliwie zadrga łono;
Niech mchem porosły gład
uczuje ognia żary;
Niech zdumion ujrzy czas,
jak zwątpień pierzchną mary.
O! pieśni, karz i sądz,
grzmij w piersi strupieszale!
Mojżesza laską bądź
i twardą rozbij skałę!
Niech Feniks natchnień znów,
z popiołów zimnych wzleci
I gwiazdą wielkich snów,
lśni długi ciąg stuleci!

EXCELSIOR!

Na globie rzuconym w wszechświecie bez granic,
Ludzkiego plemienia garść drze się pod górę,
A chociaż ich zapał, trud, walki są za nic,
Choć słońca przyszłości nie widać przez chmurę,
Wołają, westchnienie stłumiwszy ponure:

Excelsior!

Przez wieki, przez wieków tysiące tak idą,
Źrenice spragnione swe wzbiwszy w przestworze.
Gdy piorun rozedrze chmur płaszczkę swą dzidą,
Im zda się, że błysły przedświtu już zorze,
I krzyk znów, choć coraz straszliwsze nędz morze:

Excelsior!

A czasem, gdy nazbyt już długo noc czarna,
Gdy coraz już słabiej nadziei skra świta,
Wątpliwość się budzi rozpaczą ciężarna,
I wyje ród ludzki, i szlocha, i zgrzyta...
A jednak nadzieja wciąż pcha go ukryta:

Excelsior!

Gdzie idą, nie wiedzą, a *wyżej!* wołają,
Z postępu sztandarem w dal biegną zamgloną
I wierzą, choć wątpią... Gdy z całą tą zgrają
W pył ziemi schorzałe rozsypie się łono,
Jak gwiazdy ich myśli w błękitach zapłoną:

Excelsior!

W najgłębszych tajnikach serc ludzkich ukryty,
Ten popęd do wiary, ufności, nadziei;
Choć świadczą im zmierzchy i po nich znów świty,

I blaski wiosenne po śnieżnej zawiei,
Nie wierzą, że biegną w obłądnej kolei:

Excelsior!

Nie wierzą w najcięższym żywota rozbiciu,
Że kółkiem są tylko posłusznym w maszynie;
Nie wierzą, że prochem bezwolnym są w życiu,
Że idą, iść muszą, gdzie na nich los skinie,
Nie wierzą, że krzyk ten bez śladu przemienie:

Excelsior!

Szczęśliwi po trzykroć! Inaczejby czaszki
W rozpacz szalonej trzaskali o skały,
Nikt znieśby nie zdołał złej losów igraszki,
I tłumy by całe z rozkoszą konały.
Śmierć tylko krzyk zgłuszy ufnością nabrzmiąły:

Excelsior!

ZMROK.

Zmrok opada nakształt lekkiej, przezroczystej gazy.
Gasną zórz zachodowych płomienne szkarłaty,
Z borów, kadzielnic nocy, płyną aromaty,
Potok swą pieśń kryształną wydzwania o głązy.

Gasną zórz zachodowych płomienne szkarłaty.
W milczeniu pełnym cichej a słodkiej ekstazy,
Potok swą pieśń kryształną wydzwania o głązy.
W przestrzeniach wybłyskają gwiazd dalekie światy.

W milczeniu pełnym cichej a słodkiej ekstazy
Z więzów ciała ptak rwie się tajemny, skrzydlaty.

W przestrzeniach wyblyskają gwiazd dalekie światy
I marzeń czarownemi darzą go Szyrazy.

Z więzów ciała ptak rwie się tajemny, skrzydlaty,
Gdy lśnią nieskończoności bezdenne obrazy
I marzeń czarownemi nęcą go Szyrazy...
Leć! patrz! słuchaj! nim wrócisz znów na zmysłów kraty!



BIADA TYM USTOM.

Biada tym ustom, które miłość kłamią!
Bo kiedy przyjdzie wiosenna i nowa
I wargi młode poczną żądać palić,
Nieskalanego nie odnajdą słowa,
Które się prosić umiało i żalić
I wędnać będą czuć, że choć wre łono,
Już od nich inne wargi nie zapłoną,
Że niekłamana boleść tylko splamią:
Nieszczęsne usta, które miłość kłamią!

Biada tym oczom, co na rozkaz płaczą!
Bo kiedy przyjdzie ból, co mózgi trawi
I może z piersi młodość wyssać z cicha,
Kamienna żalność, gdzie tylko płacz zbawi,
To łoż kłamliwych krynica wysycha.
Jak u szaleńców, suche i ogromne,
W śmierć zapatrzone, dawno snu niepomne,
Świecą się głuchym strachem i rozpaczą:
Przeklęte oczy, co na rozkaz płaczą!

ODWOŁANIE.

Szczęściu nie ufam, bo od tego słońca
Wiem, że cień pada, chłodny cień bez końca,
O sławie nie śnię: łzami się oplaca...
Nie chcę i dumy: w gorycz się obraca...
Szału nie wzywam, bo mię nie zagłuszy,
Piosnki nie czekam: nie odpowie duszy...
Lecz choć się dotąd znaczy dla mnie łzami,
Miłości pragnę i myślę chwilami,
Że jeszcze kiedyś, naraz, niespodzianie,
Przedemną cicha i radosna stanie.

W jakiejś nieznanej, niewidzianej stronie,
Gdy z wody wstają mgły a z kwiatów wonie,
I szary wieczór pada na rozłogi,
Spotkam ją nagle, gdzieś na skřęcie drogi.
Zanim w mem sercu wszędzie i zakwitnie,
Będzie na niebie jasno i błękitnie,
I miesiąc rzuci już na białe ściany,
Pierwszy swój promyk złoty i różany,
A nim nas blaskiem jaskrawym otoczy,
Zacniemy mówić, nie patrząc się w oczy.

Gdy w górze mleczna droga się zabieli,
Będę już prosić miłośniej i śmieiej...
Północ roziskrzy w niebie i w źrenicach
Gwiazdy, ja usta położę na licach,
Gdy Venus wzniesie pochodnię czerwoną,
Niechaj mi padnie na pierś, na spragnioną!

A niechaj potem — bo czar będzie krótki,
Jak czarne ptactwo zimą przyjdą smutki

I gniazd szukają w samotności mojej.
Bo mię ta chwila wesprze i ukoi,
Bo miłość duszę na boleść uświęci,
Bo da mi władzę rozkosz snuć z pamięci,
Bo mi na wargi, jak zesłaniec Boży,
Żarzący węgiel natchnienia położy.





ANIOŁ PAŃSKI.

Na Anioł Pański biją dzwony,
Niech będzie Marya pozdrowiona,
Niech będzie Chrystus pozdrowiony...
Na Anioł Pański biją dzwony,
W niebiosach kędyś głos ich kona...

W wieczornym mroku, we mgle szarej,
Idzie przez łąki i moczary,
Po trzęsawiskach i rozłogach,
Po zapomnianych dawno drogach,
Zaduma polna, Osmętnica...
Idzie po polach, smutek sieje,
Jako szron biały do księżycy...
Na wód topiele i rozchwieje,
Na omroczone, śpiące gaje,
Cień, zasepienie od niej wieje.
Włóczą się za nią żal, tęsknica...
Hen, na cmentarzu ciemnym staje.
Na grób dziewczyny młodej siada,
W świat się od grobu patrzy błada...

Na Anioł Pański biją dzwony,
Niech będzie Marya pozdrowiona,
Niech będzie Chrystus pozdrowiony...
Na Anioł Pański biją dzwony,
W niebiosach kędyś głos ich kona...

Na wodę ciche cienie schodzą,
Tumany się po wydmach wodzą,
A rzeka szemrze, płynie w mrokach,
Płynie i płynie coraz dalej...
A coś w niej skarży, coś zawodzi,
Coś się w niej skarży, coś tak żali...
Płynie i płynie, aż gdzieś ginie,
Traci się w górach i obłokach,
I już nie wraca nigdy fala,
Co taka smutna stąd odchodzi...
Przepada kędyś w mórz głębinie,
I już nie wraca nigdy zdala...

Na Anioł Pański biją dzwony,
Niech będzie Marya pozdrowiona,
Niech będzie Chrystus pozdrowiony...
Na Anioł Pański biją dzwony,
W niebiosach kędyś głos ich kona...

Szare się dymy wolno wleką,
Nad ciemne dachy kryte słomą;
Wleką się, snują gdzieś daleko,
Zawisną chwilę nieruchomo
I giną w pustem gdzieś przestworzu...
Może za rzeczną płynąc falą,
Polecą kędyś aż ku morzu...
A mrok się rozpościera dałą
I coraz szerzej idzie, szerzej,

I coraz cięższy, gęstszy leży,
Zatopił lasy, zalał góry,
Pochłonał ziemię do rubieży,
Na niebie oparł się ponury...

Na Anioł Pański biją dzwony,
Niech będzie Marya pozdrowiona,
Niech będzie Chrystus pozdrowiony...
Na Anioł Pański biją dzwony,
W niebiosach kędyś głos ich kona...

Idzie samotna dusza polem,
Idzie ze swoim złem i bolem.
Po zbożnym łanie i po lesie,
Wszędy zło swoje i ból niesie,
I swoją dolę klnie tułaczą,
I swoje losy klnie straszliwe,
Z ogromną skargą i rozpaczą,
Przez zasępioną idzie niwę...
Idzie jak widmo potępione,
Gwiżdże koło niej wiatr i tańczy,
W którą się kolwiek zwróci stronę,
Wszędzie gościniec jej wygnańczy...
Nigdzie tu miejsca niema dla niej,
Niema spoczynku ni przystani...
Idzie przez pola umęczona,
Łamiąc nad głową swą ramiona...

Na Anioł Pański biją dzwony,
Niech będzie Marya pozdrowiona,
Niech będzie Chrystus pozdrowiony...

PIEŚŃ HALICKA.

Snem ujęty, spał halicki dworzec,
Jeno wicher skakał wzdłuż i wszecz;
Chwiał się wichrem jedwabny proporzec,
Lśniącą wstęgą bił o szczyby wież.

Hen, daleko, na sosnowe bory,
Dużą, srebrną podniósł księżyc twarz,
Zaskrzypiały ciężkie wrót zapory,
Szczękły miecze: to zmieniono straż.

Płynie księżyc, coraz wyżej, wyżej,
Bóg mu kazał żeby ziemię strzegł;
Ucałował greckich świątyń krzyże,
I przez okno do świetlicy wbiegł.

Tam kniaziowa, choć zasłane łoże,
I puchową, białą pościel ma,
Stulić do snu powiek swych nie może,
Bo je wciąż otwiera jedna ła.

Po czym tęsknisz ty, kniaziówno biała,
Za kim myślą niespokojną gnasz?
Czyś ty srebrny księżyc ukochała,
Że ku niemu wciąż obracasz twarz?

Srebrny księżyc?... Nie, on łez nie zetrze,
Łzy zostaną i serdeczny żal...
Ty ramiona kładziesz na powietrze,
I chcesz lecieć: w głuchość, mglistą dal:

Z tamtej strony, gdzie ta gwiazda płowa,
Aż tu płynie z nadnieprzańskich pól,
Z dalekiego wracać ma Kijowa,
Twój kochanek, chrobry Lachów król!

Czy ty słyszysz?... Coś w powietrzu dzwoni,
Zgarnij szaty, wybiegnij za próg!
Coraz bliżej grzmią tententy koni,
Coraz głośniejsze dzwoni srebrny róg.

Uderzyły trąby hospodarskie,
Kute skrzydła rozwarły się bram;
Płyną, płyną pułki Lachów dziarskie,
A tym pułkom przewodzi król sam.

Już twe oko żadnej łzy nie kryje,
Tylko usta, tylko piersi drżą...
Serce skacze i jak dzwonek bije,
A pieśń lacką ruskie trąby grzmią.

Zapłoniona, wziętaś kołacz biały,
I miód słodki i jabłka i sól;
Twoje lica różami się stały,
Gdy po dary nachylił się król.

»Sława tobie, hospodynie, sława!«
Do twych uszu dźwięk się pieśni wdarł.
»Tron królewski kniazia Izasława,
»Tyś swojemi ramionami wsparł!

»Bywaj, do nas, ty drużyno lasza,
»Znój z czół zetrzyj, kurz z szat twoich strzep!
»Z twoim królem już kniaziowna nasza,
»Rozłamała korowaja chleb!«

Zmilkły pieśni, jeno blaski srebrne,
Rzuca księżyc wśród powietrznych dróg...
Do snu ciebie układły służebne,
I z pokłonem opuściły próg.

Snem ujęty spi halicki dworzec,
Świętej Rusi usnął stary gród.
Twoje serce drżało jak porporzec,
A król lacki pił ust twoich miód.

LIST HANUSI.

(DYALEKTEM PODHALAŃSKIM).

Kochany Jerzy mój! Pisę tu z tela ¹⁾
Ten list do ciebie, a pisęcy płacę.
Świat mię caluśki nic nie uwesela,
Kie w lesie pasę, wnet krowy potracę,
Bo syćko myślę, kielo nas ozdziela
Kraju, i cy cię tyz jesce zobacę?
Kiebyś ty wiedział jakoś mię zasmucił,
Mój złociusieński, tobyś się haw wrócił...

Głowa mię boli, serdecka nie cuję,
Łzy ino syćko z ocu mi się lejom,
Nik tego niewi, za kim ja banuję,
Ale się ludzie nascy se mnie śmiejom.
Zal mię za tobom wciąż w serce kłuje,
I nie wiem ka się me ocy podziejom
Od tych łez. Widzi się, co mnie powiezom
Wnetki hań w trumnie, ka ojcowie lezom.

.
.

Ja znam, że biedna ja prosta dziewczyna
Górska, o mój ty najśodszy, złoty,
To nie dla tobie, dla pańskiego syna,
Ale już ledwie wytrwam od tęsknoty.
Dusa cię ino syćko przypomina,
Nijakiej nie mam do jadła ochoty,
Ani do tańca. Chłopcyska się śmiejom,
A moje siwe ocy wciąż łzy lejom.

Kie na odwiecerz ³⁾ przed chałupom stanę,
Pojrzę jak słonko za wirchy się kryje,
Wspomnę, jak my się pod tę samą ścianę
Kryli: to zał mię mało nie zabije,
A serce moje, jakoby pijane,
Tłuce się w piersiach. Tęca wodę pije
Z rzeki, ale tych też wypić nie musi ³⁾
Co ocy twojej wyplacom Hanusi.

Jasiek tu chciał mię brać, a mama z tatą,
Straśnie go radzi widzom, ale ja nie.
Powiedziałak mu, że się przódziej lato
Zimom, a zima przódziej latem stanie,
Niżli ja bedem jego. Więc się na to
Ozgniwał i rzekł, co on mię dostanie,
Chebaby w niebie miesiąček zaginion,
Albo Dunajec w górę się przewinion.

Miałeś tu do nas przyjechać na Gody ⁴⁾.
Takek cię ino syćko wyglondała,
A tak mi było, jak rybce bez wody,
Jazek się sama do się głośno śmiała.
Ale już wsendy potajały lody,
I śnig już w turniach wyginion bez mała,
A tobie nimas jednako nikany ⁵⁾
Mój złociusienki i umiłowany.

Aniś nie pisał do mnie dawno. Moze
Jaka cię chorość nała, mój jedyny!
Albo co inse, od cego broń Boże!
Nie zabacujze tak swojej dziewczyny.
U nas som zdrowi w chałupie, niemoze
Ino Jagnieska Bartkowej Maryny.
Niechze cię strzeze i Najświętsza Panna
Ludźmirska.

Twoją tu ostaję —

Anna.

1) tu z tela: stąd. — 2) na odwiecerz: o zmroku. — 3) nie musi:
nie potrafi. — 4) Gody: Boże Narodzenie. — 5) niekany: nigdzie.





SIĄDŹMY TU, PANI.

Siądźmy tu, pani! — Dokoła noc cicha,
Poemat woni płynie z róż kielicha,
Słowik-trubadur w miłosnym zachwycie
Śpiewa to jedno, co dać może życie!
Mama ci powie, że są inne cele,
Proboszcz przypomni, co mówił w kościele,
Stary profesor zażywszy tabaki,
Przy sposobności utnie morał jaki;
Lecz jeśli wróci wieczorem do siebie,
Otworzy okno i spojrzę po niebie,
Gdy wspomni wszystkie swoje aksjomaty,
Ach! może westchnie, jak ongi przed laty,
I patrząc w księżyc, u schyłku kariery,
Uroni jaką łzę do tabakiery...

Czasem się w duszy wszystko nagle wali,
Cośmy z mozołem długo budowali,
Naprawdę rozum w swoje ręce biegłe,
Chwytał i ważył każdą niemal cegłę!
Nieraz już ludzkość nad swych dziejów tokiem,

Stała bezradnie z ostupiałem okiem;
Próżno jej »mamy« cele nakreślały,
Profesorowie palili morały,
Bowiem od czasów króla Salomona,
Co roku jakaś filozofia kona,
A ludzkość żyje... Wszyscy szarlatani,
Oprócz słowika... Słuchajmy go, pani!

Noc jak baśń cudna mgławi się przed nami,
Nęci, upaja, czaruje i mami;
W świetle księżycy jej ręka marząca
Ciepłym powiewem czoła nasze trąca,
Zwolna świat niknie w błękitnym obłoku
I jak wspomnienie świeci tylko w oku.
Teraz rozpierzcha wszystko przed oczami,
Świat całkiem zniknął i my całkiem sami!
Gdyby glob ziemski runąć miał w tej chwili,
Mybyśmy tego nie zauważyli!
Jeszcze gdzieś resztką świata w nas się waha,
Drżeniem napawa, lękliwa a błaha...
Rzućmy tę resztkę! — Tylko zakochani
Pojmują życie... Daj mi rękę, pani!

Jest jakieś prawo ryte w ludzkiej twarzy,
Które spojrzenia bezwiednie kojarzy,
Ledwie drgnie w oku płomyk niewidomy,
Już miłość chwyta swe róże i gromy,
Gromy i róże!... Ach, ponoć wśród burzy,
Woń najcudniejszą rozsiewa kwiat róży!

Gdzieś w dali niebo błyska i pogrzmięwa,
Wiatr wstaje, szumią wierzchołkami drzewa,
Słowik umilka nad uspionym światem,
Burza zaszumi swoim poematem!

Niech gromy biją, niechaj świat się wali,
Myśmy noc jedną czuli i kochali!

IDZIE BIEDA.

Od wsi do wsi idzie bieda,
A przytułku któż jej nie da?
Choć ją z dworów wyszturchali,
Bieda sobie u nas chwali.

Bo chłop czeka ją przed progiem,
I powita Panem Bogiem,
Ugościwszy należycie,
Ofiaruje własne życie.

Różnie w świecie jest niekiedy,
Ale nikt tak nie czci biedy,
Nikt się o nią nie postara,
Jak ta nasza chłopska wiara!

Leje deszcz, dmie zawierucha,
Bieda idąc w palce dmucha,
Moknie, ziębnie, lezie dalej,
Ale sobie u nas chwali.

ŻOŁNIERZYK.

Idzie żołnierzyk na wojnę,
Na dni znojne, niespokojne,

A przez bory i przez pola,
Huka za nim wciąż Niedola:
»Hop! Hoop!«

»Czekaj, miły żołnierzyku,
Małoż miejsca na koniku?
Weźże z sobą mnie, niebogę,
Bo nadażyć ci nie mogę:
Hop! Hoop!«

— Czekaj tutaj mnie, Niedolo,
Za rok wrócę z Bożą wolą,
Stój na trakcie, przyłóż ucho,
Sam ja zdala jęknę głucho:
Hop! Hoop!





WENUS MIŁOŃSKA.

Dla niej helleńscy pieśniarze,
Przy złotostrunej cytarze,
 Płomienny śpiewali psalm;
Dziewice na jej podnóże,
Słały narcyzy i róże,
 I pęki zielonych palm.

I dla niej pod kolumnadą,
Wstęgą przewijał się błądą,
 Kadzideł błękitny dym;
Z mórz dla niej słońce wstawało,
Aby świątynię jej białą,
 Różowić promieniem swym.

Dla niej przez niebios lazury,
Gołębi leciały sznury,
 Na skrzydłach bielszych nad śnieg;
Do niej o słońca zachodzie,
Z białymi żaglami łodzie,
 Niosły pielgrzymów na brzeg.

I stała w blasku i chwale,
Cudna, przegięta niedbale,
 Wśród marmurowych tych ścian;
Z cichym uśmiechem na twarzy,
Słuchała morza, co gwarzy,
 Zrodzona z perłowych pian.

CHCIAŁABYŚ MNIE?

Poszła ze mną za dom do ogródka,
Usiedliśmy na ławce pod ścianą.
Była trwożna i taka cichutka,
Kiedym patrzył w jej twarz ukochaną.

Lipa kwitła przed nami w ogródku
I pachniała drobnem kwieciem złotem...
Gdym za rękę brał ją pomalutku,
Serce we mnie waliło jak młotem.

— Chciałabyś mnie?

— Myślę żebym chciała!

— Wierz mi, Jadwiś, że nam dobrze będzie.

— Wierzę, paniel!...

A lipa słuchała

I słuchały nas kwiatki na grzędzie.

I nie kwiatki i nie lipa sama,
Całe niebo słuchało nas z góry,
I błękitna rozwarła się brama,
I Bóg słuchał i anielskie chóry.

PRZEKLEŃSTWO ŁZOM.

Przekleństwo łzom, które się próżno leją,
Gdy burza wre dokoła
I huczy grom,
Gdy trzeba trwać z odwagą i nadzieją
I nie ugiąć czoła —
Przekleństwo łzom!

Przekleństwo snom, które się próżno marzą,
Gdy spłonął dach nad głową
I runął dom...
Gdy trzeba wstać i ze spokojną twarzą
Budować gmach na nowo —
Przekleństwo snom!

Przekłeta jest, po trzykroć jest przekłeta
Ta małoduszność blada,
Co znosi srom
I sama lot własnego ducha pęta
I w trwodze więzy wkłada,
Swym łzom i snom!

NA DZIEN ZADUSZNY.

Dusza dziś ze mnie wychodzi płacząca
I pióra kąpiąc w mroków oceanie,
Leci, wierzchołki lip skrzydłami trąca,
Aż na cmentarnych dzwonicach przystanie.
Dzwonom na serca ręce kładzie obie
I słucha, w spiżu chcąc odnaleźć tętna

Serc, które w proch się rozsypały w grobie.
Bo czyliż dzwonów pieśń przewlekła, smętna,
Bijąca w niebo kręgów dźwięcznych falą,
Metalu tylko pustym jest rozdźwiękiem?
Czy się w niej duchy umarłych nie żalą?
Czy się w niej wyciem nie skarżą i jękiem
Ci, których wszyscy żywi zapomnieli?

I dusza moja zadumana o tem,
Na dzikich grobach klęka, cała w bieli,
Na grobach, które porosły blekotem
I pokrzywami; a zbutwiałe krzyże
Chylą się, skrzypiąc na jesiennym wicherze,
A wicher na nich gra, jakby na lirze...
Jest w suchych liściach szept modlitw, co cichsze
I żałośniejsze, niż ludzkie pacierze;
I jest zaduszna jakaś antyfona
W szeleście żółtych traw i drzew tych szmerze,
Co wyciągają wychudłe ramiona
Nad mogiłami pustemi, w mgłę siną.
I łyzy wilgotne ściekają po próchnie
Omszonych krzyżów, i po głazach płyną,
I cały cmentarz zda się, że wybuchnie
Płaczem...

Skrzydłami powłócząc po ziemi,
Powraca dusza moja żalem zdjęta.
I płacze cicho nad grobami temi,
O których żadne serce nie pamięta.



NIE NA DZIEŃ JEDEN.

Nie na dzień jeden siejesz swoje ziarno,
Ale na jutra czas nieurodzony.
Więc bez wytchnienia kraj tę ziemię czarną,
By od twych pługów garbate zagony,
Zabrzmiały pieśnią zbóż złocistych gwarną.

Choć nieraz wichry i susze wygarną
Twym krwawym potem wydobyte plony:
Wytrwała praca twa nie będzie marną:
Nie na dzień jeden!

Natura kocha swoją pieśń cmentarną,
Niby małżonka pięści akwilony:
Od gniewu Dyany giną Akteony;
Strasznie jest zwalczać moc elementarną,
Lecz sięj, pomimo grad i suszę skwarną,
Nie na dzień jeden!

NA ROLI.

I.

Za ogrodem wśród drożyny,
Purpurowe kwitną głogi;
Przy nich siwy krzew tarniny,
A za nimi pól rozłogi.

Kwadratowe, w krzyż splecione,
Podwójnemi lśnią kolory,
Pola czarne i złoczone,
Te ścierniska, te ugory.

Pozłociste żniw mogiły,
Hebanowe siejb kołyski,
Śmierć i życie — bratnie siły —
Mkną, ujęte w dwa uściski.

II.

Melancholia zżętych łąnów,
Karmi tylko gąski białe;
Stada owiec i baranów,
Gryzą słomki pozostałe.

Grobem dyszą pól rozłogi,
Choć nad każdym śmierci łożem,
Niby chaty stoją stogi,
Woniejące złotem zbożem.

III.

Po szerokim, po ugorze,
Za swym pługiem rolnik kroczy,

Twardą ziemię ciężko orze,
Wyostrzonem radłem toczy.

Orze ziemię lat tysiące,
I zasyła modły w nieba:
O pogodę i o słońce,
Słowo boże i kęs chleba.

iv.

Raźny, chociaż nie wesóły,
Idzie brózdą i powraca,
I pogania swoje woły,
Skroń mu potem zlewa praca.

Włos ma płowy, szare oko,
Twarz od słońca ogorzałą,
Barki silne, pierś szeroką,
I koszulę nosi białą.

W koszulisku swoim lnianem,
W białych, lnianych spodniach, bosy,
W kapeluszu swym słomianym,
Swoje ciche spełnia losy.

v.

Dziwna postać ta oracza!
Idą, płyną pokolenia,
Jego nic nie przeinacza,
Jego ducha nic nie zmienia.

I tak kroczy śród gorąca,
Jak na wyżni gdzieś irańskiej;
Jakiś duch z przed lat tysiąca,
Jakiś wid starosłowiański.

Takim był on za dni Lecha,
Za Lumirów i Bojanów:
Nieruchoma wiejska strzecha,
Nie zna świata huraganów.

Gdzieś na świecie wyły burze,
Świat nie jedno stworzył dzieło;
On niezmienny w swej naturze,
Skrzydło dziejów go nie tknęło.





MARZENIE.

Nim na cichy pójdę sen,
Bez poranków i bez zórz,
Niech powróci anioł ten,
Mej młodości anioł-stróż!
Na przeżytej drogi cień,
Zapomnienia rzuci kwiat,
I na jeden krótki dzień,
Wskrzési wiosnę moich lat!

Niech jak dawniej, wierzę znów,
W idealny życia cel;
W nieśmiertelność ludzkich snów,
Dusz niewieścich jasną biel;
Niech na błękit duch się rwie,
I oddycha pełnym tchem,
Marzycielsko łudząc się,
Że sen szczęścia nie jest snem!

W księżycowy cichy mrok,
Niech tak marzę jeszcze raz,

Nim zagaśnie tęskny wzrok,
Pod grobowy idąc głaz!
Jabym żegnał szczęścia łą,
Tę dolinę łez i burz,
Byłem konał z wiarą w to —
W co nie mogę wierzyć już!

KRÓL SIĘ BAWI.

Słoneczną aleją idzie król Staś,
A przy nim cudna dama:
— »O pani! swych oczu płomienie zgaś,
Bo spłonę ja od nich, twój sługa, twój paź!
Bella! zostaniesz sama!«

Uśmiecha się buzia najmilszej z dam,
Znudzona odrobinę:
— »O królu! ten pożar wzbudzasz ty sam!
Odbicie twych oczu w źrenicach swych mam!
Ty płoniesz... Ja, ach! ginę!«

Za królem dyskretnie wytworny dwór,
Opodał zwolna kroczy;
Ktoś paszkwil zanucił... ktoś podał wtór...
Ktoś szepnął z krezowców: »Ot, świeży znów dur!«
Panie spuszcza ją oczy...

Rozpustny szambelan dworak i bard,
Jak motyl wśród dam fruwa.
O grzeszkach, miłostkach, paple jak z kart,
A w przerwach, paryski kalembur i żart,
Rozśmiesza i zatruwa.

W ustronnej altance bawi się król.
Z jedwabnych słówek siatka:
— »O piękna! cudnego chcesz kwiatka z pól,
Co skarby da tobie, ukoi łzy, ból...
Król pójdzie szukać kwiatka!«

A ona: — »I czemuż daleko tam,
Zdobywać kwiat przebojem?
Ten kwiatek masz tutaj! O, znam go, znam!
Zań życie, o! królu! w ofierze ci dam!
Ten kwiatek — w sercu twojem!«

Jak barwne kolibry, dworaków ćma,
Snuje się między drzewy...
— »Och, kocham!« »Na długo?« »A ty?« »A ja?
Dopóki trwa rozkosz, dopóki czar trwa!...«
— »Okrutna!« »Cóż to? gniewy?«

»Co? uścisk? przy wszystkich?« »Choć całus!« »Grzech!
Niech księżę się poprawi!...«
I w parku srebrzysty zadzwonił śmiech,
Wśród faunów kamiennych w tysiącu brzmi ech...
Pst!... Cicho: Król się bawi!...

SOMO-SIERRA.

Szwadron nasz przy cesarzu w służbie był od świtu,
Nieprzyjacieli zasłonił drogę do Madrytu,
I wstrzymał całą armię, osiadłszy się w skałach...
Kaniery hiszpańskie przy dymiących działach,
Nie spoczęły na chwilę, — z osobna lub razem
Ziejąc na awangardę płomiennym żelazem;

A krzyżowym nas ogniem z wyżyn Somo-Sierry,
Prażyły rozsypane celne tyraliery.

Dzień był zimny. Mgła gruba, jakto zwykle w górach,
Spowiała okolicę w swych wilgotnych chmurach.
Słońce jeszcze nie wzeszło. Jak krwawe iskierki
Mknął skroś mgły błysk wystrzałów. Ten i ów z ma-
Pociągnął łyk gorzałki, lub też szedł do koła [nierki
Bukłak z winem hiszpańskim, czarnem gdyby smoła
I cierpkim: tego trunku pies nie pozazdrości!
Nas i konie chłód ranny przenikał do kości.

Wszystkie drogi na góry zalała piechota;
Gościńcem szły harmaty, lśniące jak ze złota,
A za niemi, w dwu światach zwycięstwami dumne,
Pułki jazdy gwardyjskie, ściśnięte w kolumnę.
Z konnicą był sam cesarz. Z orderową wstęgą
Pod swą szarą kapotą, na białym »Marengo«,
Stał i patrzył spokojnie, snąc pozycję badał,
Bo co chwila lunetę do oczu przykładał.

Hiszpan trzymał się krzepko. Z obronnych załomów
Grzmiały gardziele armat kanonadą gromów,
Jak ćma ptaków piekielnych na powietrzu mglistem,
Kule gradem śmiertelnym leciały ze świstem.
Raz wraz w pułki cesarskie, gdyby w żywe morze,
Wpada bomba rycząca, głębię jego porze,
Szkarłatną falą pryska, wali trupów rzędy;
I począł żołnierz mrużyć: »Nie przejdziemy tędy!«

Nagle cesarz nadjechał do szosy wylotu...
Widziałem: stał jak posąg, wśród kartaczów grzmotu.
Pękające granaty ryły granit twardy —
On, jak orzeł, wzrok puścił płomienny i hardy

W wąwóz, skąd dział szesnaście śmiercią nań bluzgało.
Potem zwrócił do sztabu twarz, jak całun, białą,
Skinął, chwilę na siodle nieruchomy siedział,
I któremuś ze świty kilka słów powiedział.

Myśmy stali na froncie z cesarza rozkazu.
Kozietulski gryzł węża i kłął raz po raz
Zły jak dyabeł. Z szeregów żaden głos nie wzlata,
Czasem tylko kto syknął: »Psia krew!« lub: »Do katal!«
Albo szkapę narowną kopnął w bok ostrogą.
Nawet zaćmić na kuraż zakazano srogo!
A tu, coraz siarczyściej razily nas działa
I »szlusuj!« oficerów wciąż komenda brzmiała.

Wtem szwadron przebiegł płomień: kurzawą okryty
Nadleciał major Segur od cesarskiej świty.
(Major Segur, chwał francuz! dusza jak skra, dziarska!)
— Kapitanie! — zakrzyknął — komenda cesarska:
Wskok szarżować na wąwóz i wziąć działobitnię!
Oto gratka: zwyciężyć, lub umrzeć zaszczytnie
W jego oczach! Ja z wami! Hej, na łeb! na szyję!
Niech żyje cesarz! — Myśmy ryknęli: — Niech żyje!

Miałem szkapę jak siarka, ojcowego chowu,
Ściąga jak wiatr, krwi wschodniej, bez wad, bez narowu,
Gniada, w pończoszkiach białych na przednich pęcinach.
Więc gdy kapitan po nas spojrział, jak po synach,
I sformował kolumnę czwórkami z prawego:
Cugłem puścił swobodnie na grzywę gniadego,
A on ledwo postyszał: »marsz! marsz!« jak mi skoczy!
I zaraz mgła mi krwawa przystoniła oczy!

Jezus, Marya! Gdy wspomnę, wprost nie mogę wierzyć,
Jak on mógł to rozkazać, a my tak uderzyć!

Waryatem lub półbogiem trza być! Kawaleryą
Brać wąwóz, gdzie baterya stoi za bateryą!
Ale wtedy z nas żaden nie pomyślał o tem.
Rwaliśmy z krzykiem: »Cesarz!« z brzękiem i łoskotem,
Gotowi do ostatniej wylać krew kropelki...
Jak On nas znał do szpiku! jak nas znał ten »Wielki!«

Jęk! Wrzask! Dym! Krew! Płomienie! Ciemna kurzu
Ludziom pióra i koniom wystrzeliły pióra! [chmura!
Wpadliśmy w wąwóz, gnamy... Rąbiem jak szatany...
Z pod kopyt ogłupiałe zmykają hiszpany.
Grzmią działa, karabiny! We krwi pół szwadronu
Spada z siodeł! Trzask kości! Straszny charkot zgonu!
Tu przepaść! Tam harmaty! — »Wskok! wskok! wskok!
Baterya jedna, druga i trzecia, i czwarta, [do czarta!«
Zdobyte!!

Kozietulski w najpierwszym momencie
Stracił konia i runął na wąwozu skręcie...
Nie zginął! Wstał i pieszo pobiegł do ataku.
Dziewanowski z Rowickim zostali na szlaku...
Rudowski na armacie legł przez siebie wziętej...
Krzyżanowski zabity... Krasiński pocięty...
A przy czwartej baterii posoką zbryzganęj,
Mdlął dzielny Niegolewski z jedenastu rany...

Jam się ocknął w krwi cały na ostatnim dziale...
Złote słońce na niebie gorzało wspaniale.
Nadjeżdżał właśnie cesarz. Patrę, a On z głowy
Zdjął kapelusz trzyrożny; z twarzy marmurowej
Biły blaski płomienne... Spojrział na harmaty,
Na trupy szwoleżerów, jak wiosenne kwiaty
Ścięte kosą... I nagle ściągnął brwi sokole
I wołał: »Cześć walecznym!«

I wstyd miał na czole!



DZIEWICA.

W dziejach życia, w dziejach ludów,
Ciągłe jedna myśl się toczy:
Do ekstazy i do cudów
Wiodą ludzkość twoje oczy...
Choć historyk z pergaminu
Innych przyczyn zmyśla mnóstwo:
Ty zapalasz żądzą czynu,
Ty, największe ziemskie bóstwo!

Co tam bajki kronikarzy!
Na dziejowej każdej stronie
Został ślad twej pięknej twarzy,
Twój gorący oddech płonie.
Może inną nazwę dano,
Może rzecz właściwą skryto,
Lecz to pewne: w dziejów rano
Byłaś zorzą złotolitą!

I to pewne: każdej nocy,
Co szła w dzieje szybkim krokiem,

Przy potężnej twej pomocy,
Ustępował dzień przed zmrokiem.
Bo z dwóch źródeł twoje czyny
Czarodziejski płyną kwiatku:
Ty, wiodąca na wyżyny,
Wiedziesz także do upadku!

Ale na tej naszej ziemi,
Co niejedne przeszła bole,
Rozjaśniałaś wciąż czystymi
Blaski, twoją aureolę.
W głębi dworów, w wiejskiej ciszy,
I po dziś dzień męskie ucho,
Z czarodziejskich ust twych słyszy,
Głos dźwięczący mu otuchą.

O! pozostań niezmieniona
W czarodziejskim dyademie;
Bo wraz z wiarą wielkość skona,
Co na skroniach twoich drzemie.
Patrz: jałowa nasza gleba,
Niebiańskiego łąknie czaru;
Nam sawantek nie potrzeba,
Ni heroin buduaru.

Z postępowej, wielkiej księgi,
Czerp dla siebie świeże siły,
Ale dawnej strzeż potęgi,
By jej nowe nie zaćmiły...
Rodzinnego twego domu
Nie oblekaj w smętne cienie,
I nieś dalej wśród pogromu,
Ciszę, słodycz, ukojenie!

GOŚC.

Szkolne zetknęło mię z nim życie,
Najlepszym zawsze był kolegą;
Odpisywałem pensa jego,
A podpowiadał — znakomicie.

Ileż to razy z ciężkiej biedy,
Gdy wszelka znikła już otucha,
On zręcznie wyratował druha!
Ach! jak ja go kochałem wtedy!

I dzisiaj, przysiądz mogę śmiało,
Sympatyę równą żywię szczerze,
Tylko... że lęk mię pewien bierze,
Gdy mi ten człowiek wejdzie w drogę.

Grzeczność dlań wstrętna niesłychanie;
Naprzykład: rozumuje chytrze,
Że chociaż z błota nóg nie wytrze,
Posadzka w miejscu pozostanie.

Ledwie się zjawi, strach mną miota.
— Jak się masz? — witam go uprzejmie.
— Rozgość się! — Także coś... Nie zdejmie
Za nic na świecie paletota.

Że zaś przybywa niegolony,
Że jego kołnier i manszety
Mogłyby świeższe być... Niestety!
Fakt, zapytajcie mojej żony.

Mniejsza i z tem; lecz gdy w rozmowie
Na temat kobiet zejdzie nagle,

Zuchwalstwo wtedy dmie mu w żagle,
I siedzi afront w każdym słowie.

Bywa też czasem zbyt łaskawy,
Szkolne mi dzieje przypomina:
W opowieść — karcer, kłęczki, trzcina,
I gorsze jeszcze wchodzą sprawy.

Przygryzam wąsy; żonce bowiem
Zataić chciałem te szczegóły...
Ach! potop jego wspomnień czuły,
Nieraz przyplącić muszę zdrowiem.

Zakończył wreszcie! Chwała Bogu!
Lecz lada słówko go podnieca:
— Ach! prawda, jeszcze jedna heca!
Oto zatrzymał się u progu!

I znów per longum et per latum,
Jakaś mi płochocność wypomina:
Przeszło godziny pół, — godzina,
Znikło nareszcie moje fatum.

Na biurku praca rozpoczęta,
Błagalnie ku mnie patrzeć zda się...
Siadam, — daremnie... po niewczasie...
Niech go tam wszystkie elementa!...

Z gniewem się w głowę skrobie sługa,
Gdy na posadzkę wzrok jej padnie:
— To błota nakładł mi szkaradnie,
Że się i rydlem nie dostruga!

Najmniejsza jeszcze rzecz z posadzką;
Ale co brzydki ów niecnota

Na mnie samego nakładł błota,
Przez gadatliwość świętokradzką!...

Ach! drzę przed moją panią miłą,
I z trwogi mi się słowa mąca,
Kiedy zapyta z minką drwiącą:
— Przyznaj się, jak to, co to było?



PTASZNIK.

Nosi spłowiałą taratatkę,
Z wytartym kołnierzykiem;
Palone buty, szalik w kratkę,
A ptaków ma pełną facyatkę,
Więc zwą go dziś — ptasznikiem.

Choć tylko jedną ręką włada,
Na pozytywce grywa.
Bywało... dniami w oknie siada,
Skrzydlatej rzeszy bajki gada
I gra, i piosnki śpiewa.

Słuchają starca szczygły, gile,
Szpak, czyżyk, szewskie ptaszę,
I rój kanarków jak motyle;
A stary ciągnie różne tryle,
Aż echem brzmi poddasze!

Potem słuchaczy w dłonie chwytą,
I karmi, dzierząc w ręce;

Potem z dzisiejszej lekcji pyta,
Nasamprzód kosa faworyta,
Piosenki po piosence.

Faworyt szyjkę wygnie krzywo,
Na ramię starca skacze
I patrzy mądrze w twarz sędziwą,
I śpiewa, gwizdże, że aż dziwo,
Aż ci coś w duszy płacze...

Tra - ta - ta... grubiej, tra - ta... cienie,
Miarową dzwoni nutą!
Staremu dziwnie twarz się mieni,
Sięga po chustkę do kieszeni,
I macha jak batutą.

»Raz, dwa, trzy! Ptasiu! od lewego,
A teraz marsz do klatki!«
I sam się zrywa miarowego,
I łyzy ociera, co mu biega,
Połami taratunki!

Westchnie, pociągnie niuch tabaki,
I klęka przed krzyżykiem...
I tak codziennie uczy ptaki.
A że nikt nie wie, kto zacz taki:
Więc zowią go — ptaszniakiem.

KUJAWIAK.

Mój ty skrzypku, mój basisto,
Jeszcze tego raz!

Jak to było w noc gwiazdzistą,
Nad rzeczułką, nad srebrzystą,
Kiedym konie paś!
Oj! dana!

Ej konisie wy konisie!
Nuże, grajku graj!
Pojedziewa do Marysie,
Zawieziewa koralisie,
Cały kwiecica maj zielony,
Cały kwiecica maj!

Idzie nocka zadumana,
Po przez pola, las...
Na wygonie, — ojże dana!
Stoi Maryś zapłakana!...
Już mi jechać czas i pora,
Już mi jechać czas!

Ejże grajku, jeszcze tego!
Złoty miesiąc wszedł...
Skoczyłem ja na siwego,
Wziąłem skibkę powszedniego,
Pojechałem het — przed siebie,
Pojechałem het!

Oj! jechało się, jechało,
Nie do Maryś swej...
Bo mi w drodze coś zagrało,
Coś pod duszą się ozwało,
Że choć łzami siej — a musisz,
Że choć łzami siej!

Biegła dusza na to granie...
Siła to już lat!

Bo mi było nad kochanie,
Nad tę nockę, nad zaranie,
Nad ten cały świat — milejsze,
Nad ten cały świat!

Biegła dusza za innemi...
Dość już skrzypku! stać!
Dawne czasy... Maryś w ziemi,
A ja płaczę rzęsiestemi...
Co będziecie grać — kiej boli,
Po próżnicy grać!



KAZIMIERZ WIELKI.

WSTĘP.

I.

Wielkości! komu nazwę twą przydano,
Ten tęgich sił odżywia w sobie moce
I duszą trwa, wielokroć powołaną,
Świecąca w długie, narodowe noce;
Więc choć jej świeży grób opłakiwano,
Przemoże śmierć i trumien gład zdruzgoce;
Powstanie z martwych, na narodu czele,
W nieśmiertelności królować kościele.

II.

W szkarłatach mię spowito w złotej trumnie
I pochowano na wawelskiej górze,
A tam sarkofag stawiono w marmurze,
Gdzie z berłem i w koronie spałem dumnie;
Zaś wszystkie stany w żałobnej posturze,
Niejako płaczki, zwracały się ku mnie,
Nade mną, nad ostatnim z rodu, wznosząc lament;
Wielkość — ludowi przekazywał mój testament.

III.

I sniłem życie mojego narodu
 Królewskie, błękitne, pogodne;
 Jak rosły, potężniały wieże grodu,
 Miast olbrzymy, z mych czasów wywodne.
 W sławie, w szeregach przelicznych pochodu
 Wieków... i ludów wielkość; wszystkie zgodne;
 Tak myśl je moja łączy i zasila.
 Zdało się, że się nieba skłon odchyła.

IV.

O snu! długiego snu! O sławo! sławo!
 O dolo ty! płynąca wielką rzeką!
 O losie ty! wulkaną rwiący lawą,
 O wieki! — jak się bezpowrotne wleką...
 Potęgo! surm wojennych grzmiąca wrzawą.
 O łyzy! te, co radością trysłe cieką.
 O serce! — jak miłościę światy kruszą!
 O snu, błogiego snu! O sławo-duszol!

V.

Zaszedłem w jakieś równiny przedwieczne
 Bez kresu, łąki stepowe, kwieciste;
 Niebo nademną rozwiło swe mleczone
 Drogi, i gwiazdy paliło złociste;
 Gwiazdy po za mną szły na drogi wsteczne,
 Olbrzymie koła zakreśląc kolistę;
 A ja łąk stepem bezkreśnym w milczeniu
 Idę, i ducha wiodę w zapomnienie.

VI.

Już poraz gwiazdy przedemną zgaszały,
 Nad łąką mglista zawisła opona

Chmur płowych, które nieruchome stały.
 Obręczne światła, zanim które skona,
 Tęczowo jeszcze na gęstwie mgieł drżały,
 Gasnąc; — już dal je chłonie nieskończona.
 Już kresy wieczne, dla dusz pastewniki,
 Pojące wonią ziół — już i strumyki —

VII.

Których srebrzysta woda, stało-mleczna,
 Wiją się, splotne tysiącznemi skręty,
 W stronę, gdzie dążę, kędy rzeka wieczna
 Zapomnień, — kędy duch mój zgaśnie zjęty;
 Aż go wyrocznia odrodzi słoneczna,
 Gdy będzie z trudów żywych wypoczęty.

Z POEMATU »BOLESŁAW ŚMIAŁY« *).

Opowiadali to za moich czasów,
 Że gdzieś w Karpatach król Chrobry zaśnięty
 W grotach, u wstępu do podziemnych lasów,
 Jego rycerstwo i on jak zakłęty,
 Przy koniach, zbrojni; że do tych tarasów
 Dostąpić nie śmie nikt, bo czartem wzięty
 Może skamienieć; więc, że lud się boi
 I że skrzydlaty ktoś we wrotach stoi.

Upodobałem tę powieść szeptaną
 Na wieczornicach, o mroku, tajemną,
 Z nabożną wiarą w jej moc powołaną,
 Która rozdziera prawd zastonę ciemną.

*) Strofy od LXXXV do C, włącznie.

Gdy się odemnie, króla, odwracano,
I teraz, gdym już wiedział, co nademną...
Tam, do nich! do tych grot mego pradziada!
Tam wejść i krzyknąć: Wstań! korona pada!

Ja, który byłem żywym prawd wcieleniem,
O tych rycerzach, niezwrotny, konieczny;
Com zatrząsł królów całym pokoleniem,
Com stał w mej sławy blaskach, jak słoneczny,
Dziś słucham baśni... Dziwnym zamyśleniem
Oplółt mą duszę czar, — staję się wieczny...
I myśl i zapęd mój dzisiejszej chwili
Wieczyste, — że się duch do lotu sili.

Byłem na górach, wdychałem szeroko
Do pełnych piersi powietrze to halne;
Tu zapomniałem był, żem krwi posoką
Obryzgał ołtarz tam i sługi mszalne;
Tutaj widnokrag daleką roztołą
Wierchów, te na nich wichry borealne
Leczył, — tu nawet śmierć mojego syna...
Już jakby przepadł był głos, co przeklina.

Więc przebiegałem wszecz skalne wierzchnice,
A za mną ostry ten wiatr skalny, dując;
Groty przetrząsałem górskie, grot piwnice,
Różne domysły z onej klechdy snując.
Na wszystkie Tatrów wdarłem się turnice,
Rycerzy onych śpiących upatrując.
Jako jest długi w łańcuchu skał szaniec,
Nigdzie i nigdzie od krańca po kraniec.

Ból przeinaczył kształty w krag widziane
I czynił żywe dziwo śpiące w duszy;

Stawiał wśród złomów zjawiska wołane,
W martwych kamieniach tej pustynnej głuszy;...
Że się zdawało nieraz: skała ruszy
Mająca twarze, jak ludzie pospane.
Naraz ujrzałem wojsko, jak w błękitach,
Słońcem czerwonym oblane po szczytach.

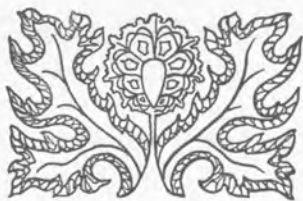
Konni, w rynsztunkach ciężkich, jak skorupach,
Jak był daleki widok skalnych złomów,
W tych zorzach wszyscy, jak na zwalisk kupach,
Na górach, niby ruinach zamków, domów...
Olbrzymy, całe nie duchy wkłęte w trupach;
Dziw, co dał powód do baśni i pomów;
Jakby po skałach w słonecznej czerwieni,
Żywa płynęła krew siecią strumieni.

W ciężarach tarcz i zbroic mchów zielonych,
Dzierżący miecze szczerbione i rdzawe,
Przed się godzili w ruchach zamierzonych,
Goniący złudną, w wichrach lotną sławę,
Że kiedym patrzył zdumiały po onych
Rycerzach, — jako łyzy im ciekły krwawe
Z lic, w złotem słońcu tem, co ciska zorze,
Uczułem, jako gnają gdzieś w przestworze...

Już nie widzący granic dla swych pędów,
Że już ich oczy sięgły w przepaść ducha,
Kędy dojrzały własnych dzieł obłędów,
Nierozzerwalny ciąg widząc łańcucha,
Którym przykuci do siodła i rzędów
Jeźdźce, rozpędni, gdy już duch nie słucha
Ręki, że ręka w pół ruchu zmartwiała...
Tak ich na wieczny sen pojęła skała.

I oczym wodził po tych widowiskach,
 A myśl za nimi puszczone szalała,
 Jak zawieszona w pęd, stała w urwiskach,
 Że zda się zdolna do wysokoku skała,
 Aż zrozumiałem — jaka w tych zjawiskach,
 Wielka myśl oczom się postaciowała:
 Ci są rycerze śpiący, co w pół ruchu,
 W polocie jeszcze cielskiem — spali w duchu.

Śpiący rycerze, to ci, co beczynni,
 Ci co gnuśniejają za domem, czy doma;
 Ci, co jakimiś już dziełami słynni,
 Już syci sławy, i już ich oskoma
 Nie unosi, — ci po wszystkie czasy winni,
 Leniwe duchy, których śmiałość chroma,
 Których przeklęty losy, dawszy wieńce,
 I którzy są we wiechach-więzach jeńce.



MAGDALENA.

O! nie patrz na mnie! Jam pełna lęku...
 Z amforą wonnych olei w ręku,
 Idę pomazać Twe stopy znojne:
 Niosę im nardu wonie upojne,
 Żar pocałunków i łez mych strugi,
 I klęcząc, warkocz rozplątam długi,
 I z stóp Twych kornie biorę na włosy,
 Łez moich zdroje i oliw rosy.

O! nie patrz na mnie! Długom czekała,
 Długo płomienna byłam i biała...
 Lecz teraz odwróć te słodkie oczy,
 Bo trąd występku ciało mi toczy...
 W proch mi skroń zetrzyj stopy białemi,
 Bom najgrzeszniejsza między grzesznemi...
 Bom jako owa oblubienica,
 Co w snach już widząc miłego lica,
 W przededniu jasnym dnia godowego,
 Zbiegłszy z wyżyny pałacu swego,
 Na żer służalczym pachotom dała,
 Królewską krasę swojego ciała...

Lecz nie odtrącaj!... Jam Twoje ręce,
W snach widywała i w przeczuć męce,
I drżąc w brutalnych ramion oplocie,
Duszę miewałam w łzach i tęsknocie,
I w skrach ogniowych, w szału purpurze,
Jak gołąb byłam o białem piórze!

Wiem, — przyjdą inne... Już się wybiela,
Straż najprzedniejsza cór Izraela,
I niosą kwiatów barwistych snopy,
Pod Twe tułacze, wędrowne stopy.
Idą ku Tobie w zwartym szeregu,
Idą ku Tobie w róż białych śniegu...
Nie mnie iść z niemi!... Po wieczne czasy,
Popiołem zsypię raj mojej krasy,
I w ślad stóp Twoich pójdę pokutna,
Jako służebna, cicha i smutna!...
Nie mnie iść z niemi!... Twoje źrenice,
Godowych dziewic zrumienią lice,
I Twoje dłonie spoczną litośnie,
Na ich liliowej, rozkwitłej wiosnie...

O! Rabbi, Rabbi! ja w prochu leżę,
I z Tobą pójdę i w Ciebie wierzę,
I kładę usta i włosy moje,
Pod opylonych stóp Twoich znoje!
O! Rabbi, Rabbi!...

»Wstań od stóp moich! Zmazan grzech ciała,
Boś nieskończenie umiłowała,
I odtąd będziesz z śniegu i woni,
Ów kwiat, na dziewic wybranych skroni!
Idź!... i oleje pochowaj wonne,
Na namaszczenie dla mnie pozgonne«.

Z MARZEŃ MOICH.

Królestwo moje nie na tej ziemi,
Fale je skryły grzywy piennemi,
Łąd mój słoneczny, jasny, pogodny,
Nurt oceanu zatopił wodny.

Lecz z mego łądu w mroków godzinie,
Stłumiona gędzba stu dzwonów płynie.
Lecz z mego łądu przez fal obręcze,
Grają mi pieśni i świecą tęcze.

Bo na mym łądzie skarby bezcenne,
Koronne złota i berła lenne;
Bo na mym łądzie chodzą tęsknoty,
I do mej duszy klucz dzierżą złoty.

I kiedy słabną jej skrzydła znojne,
Kładą jej władcze szaty dostojne,
I jasnovidzeń dają źrenice,
By w swe królewskie patrząc dzielnice,
Żyła tęsknoty porywem wiecznym,
Za utraconym łądem słonecznym.



NIE WIEMY DNIA, ANI GODZINY.

Nie wiemy dnia, ani godziny,
W której się zjawi śmierć i stanie
Nad kołyskami naszych dzieci,
U głów naszego łoża...
Nie wiemy dnia, ani godziny,
Bo według woli Twojej, o Panie!
Ostatnia zgaśnie zorza,
Co radowała nasze oczy.
Bo według woli Twojej, w otchłanie,
W nieznanie nam głębiny
Nieznanych mórz,
Słońce się nasze stoczy,
Słońce naszego dnia!...

Nie wiemy dnia, ani godziny,
Czy w przedświtowy pobrzask biały,
Kiedy rozszumią się choiny
Poranną pieśnią boru,
Czy w szary zmierzch wieczoru,
Wśród stepu zbóż,

Co kłosów złotem się rozchwiały,
Czyli bezgwiezdną, głuchą nocą,
Gdy drzewa z wichrem się szamocą,
Śmierć do nas przyjdzie pokryjomu
I nad naszego dachem domu
Jej skrzydła załopocą —
Nie wiemy...

A dzień za dniem unosi fala
Bystrego czasu...
Tyle się istnień w wieczność zwała,
Jak te dęby pośród lasu,
Kiedy podetnie je siekiera,
A dzień za dniem umiera,
Unosząc z sobą tyle strat...
Tyle się istnień, jako kwiat
Podcięty kosą, w wieczność stacza,
I tyle dusz
Po stratach swych rozpacza...
A dzień za dniem umiera,
A śmierć, jak jesień, która mrozi kwiecie,
Chodzi po świecie...
Pod ludzkich domostw dach zaziera
I z łupem się oddala.
A za nią w dal, bolesne płynie wżwyż wołanie:
Wieczne odpoczywanie,
I światłość wiekuistą racz im dać, o Panie!

CISZA WIECZORNA.

Wieczorna cisza idzie od łąk,
I srebrną rosą pruszy...

Trzeba mi dwojga drogich rąk,
Trzeba mi twojej duszy...

Niech mi owina szycę w krąg
Twe ręce jak powoje...
Wieczorna cisza idzie od łąk,
A serce tęskni moje...

Trzeba mi drogich dwojga rąk,
Trzeba mi twojej duszy...
Czeremchy mocno pachną w krąg,
Kwiat z białej leci gruszy...

A życie jest, jak pierścień mąk,
A smutne życie moje...
Niech mi owina szycę w krąg,
Twe ręce jak powoje...

Wieczorna cisza idzie od łąk...

MAJ.

Idzie lasem maj królewic,
W otoczeniu leśnych dziewic,
A stuletni las,
Kłania mu się w pas.

Barwne kwiaty leśnych polan,
Gną mu się do samych kolan,
Bzezinowy szumi gaj:
Idzie lasem maj!

Z drogi! z drogi! Przed nim bieży,
Od rubieży do rubieży,
Wiatr, — i rozkaz pański niesie —
Hej! jak huką coś po lesie,
Hej!

Idzie lasem maj,
Brzezinowy szumi gaj,
Po rozłogach kwiaty rosna,
Pachnie cudem, pachnie wiosną...

Dookoła istny raj:
Idzie lasem maj,
Idzie wiosny młody bóg,
I uderza w złoty róg.

A głos rogu płynie knieją,
Zielone się drzewa chwieją,
Cały śpiewa bór,
Jako jeden chór.

A za borem w ślad,
Śpiewa cały świat.
Biją młotem serca dziewic,
Idzie, idzie maj królewic,
Idzie złoty maj!



NA DESZCZU STRUNACH.

Na wyciągniętych deszczu strunach
Wiatr wzdycha, jęczy i łka;
Na miękkich pajęczyn całunach,
Królowna łka.

Jej ręka leciuchna i żywa,
Szybka jak białych lot chmur,
Układa mych tęsknot przedziwa,
W przedziwny wzór.

I kwiaty zabrane mej wiosnie,
Zieleń umarłych już łak,
Znów płoną, wskrzeszone miłośnie,
Czarem jej rąk.

DZWONY NIESZPORNE.

Łkają przeciągle dzwony nieszporne,
Prosząc o ciszę dla zmarłych dzielnic;

W mojej samotni, jakby z kadzielnic,
Snują się zwolna mroki wieczorne.

Prosząc o ciszę dla zmarłych dzielnic,
Dziwna tęsknota łka w mojem łonie;
W mojej samotni, jakby z kadzielnic,
Mdlejących kwiatów snują się wonie.

Dziwna tęsknota łka w mojem łonie;
Słyszę pożegnań żałobne psalmy,
Mdlejących kwiatów snują się wonie,
Na trumnie wędną święcone palmy.

Słyszę pożegnań żałobne psalmy,
Oczy przystania opona mglista,
Na trumnie wędną święcone palmy:
»Niech światłość świeci jej wiekuista«.

Oczy przystania opona mglista,
Kołana same gną się pokorne:
»Niech światłość świeci jej wiekuista«,
Łkają przeciągle dzwony nieszporne.

O PRZYJDŹ!

O przyjdź jesienią —
Wdziej szatę lekką, białą, zwiewną,
Pajęczą.
Rzuć na hebanowe twoje włosy
Perły rosy,
Lśniące zimnych barw
Tęczą.

O przyjdź jesienią —
Owiana skargą tęskną, rzewną,
 Żórawi,
W dal płynących szarą niebios tonią,
 Tchnącą wonią
Kwiatów, które mróz
 Krwawi.

O przyjdź jesienią —
W chwilę zmierzchu senną, niepewną;
 I dłonie
Twe przejrzyste, miękkie, woniejące,
 Na cierpiące
Połóż mi skronie:
 O śmierci!



Z POŚMIERTNYCH STROF.

Zdawało mi się, że miejscem pokuty
Jest jakaś gwiazda zakrzepła, nieżywa,
Gdzie duch, jak pająk w nić wspomnień osnuty,
Rozwija myśli mieniące przedziwa,
Na życie patrząc, jak na haft popruty,
W którym się nitka płacze i przerywa,
A potem znowu bierze je w swe łono,
 Serce owijać niemi jak wrzeciono.

Zdawało mi się, że senną gromadą,
Duchy milczące na głązach tam siędą
I w twarz księżyca nieznanego bładą,
Jako wędrowni ptacy patrzeć będą,
I jak podróżą umęczone stado,
Niezdolne gwarną cieszyć się gawędą,
W miesięczną tarczę zapatrzą się białą
 I będą czekać... tak mi się zdawało...

I zdało mi się, że jak znojni żeńce,
Pójdą słoneczne duchy do dziedzica

I ciężkim kłosem szeleszczące wieńce,
Nieść będzie polem dusza — przodownica,
Aby je Panu w jasne oddać ręce...
I zdało mi się, że boża świetlica,
Jak na dożynki, ów dwór malowany
 Wrót im uchyli i rozszerzy ściany...

I już tak w myśli dostojni, choć prości
Ze złotym plonem kłosów mi stawali,
W dogasających, dziennych zórz jasności,
Co się na niebie łuną blasków pali —
Już wzrok mój prawie widział onych gości,
Jak wzdłuż po miedzach szli w poświęcie cali,
Słońcem żegnani, co za łan się chowa,
 A w blask nad nimi, szła pieśń dożynekowa.

I zdało mi się, że tak kiedyś z ziemi
Odejdę cicho ku zorzy z powrotem,
I tak gromadnie, z żeńcy znużonemi,
Dojrzałych kłosów pobrzękując złotem,
W progę niebieskim stanę, by z innemi,
Pieśń smutną zawieść o lecie, i o tem
Jako raz żeńcy żąć łan zbożny chcieli,
A sierpów swoich w chatach zapomnieli.

I już mi w oczach stawał zmierzch ten błogi
Dnia, co się skończy pieśnią — i szczęśliwie,
Z plonem, w świetlane zawiedzie nas progi,
Na wczasy wieczne po skończonem żniwie,
Policzy chlebne na pokłosiu stogi
I pokój wielki rozpostrze na niwie,
Gdy u Twych jasnych stanąwszy podwoi,
 Rzekniem ci: — »Panie! oto żeńcy Twoi!«

A dzisiaj oto, przy mnie i nademną
Głęb jakaś chłodna czai się i mroczy,
I w noc bezgwiezdną wy tężam daremno
Kształtów i światła nawyknięte oczy,
I z lękiem patrzę w ona bezdeń ciemną,
Co zewsząd ciężkim kirem mnie otoczy,
I jak puch błędny oddechem mię chłonie,
 I jak pył marny gubi w swoim łonie...

Aż kiedy oczy podnosząc bezwiednie,
Nagle, ku innej obrócę je stronie,
Widzę jak niebo mieni się i blednie,
Kir rozsuwanej podobny zasłonie,
Zbywa czarności, szarzeje i rzędzie,
Zsuwa się, zwija, aż wreszcie zapłonie
Świtem różanym, i na przestwór boży
 Słońce, jak rana krwawa się otworzy...

I dzień jest jasny... Jakiś smug jałowy,
Posępna równią kładzie się dokoła,
Brzegiem, nad strugą, ciężkie chyląc głowy.
W szeregu wierzby stoją... Jakieś sioła
Dymią się w dali... Doczesnemi słowy
Żaden żyjący, ani duch, nie zdoła
Wyrzucić trwogi, co mi pierś oniemia,
 Odkąd się widnem stało, że to ziemia!

I wiem już dzisiaj, że niema opony
Dzielącej życie od grobu! Jest ino
Dreszcz ów przedśmiertny i ten potok słony
Łez, co za nami z drogich ocz popłyną...
I, że z doczesnych więzów wyzwolony
Duch, nadal ziemską błąka się nizina,

I na jej smutki, którym miary niema,
Suchemi odtąd pogląda oczyma...

I wiem już dzisiaj, że odtąd znikomy
Cień mój, po znanej pójdzie błądzić ziemi,
I w niewidzialną swoją pierś, ogromy
Krzywd ludzkich biorąc, oczyma własnymi
Wciąż patrzeć będzie na posiew widomy
Złych mocy ziarna i z usty niememi,
Iść będzie karą spętana zamogilną,
Duszę czującą niosąc a bezsilną...



NAD GRUZAMI.

Ha, myśliciele! Wy walić umiecie
Prawdy, co wczoraj niewzruszone były,
Dziś się w bezkształtne rozpadają bryły;
Jutro wieść o nich już zaginie w świetle!

Biada stworzeniu, co pod dachem kruchym
Stawiło skarby swoje i ogniska,
Wierząc stuletniej potędze zamczyska,
Które się jutro z jękiem zwali głuchym!

Biada gołębim tam u szczytu gniazdom!
W proch jutro padną razem z wieżą dumną,
Razem z złoconą krzyżową kolumną,
Co wczoraj blaskiem urągała gwiazdom!

Aby żyć można bez wiecznego strachu,
Katem być trzeba pod powierzchnią ziemi,
Oślepnąć, chodzić drogami czarnymi,
I słońca nie znać, ani świątyń gmachu!

Ha! albo orłem! Wzbić się ponad wieże
I z góry patrzeć na zniszczenia ślady,
Na konające pośród gruzów gady,
I konające wśród gruzów rycerze!

Bez odpoczynku i bez pokrzepienia,
Tak się pod niebem orlim ważyć lotem
I gardzić świątyni walących się grzmotem,
I gardzić ziemią, co wiecznie się zmienia!

A kiedy w skrzydłach nie stanie już mocy,
Orzeł samotny, który żył bez gniazda,
Upadnie z nieba, jak strącona gwiazda,
Na łono gruzów, zapomnień i nocy...

STARY MŁYN.

Czasem, wieczorem rozszumią się jodły,
Ciemny bór zabrzmi i do życia wstanie,
Fale strumienia, jakby wtór mu wiodły,
Z głębi srebrzyste wyżalą płkanie...
I słyhać wtedy w całym świecie modły
Śpiewne wszechwzrostów, a na ziemskim łańcie
Błogo i dobrze i anielsko bywa:
Melodya, zda się, z bram niebieskich spływa.

I gra orkiestra! Wtem nagle przycicha,
Milkną przerwane akordy w połowie
I taką głośną znowu świat oddycha,
Że myśli niemal szelest słyhać w głowie,
Słyhać, jak w lesie ćma trzepoce licha,

Jak sowa z gniazda zrywa się w parowie...
Cisza... Wtem łoskot wzniosł się nad wodami:
Młyn się odezwał — zachrzącał kołami.

Młyn stary, nocne odmawia pacierze.
Drewniane ręce podnosząc ku górze,
Wodę garściami w dłonie z desek bierze,
A potem w kropel rozmgławia ją chmurze
I czoło kryje w to białe opierze,
A że mu łoży obrosły podnóże,
Więc go nie widać z za wód i zieleni:
Stuk tylko słyhać i kół i kamieni.

I jest młyn wtedy jak duch u człowieka,
Choć niewidzialny, przecież jęczy głośno,
A we mgłę spowit z tęsknotą narzeka...
Chciałby odegnać mgławicę nieznośną,
Więc coraz szybciej wodę kołem sieka,
Zżyma się, zrzędzi i smutno i złośnie,
Ale z mgły ruchem skrzydeł podwojonój,
Coraz się gęstsze wzdymają zasłony.

Wiatr powiał świeży; młyn odetchnął wolno!
Mocarz! Dławiące rozegnał tumany
I z głębi lasów woń mu przyniósł polną.
Raźniej się ruszył młyn w wietrze skąpny
I zboże pracą kamieni mozolną
Roztarte, chyżo napełniało dzbany,
Skorzej, radośniej młyn się w wodzie pluszcze,
A pieśnią wielką w takt mu grają puszcze...

Czy lasy płoną? Pomiędzy konary
Czerwone jakieś rozpala się zorze.
Bór jest jak ręka olbrzymiej poczwary,

A w niej, jak złota stopionego morze
Łuna. Ogniste już srebrniejszą żarę,
Łśni się już z wierzchu czarnej puszczy łożę,
Łśni się już woda — to czarodziej wstaje,
Olbrzymi księżyc wypływa nad gaje.

Jasno! Cień długi po łożach się łamie,
A młyn się zdaje być olbrzymem z baśni;
Potężne w światło wytknął z mroków ramię,
A księżyc po nim pływa coraz jaśniej.
Młyn, jakby kapłan w świętej nocy chramie,
Namiętnie szepce: o światło! nie gaśnij!
Przez łzy perłowe z rozkoszą się śmieje...
Księżyc się wznosi i niebo widnieje...

Pod kołem woda gwiazd ulewą pryska,
A reszta dawnej, duszącej mgławicy
Pod czarów różdżką jasnym duchem błyska,
Jak na rusałek letniej wieczornicy,
Życie i światło z kaskad wody tryska.
Ożył świat cudów! Słowo tajemnicy
Zakłęć, powiedział księżycu blask nocny,
Nieśmiały niby, a czysty i mocny.

Młyn jest pałacem ze srebra, opali,
Nad rzeką pereł stawionym zakłęta;
Wewnątrz księżniczka na łożu z korali
Zaczarowana marzy miłość świętą...
Łozy zadrgały, tentent słyhać w dali,
Jedzie królewicz wybawić zaśnietą
I czary dzielnym rozłamać ramieniem?...
— Ach! czemuż złudnem to wszystko marzeniem!



STUDNIA.

W rozłożone, słoneczne, omdlałe południe,
Gdy pracownicy pola w dom spieszą, a błonie
Opustoszeje z ludzi, ponad starą studnię
Trwożna dziewczyna idzie patrzeć w ciemne tonie.

Pochyla się nad głębią, i cichemi słowy
Szepce w mrok, a jej piersią wstrząsa lęk niezmierny.
A szept leci wzdłuż ściany omszałej, pionowej
I z lekkim pluskiem na dno upada cysterny.

W dole, w głębokiej wodzie, wstają blade cienie,
Spojrzą w górę i szeptem dziewczynie odwótrzą,
Patrzą w jej twarz miłośnie i na jej skinienie,
W czarne zwierciadło śpiącej wody się zanurzają.

Dziewczyna spuszcza z wolna w czarną studnię wiadro,
I czeka... A po chwili, nurki, jakiś złoty
Skarb niosą, jakieś cudne kwiaty, których nadrą
Na dnie w porostach wodnych i dziwne klejnoty.

W wiadro je kładą, znaki dają potajemnie
I dziewczyna wyciąga wiadrem cud po cudzie...
Nagle nurki się kryją w wód drzemiących ciemnie,
Dziewczyna pierzcha w dali... Nadchodzą już ludzie.

Wypoczęli i biegną spragnieni nad studnię,
Lecz nie szepcą w nią z lękiem, brzmi tylko śmiech młody...
Nie zjawi się cień nurka: na dnie mrok, bezludnie...
Ciągną wiadro: lecz nie ma w niem już nic — prócz wody.

SARKOFAGI.

Jest w głębiach moich czarne, posępne podziemie,
Krypta pełna śmiertelnej, ogłuchłej powagi,
Kędy w zakrzepłej ciszy, co snem mroków drzemie,
Ciągną się marmurowe, ciężkie sarkofagi.

Na nich leżą kamienne postaci rycerzy,
Bezładne snem spiżowym po trudzie skończonym,
Z piersią zimną, zakutą w chłód głaźnych puklerzy,
Nie śnią, że w górze życie grzmi wirem szalonym.

Przed walką w kryptę dusza ma uchodzi błada,
Lęk życia nosąc w piersi drżącej, zniewieściałej,
I na śpiące marmury senne kwiaty składa,
By za jej brak odwagi zmarłych przebłagały.

Lecz drży w pomroku trwożna, że wonne powietrze,
Które kwiaty ozywczą wkoło leją strugą,
Z lic umarłych rycerzy sen śmiertelny zetrze,
I drży, by nie otwarli oczu... Czeka długo...

Do sarkofagów z trwogą podchodzi tajemną,
W milczeniu patrzy w każdą twarz surową, twardą...
Nadsłuchuje... czy za jej tchórzliwość niktzemną,
Serce w piersi kamienia nie zadrga — pogardą.

PUHAR MOJEGO SERCA.

O jak ostrożnie niosę ciche serce moje,
O jak z niezmierną trwogą niosę je przez życie,
Omijam drogę, którą torują przeboje,
Omijam strome ścieżki, gdzie grozi rozbicie!
Bo z takim trudem dałem mu ciszę ukojną,
Z takim trudem zdobyłem dla niego ostoję,
Przystań dla umęczonych milczącą, spokojną...
O jak ostrożnie niosę ciche serce moje!

O jak ostrożnie niosę mój puhar z kryształu,
O jak z nim trwożnie stąpam wśród drogi mej cichéj,
Zdała od uczt, gdzie pośród płomiennego szału,
Biesiadnicy trącają w wezbrane kielichy!
Gorycz ryse pęknięcia wyżarła w nim wieczną,
A z takim trudem długo, cierpliwie, pomału,
Napełniałem go winem łez, mą krwią serdeczną...
O jak ostrożnie niosę mój puhar z kryształu!

MODLITWA.

Chroń, Panie, wątłą duszę mojej zieleń,
Od podeptania i martwych spoiwień,

Abym wśród życia Ostatniej Wieczerzy,
Czuł jej aromat balsamiczny, świeży.

I niech rozpięty na krzyżu konania,
Nie widzę słońca, co w pomrok się skłania,
Lecz niech mi Wiara, Matka Bolesciwa,
Wskaże dal, gdzie się świt nowy odkrywał!



PIES.

Ja miałem kiedyś swoją budę, lecz w nocy raz głu-
szący huk,
Obudził mię obuchem w głowę i rozszalała masa wód
Na moje wpadła legowisko, i darmo prężył się mój trud!
Daremniem się z żywiołem wściekłym o swoją budę
gryzł i mógł!

Zatopił mi ją! a mnie porwał i z rykiem tryumfalnych trąb,
Zwycięzonego niósł na barach i z mych wysiłków mar-
nych drwił,
I oszołomion dzikim pędem, zgnębiony, zabaczyłem sił
I zdałem mu się, nawpół czując, jak niesie mię na stra-
szną głąb!

Na morze rzucił mnie! na morze, co jak pustynia leży
w krąg,
I myśli, żem się tych obszarów bezkresnych, pustych
morza zląkł,
Że będę, łeb ku niebu tężąc, z wściekłości i rozpaczy wył!

Nie będę wy! Na żywioł morza, co taki groźny w koło
legł,
Mam, — pies potężny, — morze mocy, huczące burzą
skroś mych żył!
Mnie stanie tchu! i łap mi stanie! i mój jest niewia-
domy brzeg!

MOJE PSZCZOŁY.

Ongi, choć nie pasiecznik, miałem swoje pszczoły.
W dziada wiśniowym sadzie stały moje ule
I, jakby koło dzieci, starzec chodził czule
Koło mych pszczół, co umarły dwa, czy trzy lata temu.

Wielkie to było święto, dzień słodki, wesoły,
Kiedy dziad pośród lata mnie wnuka miał w gości...
W sad wiśniowy mnie wołał drżącego z radości,
Wiódł do pszczół! Dziś, umarły dwa, czy trzy lata temu.

I nigdy mądry starzec nie brał im za wiele
Miodu, co moim wargom miał przypaść w udziale:
Miewały zimy spokojne... Umarły dwa, czy trzy lata temu.

Dziś w sadzie mego dziada: pasieki znak widomy,
Leżą pnie pustych ulów, leżą zwalone domy
Mych pszczół, mych pszczół, co umarły dwa, czy trzy
lata temu.

CHRYSTUS.

Twój święty Zakon Miłość i Miłość Tobie na imię.
Obecny jesteś wszędy, gdzie zejda się dobre dusze.
Ongiś był jako człowiek i podjął krzyża katusze
Za rządów Pontskiego Piłata: Chrystus w Jerozolimie.

Potem byłeś pogrzebion, a w trzy dni, o wczesnym
świcie,
Niewiasty, niosąc olejki, już nie znalazły Cię w grobie.
Posłaniec Twój niebieski dał im wiadomość o Tobie,
I oto w Twojej miłości — śmierć pokonana przez życie.

Zasię wstąpiłeś do niebios, a razem bawiąc na ziemi,
Szukasz, gdzie schodzą się dusze w imię przeczystej
Miłości.

Lecz nie tak mnogo, jak pragniesz, związek dusz ludz-
kich Cię gości,
Nie tak się, o Chryste Panie, jak godna, posiew Twój plemi.

Imię Twe głośnie na ustach: i cóż Ci z kąkolu na niwie?
Idziesz i szukasz, szukasz... Ziemię schodziłeś już całą,
A smutek litosny wraz z Tobą: tak mało dusz Twych,
tak mało!...

Lecz wiesz, że dzień Twój nadejdzie i czekasz cierpliwie,
cierpliwie...



BABIE LATO.

Posłał siostry trzy pan w babie lato na łąn,
Która nici najwięcej umota,
Tej dostanie się korona złota,
Tej dostanie się korona złota.

Strój se godny ma zwić ta co panią chce być:
Niechaj szatę z pajęczyn uszyje,
Jakiej oko nie znało niczyje,
Jakiej oko nie znało niczyje...

A jesienny był czas i z wiatrami nad las,
By ze szatek anielskich len biały
Pajęczyny we słońcu latały...
Pajęczyny we słońcu latały.

A świt modry już wszedł nad polami w mgle het,
Trzody z rykiem pędziły pod zorzę
I żórawie leciały za morze,
I żórawie leciały za morze.

Więc nastarsza z trzech dziew siadła w cieniu wśród drzew,
Pajęczyny zbierała te siwe,
Co upadły na łąkę, na niwę,
Co upadły na łąkę, na niwę,

A weśrednia w ten czas szła na wygór pod las,
Obaczyła z fujarką pastucha,
Więc przysiadła opodal a słucha,
Więc przysiadła opodal a słucha.

A najmłodsza szła w krąg wśród ugorów i łąk,
Obaczyła sznur długi żórawi,
Jak we słońku jesiennem się pławi,
Jak we słońku jesiennem się pławi...

Za ptakami tak szła po ugorach by mgła,
Aż zjaśniała po sobie od słońca,
Za ptakami na wyraj lecąca...
Za ptakami na wyraj lecąca...

A gdy skończył się dzień i na pola zszedł cień,
Powracały trzy siostry do chaty,
Że to jedzie królewicz bogaty,
Że to jedzie królewicz bogaty.

Starsza przodem w dom szła, kłębek nici już ma,
Więc po drodze się cieszy a chlubi,
Że ją właśnie królewicz poślubi,
Że ją właśnie królewicz poślubi.

A weśrednia szła z nią: oczy zarem jej skrzą,
Nie zbierała z pastuchem pajęczyn,
Myśli jeno o dniu swych zaręczyn,
Myśli jeno o dniu swych zaręczyn.

A najmłodszej to wkrąg u korali i wstąg
Nitki lśnią, jak haft słońca bogaty;
I tak wraca świecąca do chaty,
I tak wraca świecąca do chaty!

Pan przyjechał na dwór, do rodziców trzech cór,
A że młodsza najpiękniej rozkwita,
Więc się do niej obraca i pyta,
Więc się do niej obraca i pyta:

Takaś piękna, jak cud, słońcem świecisz od wrót,
Czyś pajęczyn zebrała już wiele,
Czy nam kraśna zagrają w kościele?
Czy nam kraśna zagrają w kościele?

A ta oczy w dal śle, ani słuchać go chce;
Miałam z blizka to słońce złocone,
Schowaj panie twą złotą koronę!
Schowaj panie twą złotą koronę...

Więc przed średnią pan wstał, złoty pierścień jej dał:
Ty mi będziesz kochanką i żoną,
Kraśna dziewczko, już tak ci sądzono,
Kraśna dziewczko — już tak ci sądzono.

Lecz ta płonąć by mak, odpowiada mu tak:
Niechaj siostra ci żoną ostanie,
Ja innego miłuję już panie,
Ja innego miłuję już panie...

Chcę w chałupie z nim żyć, z ust mu słodkość chcę pić,
On mi śpiewa pode wsią na wygonie,
Pasający tam bydło a konie,
Pasający tam bydło a konie.

Pan odwrócił swój wzrok i ku starszej szedł krok,
A miał lica okrutnie zsepione,
Bo nie była urodna na żonę,
Bo nie była urodna na żonę...

Uśmiechnęła się doń i podała mu dłoń,
Kłębek ręką trzymała już drugą. —
Żyli z sobą szczęśliwie i długo...
Żyli z sobą szczęśliwie i długo.

ŻYWY RUCZAJ.

Starzy króle śpią w parowie,
Pod miesięcznej nocy mgłą,
A korony na ich głowie,
Jak tęczowe węże lśnią.

Czysty źródł im stopy głaszczce,
W rękę świeci złoty kruż,
Rozpostarli krwawe płaszczce,
Na gęstwinę dzikich róż.

Po kalinach chłód przewiewa,
Świeżość nocy bije w jar...
Starych piersi nie ogrzewa,
Dyamentowych koron żar.

Siedzą w jarze długie lata,
Aż zakrzepli w martwym śnie;
Powój berła ich oplata,
Po koronach bluszcz się pnie.

Zapleśniało wino w kruzach,
 Blask przepychu dawno zgasł,
 Tylko ruczaj świeci w różach,
 Niby lity, słucki pas.



SPIS POETÓW

ZAMIESZCZONYCH W CZWARTEM WYDANIU ANTOLOGII POLSKIEJ.

	Str.		Str.
Anczyc Wł. L.	289	Gosławski Maurycy	147
Asnyk Adam	275	Goszczyński Seweryn	124
Baliński Karol	171	Grochowski Stanisław	13
Berwiński Ryszard	231	Grudziński Stanisław	316
Bielowski August	158	Ilnicka Marya	252
Biernacki Mikołaj	308	Jabłoński Henryk	166
Brodziński Kazimierz	70	Jankowski Czesław	349
Brzozowski Karol	218	Karpiński Franciszek	54
Brzozowski Stanisław	418	Kasprowicz Jan	353
Chęciński Jan	239	Klonowicz Sebastian	9
Czajkowski Antoni	268	Kniaźnin Dionizy	51
Czerwieński Bolesław	336	Kochanowski Jan	1
Dębicki Zdzisław	414	Kochowski Wespazyan	29
Deotyma	245	Komorowski Bronisław	331
Drużbacka Elżbieta	31	Konopnicka Marya	255
Faleński Felicyan	302	Koźmian Stanisław	284
Fredro Aleksander	151	Krasicki Ignacy	38
Garczyński Stefan	145	Kraśniński Zygmunt	106
Gawalewicz Maryan	344	Kraszewski Józef Ignacy	263
Gaszyński Konstanty	136	Kraushar Aleksander	314
Gliński Kazimierz	340	Lange Antoni	386
Godebski Cypryan	64	Laskowski Kazimierz	401
Gomulicki Wiktor	324	Lenartowicz Teofil	213
Górski Konstanty	367	Magnuszewski Dominik	177

	Sir.		Str.
Malczewski Antoni	80	Sowiński Leonard	311
Miaskowski Kasper	18	Staff Leopold	429
Mickiewicz Adam	86	Syrokomla Władysław	181
Miriam	362	Szarzyński Mikołaj Sęp	12
Miron	272	Szymanowski Wacław	296
Morawski Franciszek	74	Szymonowicz Szymon	15
Morsztyn Andrzej	23	Tetmajer Kazimierz	370
Naruszewicz Adam	34	Trembecki Stanisław	44
Niemcewicz Julian	61	Ujejski Kornel	207
Niemojewski Andrzej	378	Urbański Aureli	334
Norwid Cypryan	224	Wasilewski Edmund	161
Odyniec Antoni Edward	112	Węgierski Kajetan	47
Ordon Władysław	320	Węzyk Franciszek	67
Or-Ot, Oppman Artur	390	Witwicki Stefan	131
Ostrowska Bronisława	436	Wolska Maryla	421
Pajgert Adam	234	Wolski Włodzimierz	190
Pług Adam	266	Woronicz Jan Paweł	59
Poł Wincenty	199	Wyspiański Stanisław	405
Potocki Wacław	25	Zagórski Włodzimierz	300
Rej Mikołaj	6	Zaleski Bogdan	118
Romanowski Mieczysław	228	Zawistowska Kazimira	411
Rossowski Stanisław	396	Zieliński Gustaw	279
Ruffer Józef	433	Zimorowicz Szymon	20
Rydel Lucyan	382	Zmorski Roman	236
Siemieński Lucyan	154	Żmichowska Narcyza	247
Słowacki Juliusz	100	Żuławski Jerzy	425

SPIS PORZĄDKOWY RZECZY.

	Str.
BOGARODZICA	III
KOCHANOWSKI JAN.	
Dobrodziejstwa Boga	1
Pochwała wina	2
Do zdrowia	3
Psalm Dawidowy	4
REJ MIKOŁAJ.	
O nocie	6
KLONOWICZ SEBASTYAN.	
Z »Flisa«	9
SZARZYŃSKI-SĘP MIKOŁAJ.	
O nietrwałej miłości	12
GROCHOWSKI STANISŁAW.	
Hymn	13
SZYMONOWICZ SZYMON.	
Dafnis	15
MIASKOWSKI KASPER.	
Rozmowa panienki z śmiercią	18
ZIMOROWICZ SZYMON.	
Z Roksolanek	20
MORSZTYN ANDRZEJ.	
Do panny	23

	Str.
Nowe słońce	24
Kwiatek darowany	24
POTOCKI WACŁAW.	
Z poematu »Wojna Chocimska« (Z pieśni czwartej)	25
KOCHOWSKI WESPAZYAN.	
Ucieczka do Najświętszej Panny	29
DRUŻBACKA ELŻBIETA.	
Pochwała lasów	31
NARUSZEWICZ ADAM.	
Pacierz starca	34
KRASICKI IGNACY.	
Żona modna	38
TREMBECKI STANISŁAW.	
Kupido pokorny	44
Anakreontyk	45
WĘGIERSKI KAJETAN.	
Mój świat	47
Filozof	49
KNIAŻNIN DYONIZY.	
Do wąsów	51
Do mirtu	52
KARPIŃSKI FRANCISZEK.	
Powrót na wieś	54
Duma Ludgardy	57
WORONICZ JAN PAWEŁ.	
Modlitwa za swego Pasterza	59
NIEMCEWICZ JULIAN.	
Pogrzeb księcia Józefa Poniatowskiego	61
GODEBSKI CYPRYAN.	
Wyjątek z wiersza »Do Legionów«	64
WEŻYK FRANCISZEK.	
Smutno mi Panie	67
BRODZIŃSKI KAZIMIERZ.	
Przechadzka wieczorna	70
Do konika polnego	72
MORAWSKI FRANCISZEK.	
Giermek	74

	Str.
MALCZEWSKI ANTONI.	
Z powieści ukraińskiej »Marya«	80
MICKIEWICZ ADAM.	
Farys (Kasyda)	86
Stepy Akermańskie	91
Z »Pana Tadeusza«	92
Trzech Budrysów	95
Rozmowa wieczorna	97
SŁOWACKI JULIUSZ.	
Hymn o zachodzące słońca na morzu	100
W pamiętniku	102
Rozłączenie	102
Na sprowadzenie zwłok Napoleona	104
KRASIŃSKI ZYGMUNT.	
Z »Przedświtu«	106
Zawsze i wszędzie	108
Z autografu	108
Do kobiety	111
ODYNIEC ANTONI EDWARD.	
Legia tebańska	112
Branki Litwinów	115
ZALESKI BOGDAN.	
Rojenia wiośniane	118
Panna młoda	120
Śpiewak tęskniący	122
GOSZCZYŃSKI SEWERYN.	
Róże	124
Piotr Pszonka Jasieńczyk	125
WITWICKI STEFAN.	
Samson	131
Prostak wiejski	134
GASZYŃSKI KONSTANTY.	
Sielanka młodości	136
GARCZYŃSKI STEFAN.	
Rozmowa	145
GOSŁAWSKI MAURZYCY.	
Dumka podolska	147
Wędrówka	149

	Str.
FREDRO ALEKSANDER.	
Weredyk	151
Stary śpiewak	152
SIEMIEŃSKI LUCYAN.	
Komu w drogę temu czas	154
Książ Dymitr Wiśniowiecki	155
BIEŁOWSKI AUGUST.	
Do moich dum	158
WASILEWSKI EDMUND.	
Krakowiak	161
Bal	162
Drzem sobie duszo	164
JABŁOŃSKI HENRYK.	
Z poematu »Gwido«	166
Dumka	168
BALIŃSKI KAROL.	
Farys — wieszcz	171
MAGNUSZEWSKI DOMINIK.	
Dwie piastunki	177
SYROKOMLA WŁADYSŁAW.	
Śmierć słowika	181
Księgarz uliczny	184
Hetman polny	188
WOLSKI WŁODZIMIERZ.	
Fryderyk Szopen (Fantazya)	190
POL WINCENTY.	
Zgon Mohorta	199
Z pieśni o ziemi	205
UJEJSKI KORNEL.	
Hagar na puszczy	207
Panna młoda	209
Do pieśni	211
LENARTOWICZ TEOFIL.	
Do poezyi	213
Złoty kubek	215
Rozmowa ze słowikiem	216
BRZOZOWSKI KAROL.	
Na przesilenie wiosenne	218
Lirnik	220

	Str.
NORWID CYPRYAN.	
Pióro	224
Ironia	225
Sieroctwo	226
Nerwy	226
ROMANOWSKI MIECZYŚLAW.	
Ku ojcom	228
BERWIŃSKI RYSZARD.	
Przestroga	231
Jawnogrzesznica	232
PAJGERT ADAM.	
W zbrojowni	234
ZMORSKI ROMAN.	
Chrystus i Piotr	236
Przypowieść wschodnia	238
CHEĆCIŃSKI JAN.	
Kółek bronowy	239
DEOTYMA.	
Pieśń dziewicy	245
Modlitwa	246
ŻMICHOWSKA NARCYZA.	
Czemu mi smutno?	247
Circulus vitiosus	250
ILNICKA MARYA.	
Strącona	252
Wiosna	253
KONOPNICKA MARYA.	
Przed sądem	255
Do kobiety	258
Pieśń o domu	261
KRASZEWSKI JÓZEF IGNACY.	
Z hymnów boleści	263
PŁUG ADAM.	
Stracone gniazdo	266
CZAJKOWSKI ANTONI.	
Pająk	268
Śmierć Czarnieckiego	269

	Str.
MIRON.	
W katedrze gotyckiej	272
Siwy włos	273
Dziwożona	273
ASNYK ADAM.	
Prośba	275
Szkoda	277
Karmelkowy wiersz	277
ZIELIŃSKI GUSTAW.	
Powrót wiosny	279
Z poematu »Stepy«	280
KOŹMIAN STANISŁAW.	
Mowa polska	284
ANCZYC WŁ. L.	
Brody krzyżackie	289
Pieśń Tyrteusza	293
SZYMANOWSKI WACŁAW.	
Niedołęga	296
Pieśń egipska	298
ZAGÓRSKI WŁODZIMIERZ.	
Historia patriarchy Noego	300
FALEŃSKI FELICYAN.	
Pogrzeb Ibis	302
Duma o Samuele Koreckim	304
BIERNACKI MIKOŁAJ.	
Zasady	308
Opinia	309
SOWIŃSKI LEONARD.	
Z życia	311
Ergo sum	312
KRAUSHAR ALEKSANDER.	
Beatus ille	314
GRUDZIŃSKI STANISŁAW.	
Wierzę	316
ORDON WŁADYSŁAW.	
Złońnica	320
Po łzach	321

	Str.
GOMULICKI WIKTOR.	
El mole rachmim	324
Na Kanonii	328
KOMOROWSKI BRONISŁAW.	
Z fantazyi ludowych	331
URBAŃSKI AURELI.	
Sierotka	334
CZERWIEŃSKI BOLESŁAW.	
Kto silniejszy	336
Matka	338
GLIŃSKI KAZIMIERZ.	
U wrzeciona	340
GAWALEWICZ MARYAN.	
Legenda o złej macosze	344
JANKOWSKI CZESŁAW.	
Allegra	349
Rozmowa	351
KASPROWICZ JAN.	
Odłogiem leży rola	353
Powróciły bociany	354
Gdy mnie ogarnia zmrok	356
Nad światem sennym	356
Byłeś mi tłumie bożyszczem	358
MIRIAM PRZESMYCKI ZENON.	
Posepny los	362
Excelsior	364
Zmrok	365
GÓRSKI KONSTANTY.	
Biada tym ustom	367
Odwołanie	368
TETMAJER PRZERWA KAZIMIERZ.	
Anioł Pański	370
Pieśń halicka	373
List Hanusi	375
NIEMOJEWSKI ANDRZEJ.	
Ślądźmy tu, pani	378
Idźcie bieda	380
Żołnierzyk	380

	Str.
RYDEL LUCYAN.	
Wenus miłośnika	382
Chciałabyś mnie?	383
Przekleństwo łzom	384
Na dzień zaduszny	384
LANGE ANTONI.	
Nie na dzień jeden	386
Na roli	387
OR-OT OPPMAN ARTUR.	
Marzenie	390
Król się bawi	391
Somo-Sierra	392
ROSSOWSKI STANISŁAW.	
Dziewica	396
Gość	398
LASKOWSKI KAZIMIERZ.	
Ptasznik	401
Kujawiak	402
WYSPIAŃSKI STANISŁAW.	
Kazimierz Wielki	405
Z poematu »Bolesław Śmiały«	407
ZAWISTOWSKA KAZIMIERA.	
Magdalena	411
Z marzeń moich	413
DĘBICKI ZDZISŁAW.	
Nie wiemy dnia, ani godziny	414
Cisza wieczorna	415
Maj	416
BRZOZOWSKI STANISŁAW.	
Na deszczu strunach	418
Dzwony nieszporne	418
O przyjdź!	419
WOLSKA MARYLA.	
Z pośmiertnych strof	421
ŻUŁAWSKI JERZY.	
Nad gruzami	425
Stary młyn	426

	Str.
STAFF LEOPOLD.	
Studnia	429
Sarkofagi	430
Puchar mojego serca	431
Modlitwa	431
RUFFER JÓZEF.	
Pies	433
Moje pszczoły	434
Chrystus	435
OSTROWSKA BRONISŁAWA.	
Babie lato	436
Żywy ruczaj	439



CYNKOTYPIE WYKONANO W ZAKŁADZIE T. JABŁOŃSKIEGO I SP.
W KRAKOWIE.

821.162.1

Antologia
polska

58534

Wydawnictwo
FALTESANDOWSKI, MELIOWA, MIĘDZYZAŁA 32